

PROF. JOLANTA ITRICH-DRABAREK
PARTYJNA SŁUŻBA CYWILNA

OUN I UPA – MORDOWAŁY
TEŻ UKRAIŃCÓW

PROF. JACEK P. SZAFLIK
PRZYSZŁOŚĆ CHIRURGII OKA

SAMORZĄDY BRONIĄ
„NIESŁUSZNYCH” POMNIKÓW

RATUJCIE MOJE DZIECKO



**600 tys. dzieci i nastolatków
czeka w kolejce do psychiatry**





JESUS CHRIST SUPER STAR

rock musical TIMA RICE'A & ANDREW LLOYDA WEBBERA

inscenizacja i reżyseria JAKUB WOCIAL & SANTIAGO BELLO • choreografia SANTIAGO BELLO • kierownictwo muzyczne JAN STOKŁOSA

W roli tytułowej **JAKUB WOCIAL** - Najlepszy Wokalista Musicalowy 2018

CYTATY

ANDRZEJ CZAJA,

biskup opolski

Na to, co się w Polsce dzieje, Kościół nie może patrzeć spokojnie. Najwyższy czas, abyśmy się ocknęli.

Katolicka Agencja Informacyjna

TADEUSZ BARTOŚ,

filozof, były dominikanin

Chrześcijaństwo w samej swej strukturze jest nihilizmem. Poniżającym ludzi, pozbawiającym wartości, okrutnym nihilizmem.

„Wyborcza na Nowy Semestr”

KATARZYNA

KOLENDA-ZALESKA,

dziennikarka

Szyborska w muzeach wybierała dwa, trzy obrazy i „zamykała je pod powiekami”.

„Twój Styl

WOJCIECH WAGLEWSKI,

założyciel zespołu Voo Voo

Małżeństwo jest oczywiście sztuką, ale sztuką znalezienia wspólnej wolności.

„Pani”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Sztandar lewicy wprowadzić!

Gdyby udało się zajrzeć za kulisy działania PiS i PO i zobaczyć, jaki problem najbardziej spędza im sen z powiek, to sądzę, że politycy obu obozów, ich doradcy i eksperci za najważniejsze uważają utrzymanie obecnego duopolu. Co w praktyce oznacza bezwzględne duszenie w zarodku wszelkich nowych inicjatyw politycznych. By nie zdążyły okrzepnąć i zagrozić duopolowi. A z drugiej strony jest to ciągły proces wasalizacji tych partii, które już są.

Modelowym przykładem jest los Solidarnej Polski w obozie PiS czy Nowoczesnej w Koalicji Obywatelskiej. W zachowaniach liderów pozerających konkurencję nie ma ani odrobiny finezji. Jest tylko brutalna rozgrywka. Z najbardziej prymitywnymi metodami. I takimi działaniami jak kuszenie, przekupywanie i oszukiwanie ofiar. Jak widać, nie za wiele trzeba umieć, by być w Polsce liderem dużej formacji.

Kaczyński i Schetyna nie zapiszą się w historii Polski jako politycy, którzy zbudowali coś trwałego. Takiego z wyobraźnią i sensem. I z pożytkiem dla ludzi na długie lata.

Ich rządy oznaczają stagnację i grę pozorów. Takie mieszanie łyżeczką herbaty bez cukru. Nie są zdolni do reform, które likwidowałyby albo przynajmniej ograniczały nasze największe problemy. To, co PiS i PO robią ze służbą zdrowia, edukacją i nauką, jest wystarczającym powodem, by szukać nowych rozwiązań politycznych. Z oczywistych powodów najbliższych mi do idei i pomysłów, które pojawiają się po lewej stronie. Lewica może być w polskim stawie szczupakiem pobudzającym rozleniwione duże partie do większego wysiłku. Ale musi mieć idee, które oparte są na głębszych wartościach, a nie na taktycznej grze o władzę. Taka lewica ma w dłuższym planie szansę przedstawienia Polkom i Polakom zwycięskiej oferty wyborczej.

Dobrze więc się stało, że Waldemar Witkowski, Adrian Zandberg i Piotr Ikonowicz zdążyli się porozumieć i utworzyć na wybory europejskie koalicję Lewica Razem.

Są przecież wyborcy o poglądach lewicowych, którzy już nie zagłosują na PO i PiS, bo nie chcą wybierać między złym a jeszcze gorszym. Dla nich ważne jest to, że dostali wreszcie ofertę, która nie ukrywa swojej lewicowości – koalicję, którą tworzą ludzie o konsekwentnie lewicowych poglądach. Bo jak mówi lider Unii Pracy Waldemar Witkowski, ktoś musi dźwigać sztandar lewicy. A szanse wyborcze? Jest jeszcze 10 tygodni, by je zwiększyć.

FAUL

Solidarność z pedofilem pod ręką

Związek Solidarność jest pierwszym na świecie związkiem zawodowym mającym za patrona pedofila i agenta. Zagorzałym obrońcą ks. Jankowskiego, pedofila o pseudonimach „Delegat” i „Libella”, jest sam szef związku Piotr Duda. A Karol Guzikiewicz ze stoczniowej Solidarności broni pralata jak kasy związku w TVP Info. Można tam na okrągło oglądać innych wielbicieli paskudnego życia ks. Jankowskiego i ataki na ofiary „świętego” kapelana. Nie ma już granic bezwstydu. Jaki związek, tacy idole.

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Nasi czy wasi?**
– rozmowa z prof. Jolantą Itrich-Drabarek
- 12 Śmierć zaszczonego wiceprezesa**
Skutki spreparowanej afery w Olsztynie
- 14 Ratujcie moje dziecko**
600 tys. dzieci czeka w kolejce do psychiatry
- 20 Naszych pomników nie oddamy**
Lokalne społeczności walczą z IPN

ZAGRANICA

- 24 Czy Słowacy wybiorą kobietę**
Prawniczka na prezydenta
- 26 Oregon kontroluje czynsze**
Nowe przepisy chronią lokatorów
- 54 Arousa – włości mafijne**
Rozrywki hiszpańskich capos
- 58 Ludzie w obiektywie Sony**

HISTORIA

- 28 Ukraińskie ofiary OUN i UPA**
Okrutni wobec swoich
- 44 Pracowity jak koń**
Zwierzęta w rewolucji przemysłowej

OPINIE

- 32 Małgorzata Żuber-Zielicz**
Priorytety
- 34 Jan Dutko**
Wiosna i „Kler”

KULTURA

- 36 Od kopytka do Przybory**
– rozmowa z Mumio
- 40 Utarczki z miejscowymi kretynami**
Rzecz o Tuwimie
- 42 Culturalia**
- 66 Rysunki z Belgii**

ZDROWIE

- 50 Oko do wymiany?**
– rozmowa z prof. Jackiem P. Szaflikiem

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Sztandar lewicy wprowadzić!
- 18 Bronisław Łagowski**
Kto kogo chroni?
- 47 Roman Kurkiewicz**
Strajki dobre, strajki konieczne
- 49 Tomasz Jastrun**
Polski krajobraz
- 53 Ludwik Stomma**
List otwarty do Roberta Biedronia
- 57 Edward Mikołajczyk**
Był punkt, nie ma śladu



CZY SŁOWACY WYBIORĄ KOBIETĘ

Prawniczka na prezydenta

24
ZAGRANICA



36
KULTURA

OD KOPYTKA DO PRZYBORY

– rozmowa z Mumio



ŁUDZIE W OBIEKTYWIE SONY

58
GALERIA

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. FOTOLIA



HISTORIA PEWNEJ ULICZKI,
czyli obłęd „dekomunizacji”
według IPN

**KASZA, PIWO
I PIERNIKI** – co mówi
język o rosyjskiej kuchni

PRZEMYSŁAW SEMCZUK,
pisarz
Czy otoczenie może stworzyć
mordercę

DZIĘKUJEMY

Tysięczny numer PRZEGŁĄDU nie przeszedł bez echa. Dostaliśmy gratulacje i życzenia. Dziękujemy i postaramy się nie zawieść Czytelników.

Gratulacje z okazji 1000 numerów PRZEGŁĄDU. Serdeczności dla wszystkich, wiwat prof. Łagowski!

Daniel Passent

Z ogromną życzliwością gratuluję całemu zespołowi redakcyjnemu wydania 1000. numeru PRZEGŁĄDU. Wiem, jak ważną rolę spełnia PRZEGŁĄD w przekazywaniu czytelnikom historycznej, społecznej i politycznej prawdy o Polsce i ludziach minionych i współczesnych czasów. Wiem także, jak wiele kosztuje Was ta trudna praca. Jestem z Wami i podobnie staram się to czynić na poziomie regionu. Życzę dalszych sukcesów i nadziei na lepsze czasy dla naszej misji.

*dr Alfons Bobowik, prezes Mazurskiego
Towarzystwa Naukowego w Ełku*

PRZEGŁĄD był, jest i będzie ze mną zawsze i wszędzie!

Jan Cofałka



Z okazji wydania tysięcznego numeru PRZEGŁĄDU składam całemu zespołowi życzenia wszystkiego najlepszego i mam nadzieję, że lawinowo będzie rosła liczba Waszych czytelników. Ja jestem nim od 12 lat i co tydzień czytam PRZEGŁĄD od deski do deski. Świetnie piszecie o polityce, ekonomii i o tak ważnej dziś dyscyplinie nauki, jaką jest historia. Kupuję PRZEGŁĄD w wersji tradycyjnej, papierowej, i nie miałem dotychczas problemów z nabyciem go (Empik, kioski, małe sklepy spożywcze), chyba że został wykupiony – wtedy szukałem w innym miejscu i za zwyczaj udawało mi się kupić.

Leszek Książek, Borowiec

Jako czytelnik od pierwszego numeru życzę przynajmniej jeszcze 1000 następnych. Gratulacje dla zespołu!

Bogumił Woźniakowski

Bardzo serdecznie gratuluję tysięcznego wydania PRZEGŁĄDU. Tygodnik, zamieszczone artykuły, komentarze naczelnego „Mój

przeгляд” dają nadzieję, że jeszcze będzie normalnie.

Jan Dutko

Kolejnego tysiąca, mnóstwa wiernych czytelników i hojnych reklamodawców.

Przemysław Prekiel

Konsekwencji w tym, co robicie w kraju zdominowanym przez prawicową narrację.

Piotrek Urbański

Doczekania się prawdziwie lewicowego rządu.

Grzegorz Panufnik

Przed wszystkim po prostu normalności, obniżenia poziomu stresu oraz tego, byście zawsze byli na czas z najważniejszymi tematami...

Marcin T. Mądry



Życzenia przekazali nam też m.in. Radosław S. Czamecki, Halina i Karol Gębkowie, prof. Tadeusz Iwiński, dr Aleksander Jakubowski, Michał Listkiewicz – były szef PZPN, Jan Rurański ze Stowarzyszenia Dziennikarzy i Wydawców REPROPOL, dr Zdzisław Słowik – redaktor naczelny dwumiesięcznika „Res Humana”, Stefan Szpalerski.

ZDJĘCIE TYGODNIA

Ewakuacja ludności z terenów Państwa Islamskiego na obszary kontrolowane przez Syryjskie Siły Demokratyczne wspierane przez USA. Prowincja Dajr az-Zaur we wschodniej Syrii.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Z jakim programem Lewica Razem idzie do wyborów europejskich?

WALDEMAR WITKOWSKI,

przewodniczący Unii Pracy, nr 1 w okręgu nr 7 (woj. wielkopolskie)

Po 15 latach naszej obecności w UE czas zacząć myśleć nie tylko o gospodarce, ale także o ludziach. W związku z tym chcemy, żeby w Unii obowiązywał jednolity system płacy minimalnej i minimalnej emerytury. Będziemy także walczyć o to, by wszyscy obywatele Europy mieli zagwarantowany bezpłatny dostęp do służby zdrowia, w tym do leków wypisywanych na receptę, oraz do edukacji. Zamierzamy zadbać nie tylko o bezpieczeństwo społeczne, ale także fizyczne. Opowiadamy się za bezpiecznymi ulicami, a jeżeli będzie taka potrzeba, również za stworzeniem armii europejskiej. Szczegółowy program lewicy jest nadal przygotowywany, ale wymienione kwestie na pewno znajdą w nim bardzo ważne miejsce.

MARCELINA ZAWISZA,

partia Razem, nr 1 w okręgu 12 (woj. dolnośląskie i opolskie)

Lewica Razem będzie walczyć o socjalną Polskę w socjalnej Europie. Polki i Polacy zasługują na to, aby mieć takie pensje, jakie są w Niemczech, ochronę zdrowia jak w Danii oraz dostępne i tanie mieszkania jak w Austrii. Dla mnie najważniejsza jest walka o europejskie standardy zdrowia. O to, by każda i każdy mieli równy dostęp do leczenia. Żeby to zrobić, musimy skończyć z dyktatem wielkich korporacji farmaceutycznych, które mogą przez 20 lat narzucać dowolną cenę za leki ratujące życie i zdrowie. Naszym priorytetem będzie ograniczenie przywilejów patentowych. Unia stworzy europejskiego, publicznego

producenta leków. Dziś producentami leków są prywatne korporacje, które dyktują kosmiczne ceny za farmaceutyki ratujące ludzkie życie. Czas znieść ten chory monopol. Unijny producent zrównoważy rynek i obniży ceny. Czas na wielkie, wspólnotowe programy lekowe. Unia zapłaci za badania nad nowymi lekami, a ich wyniki będą publiczne, dzięki czemu spadną koszty produkcji.

AGATA NOSAL-IKONOWICZ,

nr 2 w okręgu nr 4 (Warszawa z ośmioma powiatami woj. mazowieckiego)

Idziemy do Parlamentu Europejskiego w imieniu pracowników i społeczeństw, a nie korporacji. Chcemy, by także rządy reprezentowały interesy społeczne, gdyż coraz częściej widać, że jest inaczej. Przykładem jest sytuacja frankowiczów: rządy państw, z których pochodzą banki udzielające kredytów walutowych, interweniują przeciwko ludziom w interesie kapitału. Chcielibyśmy, aby UE przyjęła Kartę Społeczeństw Europejskich, która zabezpieczałaby je przed różnymi zakusami wielkich firm, które dążą m.in. do prywatyzacji wody i innych zasobów naturalnych. Unia powinna to uniemożliwić, jednoznacznie stwierdzając, że te zasoby należą do poszczególnych społeczeństw. Chcielibyśmy także zapewnić krajom członkowskim ochronę przed pozwami ze strony biznesu w sytuacjach, gdy robią one coś słusznego dla swoich obywateli, co jednak przeszkadza korporacjom w maksymalizacji zysków.

Not. Michał Sobczyk

Rozmawia Robert Walenciak

Czy w Polsce jest służba cywilna?

– Mamy obowiązującą ustawę z 21 listopada 2008 r. o służbie cywilnej, mamy art. 153 konstytucji, który stwierdza, że służbę cywilną powołuje się w celu bezstronnego, politycznie neutralnego, zawodowego i rzetelnego wykonywania zadań państwa. Formalnie więc służba cywilna istnieje. Zresztą w wielu państwach występuje ona w nazewnictwie. W Rosji jest służba cywilna, w Brazylii, w Meksyku... Jest i w Polsce.

A czy to działa?

– Pyta pan, jak powinna działać? U podstaw służby cywilnej leży przekonanie, że rozdzielamy funkcje i zadania tych, którzy pracują w administracji, i tych, którzy tworzą politykę. Czyli oddzielamy wykonawców od kreatorów. Wykonawcami są urzędnicy służby cywilnej, kreatorami politycy.

**TO NIE MUSI BYĆ
ŚLEPE NARZĘDZIE****Służba cywilna, korpus urzędniczy, to zatem narzędzie w rękach polityków.**

– To nie musi być ślepe narzędzie. Dobrze przygotowany urzędnik służby cywilnej może podpowiedzieć politykowi, jakie rozwiązanie jest najlepsze. Nie chodzi o to, żeby narzucał mu swoje zdanie, ale może przedstawić kilka wariantów, do wyboru. Polityk realizuje program przedstawiony

Każdego polityka służba cywilna uwiera, ponieważ narzuca mu ramy postępowania.

w ramach obietnic wyborczych. A dobry urzędnik służby cywilnej może mu podpowiedzieć, jak tego dokonać w możliwie najlepszy sposób w danym momencie.

I co politykom przeszkadza w takim fajnym narzędziu?

– Gdy popatrzymy na historię służby cywilnej w Europie, a za chwilę będzie to już 200 lat, może się okazać, że politykom służba cywilna zawsze przeszkadzała. Generalnie nie rozumieją jej istoty i zasad, poza tym są głęboko przekonani, że wraz ze zdobyciem władzy otwiera się przed nimi możliwość zmian kadrowych. Niezjadający już prof. Michał Kulesza

NASI CZY WASI?

Każdy może być ministrem. Ale nie każdy powinien

**PROF. JOLANTA
ITRICH-DRABAREK**

opowiadał, że w roku 1991 przedstawiał pierwszemu parlamentowi, wybranemu w wyborach powszechnych (głównie znaleźli się w nim działacze Solidarności), projekt ustawy o służbie cywilnej. I co panie posłanki i panowie postowie na to? „Że nie po to zdobyliśmy władzę, żebyśmy nie mogli wymieniać osób zatrudnionych w administracji. My tu przecież przyszliśmy po to, żeby również zmienić kadry. A służba cywilna będzie nas krępowała”. W związku z tym odrzucono pierwszy projekt ustawy o służbie cywilnej. Nie jest to więc kwestia sztandaru politycznego, każdego polityka służba cywilna uwiera, ponieważ narzuca mu ramy postępowania.

A może te ramy są niestusne i dlatego trzeba je rozwalić?

– I co dalej? Nie ma zasad, przechodzimy do władzy, bierzemy naszą ekipę, obsadzamy stanowiska w administracji, wprowadzamy zmiany, jakie chcemy. Po pierwsze – zanim nowa osoba wdroży się w funkcjonowanie danej instytucji, musi czasami minąć rok, czasami pół roku. Czyli marnujemy czas i pieniądze podatników na to, żeby nowego człowieka przygotować do pracy w administracji, nauczyć go, przeszkolić. A potem? A potem go zwalniamy i uczymy kolejnych. Po drugie, jeśli jedynym kryterium przyjęcia do pracy jest wierność partii rządzącej, to jakiego rodzaju profesjonalizmu możemy oczekiwać od tej osoby? Jak w takich warunkach może efektywnie działać administracja?

FORTEPIAN I WIRTUOZ

Tak jak kierowca z napisem „nauka jazdy”, wypuszczony na miasto.



– W wielu państwach stawia się na doświadczonych i profesjonalnych urzędników. Zamiast zajmować się zmianami personalnymi, realizując projekty, przygotowują nowe, zabiegają o interes państwa na forum np. Unii Europejskiej i innych organizacji międzynarodowych. Przygotowanie kadr do pracy w administracji przekłada się na jakość działania państwa. Belgowie czy Niemcy już od lat mówią, że tania administracja to nieprofesjonalna administracja. Holendrzy mówią o rządzie jako atrakcyjnym pracodawcy. A Chińczycy przypominają, że zła administracja blokuje rozwój gospodarczy, zamiast go przyspieszać.

Politycy powinni więc dbać o administrację. To narzędzie, którym realizują własną politykę.

– Obrazowo mówiąc, służbę cywilną należy przyrównać do fortepianu. Nieważne, kto przy nim usiądzie, jaką melodię zagra: Bacha, Mozarta czy Chopina, fortepian ma obowiązek wydawać czyste dźwięki. Obowiązkiem muzyka jest zadbać o stroiciela. Tak jest i w relacjach politycy-służba cywilna. Służba cywilna pracuje profe-

sjonalnie, a politycy dbają o jej płace, szkolenie, o przyjazne miejsce pracy. Ale jeżeli polityk nie potrafi tego narzędzia, jakim jest służba cywilna, używać, czyja to wina? Polityk też musi być przygotowany do zarządzania państwem, urzędnikami i pracownikami, mieć elementarną wiedzę. Bo inaczej... Oto przykład – jak funkcjonuje elektroniczna administracja publiczna, tzw. e-administracja?

Regularnie słyszę, że poziom usług elektronicznych nie rośnie.

– Polska ciągle żyje w świecie administracji papierowej! Proszę sobie przypomnieć, kiedy nam obiecano elektroniczne dowody osobiste, podpis elektroniczny? Kiedy nam obiecano usługi publiczne drogą elektroniczną? W Grecji, na którą patrzymy z przymrużeniem oka, że kryzys, że problemy społeczne, obywatel już dawno korzysta z pełni usług elektronicznych. W Danii od 1984 r. buduje się taki rodzaj usług publicznych, że nie trzeba przychodzić do żadnego urzędu, wszystko jest załatwiane drogą elektroniczną. W Sztokholmie zlikwidowano 16 punktów rejestracji samochodów, został tylko jeden, do wydawania tablic rejestracyjnych, ponieważ samochód można zarejestrować w urzędzie drogą elektroniczną. W Estonii każdy obywatel może brać udział w wyborach za pomocą głosowania elektronicznego.

Długo można by wyliczać, w ilu państwach usługi elektroniczne ułatwiają relacje na linii państwo-obywatel. A Polska? Gdy opublikowano wyniki strategii lizbońskiej, okazało się, że wśród państw unijnych zajmujemy trzecie lub czwarte miejsce od końca, jako ci, którzy w minimalnym stopniu realizują elektroniczne usługi publiczne. Niestety, w polskich realiach do urzędu często przychodzi petent, który musi odstać swoje w kolejce, przynosić papierki i pisać oświadczenia, a nie klient/obywatel, który mógłby to wszystko załatwić, nie wychodząc z domu. To irytuje wszystkich. A gdy-

byśmy mieli administrację na poziomie europejskim, Polacy byłiby zadowoleni i może zaczęliby mówić „moje państwo”, a nie „to państwo”.

TO JEST MAŁA ADMINISTRACJA

Politycy usprawiedliwiają się, mówiąc, że muszą wymienić urzędników, bo dotychczasowi nie są ich, że jak się ich zostawi, to będą sypać piasek w tryby.

– W ten sposób dają świadectwo niezrozumienia istoty służby cywilnej. Bo istotą służby cywilnej jest wykonywanie projektów i programów każdego rządu, bez względu na opcję polityczną, byle to się mieściło w ramach demokratycznego państwa prawa. Urzędnicy nie są moi, twoi, oni

Służba cywilna w Polsce to jakieś 120 tys. osób.

zawsze służą państwu i społeczeństwu. Politycy mogą od nich oczekiwać, że będą wykonywać jak najlepiej to, co do nich należy. Słynna maksyma III Republiki Francuskiej: „Rządy i parlamenty odchodzą, administracja pozostaje”, ciągle jest w cenie.

A to w Polsce duża grupa?

– Bardzo niewielka w porównaniu z innymi państwami, obejmuje raptem ok. 120 tys. osób. Dla porównania – w niemieckiej służbie cywilnej mamy prawie 6 mln, w tym 1,7 mln urzędników mianowanych, we francuskiej – 5,2 mln. W brytyjskiej służbie cywilnej, która wydaje się taką niezbiurokratyzowaną instytucją, mamy ok. 520 tys. osób. Czyli polska służba cywilna jest naprawdę niezbyt liczna.

Dlatego, że jest u nas mała biurokracja, czy dlatego, że tak małej liczbie osób przysługuje prawo bycia w służbie cywilnej?

– Czy w Polsce jest niewielka biurokracja, to osobne zagadnienie. Jeżeli pod tym pojęciem będziemy rozumieli instytucje, struktury i oso-

by w nich zatrudnione, to należałoby przeprowadzić audyt strategiczny i czekać na jego wyniki. Bo wtedy okazałoby się, jakie struktury i instytucje dobrze wykonują swoje zadania, a jakie wymagają zmiany. Generalnie mamy w Polsce podział na trzy rodzaje administracji: rządową, samorządową i państwową. Służba cywilna obejmuje tylko administrację rządową, która była budowana wraz z rozwojem sytuacji społeczno-politycznej w Polsce. Dyskusja powinna się toczyć o tym, czy utrzymać służbę cywilną na poziomie administracji rządowej, czy wprowadzić ją w samorządzie terytorialnym. Ale żadna opcja polityczna w Polsce nie chce podjąć tego tematu. Choć w innych krajach takie debaty się toczą. Kiedy w Japonii reformowano w latach 80. XX w.

administrację, w tym służbę cywilną, debata miała charakter publiczny, w telewizji, w godzinach najwyższej oglądalności, a do komisji reformującej weszli m.in. przedstawiciele świata mediów, związków zawodowych, nauki i... służby cywilnej. Wszystko po to, by komisja reprezentowała różne postawy, poglądy i interesy. W Japonii służba cywilna to dobro narodowe. U nas dominuje myślenie, że tylko mój człowiek zrealizuje moją wizję. Dlatego mamy wiele projektów niedokończonych, źle wykonanych, niewprowadzonych, nierozliczonych. **Urzędnik służby cywilnej musi mieć kwalifikacje i doświadczenie.**

– Przede wszystkim musi przepracować w służbie cywilnej określony czas. Według badań profesjonalizm osiąga ten, kto w administracji przepracował 10-11 lat. W Polsce urzędnik mianowany musi przejść postępowanie kwalifikacyjne. Musi znać przepisy, metody nowoczesnego zarządzania, powinien mieć wykształcony etos służby publicznej i być profesjonalistą. Jego związanie z miejscem pracy, jakim jest urząd, zapewnia ciągłość działania państwa.

PARTIA WAŻNIEJSZA NIŻ PAŃSTWO

Politycy często się skarżą, że urzędnik jest zawsze na nie, zawsze mówi: nie da się.

Prof. dr hab. Jolanta Itrich-Drabarek – dyrektor Centrum Studiów Samorządu Terytorialnego i Rozwoju Lokalnego Uniwersytetu Warszawskiego. Pracowała w administracji publicznej m.in. jako doradca prezesa Rady Ministrów, wicedyrektor Biura Spraw Społecznych w Kancelarii Prezydenta RP. Członek Rady Służby Cywilnej w latach 2012-2016. Autorka licznych publikacji naukowych dotyczących statusu urzędników w Polsce i w Europie oraz systemów służby cywilnej w UE i na świecie.

► – Jeśli urzędnik jest profesjonalistą mającym zasób wiedzy i przychodzi do niego polityk z jakimś pomysłem, to rolą dobrego urzędnika jest pokazanie uwarunkowań prawnych, społecznych i gospodarczych danego projektu oraz barier mogących uniemożliwić jego wdrożenie. Ale nasuwa się również pytanie, czy polityk jest dobrze przygotowany do zarządzania państwem, urzędem, zasobami ludzkimi. Każdy może być ministrem. Ale nie każdy powinien.

W Polsce często urzędnicy stają się „przyjaciółmi” polityków, podpinają się pod daną ekipę. Dlatego nowa władza czuje się w obowiązku ich wyrzucić.

– Jeśli system naborów i system awansów jest uzależniony od konsekwencji politycznych, siłą rzeczy tworzą się grupy „naszych” i „ich”. To groźne zjawisko, bo oznacza upartyjnienie państwa – nie ma takich pojęć jak dobro wspólne czy interes publiczny, są dobro mojej partii i interes prywatny. **A co PiS zrobiło złego ze służbą cywilną?**

– W okresie dwukrotnego sprawowania władzy przez PiS mamy dwukrotnie do czynienia ze zmianami sytuacji prawnej. W 2006 r. w wyniku uchwalenia ustawy o państwowym zasobie kadrowym wyższe stanowiska w służbie cywilnej zostały przeniesione do PZK, chociaż Trybunał Konstytucyjny w 2002 r. orzekł, że wyższe stanowiska w służbie cywilnej są jej integralną częścią, więc nie powinny podlegać partyjnym nominacjom. W tym czasie nastąpiło obniżenie rangi służby cywilnej, spadło zainteresowanie pracą w niej, zlikwidowane zostały instytucje Szefa Służby Cywilnej i Rady Służby Cywilnej, a w związku z przyjmowaniem pracowników urzędów państwowych, pracowników samorządowych i NIK w trybie przeniesienia, była łamana zasada równości szans, dostępu i konkurencyjności.

Z kolei za sprawą nowelizacji ustawy o służbie cywilnej z 21 listopada 2008 r. wprowadzono w 2015 r. zasadę, na podstawie której stanowiska kierownicze w administracji można obsadzać w drodze decyzji politycznej. Zawsze gdy stanowiska w służbie cywilnej podlegają partyjnym nominacjom, staje się ona atrapą. Tym bardziej że wyższe stanowiska znowu wyłączono spod ustawy

o służbie cywilnej, zrezygnowano z oceny okresowej, zmniejszono wymogi co do kwalifikacji tych osób. Proszę jednak pamiętać, że w Polsce po 1989 r. doczekaliśmy się czterech ustaw i dwóch znaczących nowelizacji. Co oznacza, że służba cywilna jest ciągle elementem gry politycznej różnych ugrupowań.

Jakie są przejawy tego, że mamy upartyjniałą służbę cywilną?

– System naboru, awansów, kar i nagród, gdzie jedynym kryterium jest przynależność partyjna, sprawia, że powstaje nomenklatura, a interes partyjny jest ważniejszy od interesu państwa.

**CO DLA PAŃSTWA,
CO DLA PARTII**

Jak oddzielić w ministerstwie ludzi z nadania politycznego od prawdziwych urzędników?

– Bardzo łatwo, należy się umówić w drodze ponadpartyjnego porozumienia i wyznaczyć, które stanowiska są polityczne, a które apolityczne. W wielu państwach taka umowa została zawarta i jest przestrzegana, np. w Niemczech, w USA, we Francji czy w Wielkiej Brytanii.

Ciągle mamy do czynienia z systemem patronażu, czyli łupu partyjnego.

A gabinety polityczne?

– Status gabinetów politycznych jest specyficzny. W Polsce ich członkowie nie wchodzi w skład służby cywilnej. Często więc pracują tam ludzie młodzi, bez doświadczenia w administracji. A np. we Francji członkami gabinetu politycznego mogą być tylko urzędnicy służby cywilnej, czyli tacy, którzy znają pracę administracji. Ich w pole nikt nie wyprowadzi!

Mamy więc partyjnych urzędników!

– Oni nie są partyjni. We Francji osoby pracujące w służbie cywilnej nie afiszują się z poglądami politycznymi, bo jest to źle przyjmowane w wielu kręgach. Urzędnik w gabinecie politycznym mówi, że on pracuje dla państwa, a nie dla partii. Że jest urzędnikiem państwowym i wspiera ministra w jego projekcie, ale po to, żeby państwo na tym zyskało. To całkiem inna filozofia niż w Europie Środkowo-Wschodniej. Przypadek Polski nie jest bowiem wyjątkiem,

w całej Europie Środkowo-Wschodniej nastąpił regres służby cywilnej.

Upartyjnienie...

– My się borykamy z upartyjnieniem służby cywilnej, z naborem do niej, z systemem awansów... Natomiast w starej Europie myślą, jak zwiększyć zakres efektywności usługi publicznej. To jest tam ważnym problemem – co zrobić, żeby standardy usług publicznych były coraz wyższe. Żeby karetka pogotowia w Anglii przyjechała do pacjenta nie w 21 minut w terenie niezabudowanym, ale w 18, żeby pacjent czekał w kolejce do lekarza specjalisty nie dwa lata, tylko sześć miesięcy, żeby wizyta w urzędzie nie była doświadczeniem trudnym lub demoralizującym (szczególnie jeśli chodzi o wyposażenie biur). A naszym problemem jest, jak wytłumaczyć społeczeństwu, dlaczego służba cywilna powinna mieć swoje miejsce w polskiej administracji. Uchronić ją od nieuzasadnionej wymiany kadr.

Przecież nie uchroniliśmy.

– Powiedzmy sobie szczerze: wprowadziliśmy służbę cywilną, dlatego że był to jeden z wymogów wejścia do Unii Europejskiej. Ale co z tego, skoro nie dojrzeliliśmy do myślenia, że służba cywilna wymaga ponadpartyjnego konsensusu, że ma charakter państwowy i służy wszystkim? I ciągle tkwimy w myśleniu, że to element układanki partyjnej.

Z takim myśleniem możemy mieć w państwie co najwyżej pewne elementy służby cywilnej, ale nigdy nie będzie to służba cywilna, która powinna faktycznie funkcjonować w państwie.

Co może zepsuć taki urzędnik?

Pisowski, niewykształcony... Taki Misiewicz.

– Do służby cywilnej przyjmuje się ludzi z wykształceniem i umiejętnościami. Pan Bartłomiej Misiewicz nie był jej urzędnikiem, był szefem gabinetu politycznego ministra. W Polsce gabinet polityczny nie podlega regułom, którym podlega służba cywilna. Wymogi przyjęcia do pracy nie są określone. Najczęściej to komórka zasilana przez ludzi przypadkowych, często o życiorysach ubogich w doświadczenie zawodowe. W wielu przypadkach nie ma tam fachowców, którzy mogliby ministra efektywnie wspierać. Dlaczego? Czy polityk nie obawia się, że później będzie musiał

się rozliczyć przed społeczeństwem? Najwyraźniej się nie obawia. Czyli wi-na leży po stronie nie tylko polityków, ale również wyborców.

Którzy na to nie zwracają uwagi.

– Gdy 15 lat temu pytano Polaków, co to jest służba cywilna, tylko 18% odpowiedziało prawidłowo, reszta mówiła różne rzeczy, a najczęściej, że to obrona cywilna.

MIOTŁA? JAKA MIOTŁA?

Jak powinniśmy skonstruować porządną służbę cywilną?

– Po pierwsze, potrzebne jest do tego porozumienie i współdziałanie wszystkich partii. Uznanie, że administracja jest tym elementem, który konstruuje państwo. Nie tylko zapewnia jego ciągłość, ale też gwarantuje wysoką jakość usług publicznych. Po drugie, wszyscy decydenci powinni się zgodzić, że do służby cywilnej rekrutuje się kandydatów w drodze konkursu, co oznacza, że wygrywa najlepszy. Po trzecie, trzeba ustalić zasady finansowania, mianowania i awansu w taki sposób, żeby budować zasób kadrowy służby cywilnej w perspektywie długofalowej, by fachowcy zostawali w służbie cywilnej, a nie uciekali z niej. Określić trzeba także, które stanowiska pochodzą z mianowania politycznego, a których politykom dotknąć nie wolno. Można skorzystać z rozwiązania przyjętego np. w Niemczech, gdzie sekretarz ministerstwa jest urzędnikiem politycznym. Co oznacza, że pracuje dla danej partii politycznej, a gdy przychodzi nowa, to nie wyrzuca się go na bruk! Nie odchodzi w niebyt. Nie musi myśleć, co z nim się stanie, gdy

ekipa, dla której pracuje, straci władzę. Odchodzi w tzw. stan spoczynku, dostaje pensję i czeka, aż państwo będzie chciało skorzystać z jego wiedzy i doświadczenia. Ale ma zabezpieczony byt. To ogranicza pokusy korupcji czy podejmowania np. niekorzystnych decyzji pod koniec kadencji.

A gdyby chciał pracować?

– To taką szansę dostanie. W krajach, w których politykom zależy na prawdziwym rozwoju i rozwiązywaniu problemów, często zostawia się tych ludzi na stanowiskach, bo nie rezygnuje się z fachowców. Po co wprowadzać nowego

Profesjonalizm osiąga ten, kto w administracji przepracował 10-11 lat.

człowieka, który niewiele umie, jeśli ma się kogoś przygotowanego do pracy? Ale proszę pamiętać, że tych ludzi kształci się już na uniwersytetach do myślenia, że mają pracować na rzecz państwa, na rzecz służby publicznej. Żeby rozumieli, co to jest odpowiedzialność, profesjonalizm, bezstronność, na czym polega zasada neutralności politycznej. Co to jest misja służby publicznej. U nas, generalnie, przyjmując ludzi do pracy w administracji, na te sprawy uwagi się nie zwraca... A przecież młody człowiek, który ten korpus zasila, powinien rozumieć, że praca dla państwa jest czymś wyjątkowym, i być z tego dumny. Tak jest np. w amerykańskiej służbie cywilnej.

Tam się wymiata po wyborach.

– O nie! Tam nie ma „wymiatania”. Tam jest ok. 3,6 tys. stanowisk, które każdy prezydent zwyczajowo może obsadzać nowymi ludźmi. Ale nigdy

nie wymienia wszystkich. Zawsze jakaś część starych pozostaje.

Na tak wielkie państwo 3,6 tys. stanowisk to niedużo.

– W federalnej służbie cywilnej pracuje ok. 1,7 mln urzędników.

Wymieniany jest więc jeden urzędnik na mniej więcej 470. Jeżeli zatem nasza służba cywilna liczy 120 tys. osób, to – proporcjonalnie – limit zmian powinien wynosić 300 stanowisk.

– W polskiej służbie cywilnej jest ok. 1,7 tys. wyższych stanowisk, więc partie polityczne mogą się umówić, że tyle może podlegać wymianie politycznej. Może, ale nie musi. Można przyjąć inne rozwiązanie, ale do tego potrzeba rozmowy, dialogu, a takowych nie ma.

U nas do spodu. Pamiętam opowieść o Romanie Giertychu, gdy objął resort edukacji. Miał wtedy mówić, że nawet sprzątaczkom nie ufa i trzeba je wymienić, bo widzą kwity, które leżą na biurku, i na pewno je wyniosą.

– Takie jest myślenie polskiego polityka. Wymiana tylko dlatego, że nie jesteś z mojej opcji politycznej. To prowadzi do upartyjnienia państwa. Skutki tego są fatalne. Czasami widać je od razu, czasami są długofalowe, nie dostrzegamy ich na co dzień, dopiero po latach... A państwu nie ufamy, bo nie mamy poczucia bezpieczeństwa prawnego, ciągłości, bo wiecznie mamy do czynienia z systemem patronażu, czyli łupów partyjnego. Taka jest Europa Środkowo-Wschodnia, tu króluje to myślenie.

Robert Walenciak

SŁUCHAJ NAS W AUDIODELIC

PRZEGLĄD co tydzień w wersji audio.

Pobierz aplikację i słuchaj tekstów czytanych przez profesjonalnych lektorów! Nieograniczony dostęp do bazy naszych artykułów. Wydania aktualne i archiwalne.



AudioDelic

SUBSKRYPCJA PRZEGLĄDU
19,99 zł MIESIĘCZNIE



Marek Książek

Sam prezes po 17 latach walki z oskarżeniami o korupcję wyszedł prawie na prostą. Uniewinniły go sądy wszystkich instancji, a ostatnio dostał nawet zadośćuczynienie za niesłuszne aresztowanie i odszkodowanie za utracone w tym czasie zarobki. A że siedział do sprawy ponad osiem miesięcy, Sąd Okręgowy w Olsztynie przyznał mu łącznie 611 tys. zł. Adwokaci Zenona Procyka odwołali się do Sądu Apelacyjnego w Białymstoku, a ten kazał wypłacić trzy razy tyle. Czyli w sumie 1,8 mln zł, bo o taką kwotę początkowo poszkodowany się ubiegał. To ewenement w skali kraju, świadczący o skali krzywd, jakich doznał były prezes. Pieniądze zostaną wypłacone z kasy skarbu państwa, a więc z naszej kieszeni.

SAMOBÓJCZY SKOK

Nie doczekał tej satysfakcji Andrzej Ł., zastępca prezesa SM Pojezierze ds. technicznych, który również był objęty oskarżeniem o spowodowanie „wielkich strat” na szkodę spółdzielni. W jego przypadku sprawa została umorzona, bo 5 października 2006 r. popełnił samobójstwo – o czym wspomnieliśmy w tekście „Przeprosin nie będzie” (PRZEGLĄD nr 45/2018). Do tragedii doszło w momencie, gdy trzem prezesom, głównej księgowej i kilku innym osobom zaciskała się na szyi pętla i śledczy bardzo się starali udowodnić zarzuty, a ówczesna postanka PO Lidia Staroń, o której mówiono, że weszła do Sejmu po plecach Procyka, opowiadała na prawo i lewo o przekrętach „mafii rządzącej spółdzielnią”.

– Z żoną byliśmy u Andrzeja dwa-trzy dni przed tym nieszczęściem – wspomina Zenon Procyk. – Nie wyglądał na człowieka, który chce skończyć z życiem. Owszem, był nerwowo, roztrzęsiony, ale starałem się go uspokoić, zapewniając, że wyjdziemy z tarapatów.

Elżbieta Ł. tak zapamiętała ostatnie chwile przed tragedią: – Tego dnia akurat miałam zwolnienie lekarskie i całą rodziną byliśmy w domu. Aż nagle, przed południem, mąż wyszedł z domu, i to tak, że

ŚMIERĆ ZASZCZUTEGO WICEPREZESA



W spreparowanej aferze Spółdzielni Mieszkaniowej Pojezierze w Olsztynie najbardziej pokrzywdzona jest rodzina Andrzeja Ł., zastępcy prezesa Zenona Procyka



Elżbieta Ł. nadal przeżywa traumę po śmierci męża.

nawet tego nie zauważyłam. A zawsze mówił, dokąd wychodzi. Minęła godzina, dwie, nadszedł czas obiadu, a Andrzeja nie było. Młodszy syn Łukasz pojechał szukać ojca nad pobliskie jezioro, jednak bez skutku. Zadzwoniłam w końcu na policję i, co dziwne, dyżurny przyjął moje zgłoszenie o zaginięciu, choć zwykle radzą czekać przynajmniej dobę. I wreszcie dostałam telefon z komendy z pytaniem, jak mąż był ubrany, bo znaleziono martwego mężczyznę. Pojechałam tam ze starszym synem Marcinem... Wciąż ten obraz mam przed oczami, ale nie potrafię o tym mówić...

Trochę informacji przyniosła notatka prasowa o treści: „Andrzej Ł.,

wiceprezes SM Pojezierze, popełnił samobójstwo, skacząc z 11. piętra bloku przy ul. Wyszyńskiego 26”. I dalej o tym, jak do budynku wszedł dobrze ubrany mężczyzna, poprosił jedną z lokatorek, która wynosiła śmieci, aby go przepuściła, bo idzie do rodziny W. Potem wjechał windą na ostatnią kondygnację, otworzył okienko na półpiętrze i wyskoczył; spadł na daszek przed wejściem do bloku. Wtedy nie były znane przyczyny tragedii, ale pytany o ewentualne powody były już prezes Zenon Procyk odpowiedział: „Jestem w wielkim szoku po śmierci Andrzeja. Musiał udowadniać, że jest niewinny, czuł się zaszczytowany przez sprawę związaną z Pojezierzem”. Andrzej Ł.,

zastępcą Procyka, jednocześnie jego bliski kolega, w chwili śmierci miał 55 lat. Na miejsce samobójstwa wybrał blok w pobliżu lokalu użytkowego pośłanki Staroń. Tego samego, o który toczył się spór między nią a zarządem spółdzielni o wysokość czynszu.

PROKURATOR WCHODZI DO AKCJI

Sprawa związana ze spółdzielnią, jak eufemistycznie nazwał ją Procyk, obiegła cały kraj, a prezes pokazywany był w mediach jako szef mafii, która rozkrada majątek członków Pojezierza. Jeden z najcięższych zarzutów dotyczył „prominenckiego” bloku przy ul. Dworcowej 48A, gdzie lokatorzy płacili za mieszkanie śmiesznie małe pieniądze. Na nic okazały się argumenty zarządu spółdzielni, że tak tanio zbudowany blok może być wzorem do naśladowania, a nie powodem oskarżeń. Procykowi zarzucano też zakup drogich podzielników ciepła, choć ich cena mieściła się w średniej krajowej, do tego były to urządzenia nowoczesne, elektroniczne, pierwsze takie w Olsztynie. Doszły jeszcze inne zarzuty, w sumie 20. Lidia Staroń zadbała o zainteresowanie aferą dziennikarzy. Przełomowy okazał się wywiad w „Gazecie Wyborczej” z kwietnia 2005 r., w którym na pierwszej stronie ówczesny zastępca prokuratora generalnego Kazimierz Olejnik wyznał, że „tak wstrząsającej patologii jak w Olsztynie nie widział nigdzie”. Śledztwo od razu przeniesiono do Elbląga, a 16 maja aresztowano Pro-

ków na osiedlu. Przez wiele lat pracy najpierw w przedsiębiorstwie, potem w spółdzielni nie dorobił się willi ani luksusów, ona pracowała w sanepidzie, a czteroosobowa rodzina żyła skromnie. I kiedy do tego ich mieszkania przyszło trzech panów z Centralnego Biura Śledczego, z całą ufnością przyjęła ich herbatą i dobrym słowem, a oni zaraz... zajęli samochód męża. Potem jeden ze śledczych, bardzo przejęty

Po 17 latach sądy wszystkich instancji uniewinniły byłego prezesa SM Pojezierze od oskarżeń o korupcję.

ściganie prezesów, a poza służbą członek rady osiedla, zaczął się na spacerującego wieczorem Andrzeja Ł., proponując mu, aby obciążył Procyka.

– Panowie z CBS chcieli nas poróżnić – opowiada Procyk. – Próbowali wmówić Andrzejowi, że to ja złożyłem obciążające go zeznania, aby sprowokować go do rewanzu. Ale nie ze mną takie numery!

TŁO BIZNESOWO-POLITYCZNE

Zenon Procyk wspomina, jak po trzech miesiącach aresztu przyjechali do niego śledczy i obiecywali, że wyjdzie na wolność, a nawet wróci na stanowisko prezesa, jeśli obciąży tego i tego (tu pokazali mu listę znanych w Olsztynie osób). Czyli był to typowy areszt wydobywczy, choć Procyk jeszcze nie zdecydował się na ujawnienie szczegółów. W każdym razie domyślał się, że za tą aferą stoją jakieś siły polityczno-biznesowe.

zeznanie. Okazało się też, że śledczy hurtowo produkowali protokoły z zeznaniami, niektóre metodą „kopiuj i wklej”. Prowadzili także, początkowo nielegalnie, zakrojone na szeroką skalę podsłuchy rodziny Procyków. W sumie zebrało się 8,8 tys. stron stenogramów!

Mimo że świadek Lidia Staroń podtrzymywała swoją opinię o „grupie przestępczej” działającej w spółdzielni, sąd oddalił większość

zarzutów, jakie starannie przygotowała prokurator Grażyna Waryszak. Po drugiej instancji i kasacji Procyk i pozostali oskarżeni zostali całkowicie uniewinnieni.

Wszyscy oprócz Andrzeja Ł. Wiceprezes nie doczekał sprawiedliwości, a wdowa po nim, tak jak jego dorośli już synowie, do tej pory żyje w traumie: – W pierwszych latach po śmierci męża wylałam tyle łez, że mogłabym się w nich wykapać. On chyba nie wytrzymał tej presji, tej nagonki, nie był odporny psychicznie. Bo nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Najbardziej zawiodła się na niektórych sąsiadach i znajomych, bo dla nich – tak to odczuwała – samobójstwo wiceprezesa miało potwierdzać jego winę. Wiadomo, nakradł, bał się więzienia, więc skończył ze sobą – zdawali się mówić, oczywiście za jej plecami. Pojawiły się nawet, o czym opowiada Zenon Procyk, pomówienia o braniu łapówek, którymi Andrzej Ł. miał się dzielić ze swoim szefem. – Tylko gdzie te pieniądze? – pyta Procyk. Według niego plotki te mogła rozpowszechniać Lidia Staroń, która – jak już pisaliśmy na tych łamach – nikogo nie zamierza przeproszać i nie boi się żadnego pozwu o naruszenie dóbr osobistych.

Zapewne taki pozew trafi do sądu, być może również wobec innych kryjących się za tą pseudoafetą. Na razie Zenon Procyk czeka na pisemne uzasadnienie wyroku w sprawie przyznanego mu odszkodowania. Może to posłużyć rodzinie Ł. do ubiegania się o podobne zadośćuczynienie za krzywdy moralne, jakich doznała w wyniku samobójstwa wiceprezesa. ■

Sąd Apelacyjny w Białymstoku przyznał Zenonowi Procykowi 1,8 mln zł odszkodowania.

cyka i dwóch jego zastępców. Prezesa zatrzymano na dłużej, a Tadeusz W. i Andrzej Ł. po krótkim pobycie za kratkami wrócili do domu.

– Nie wiedziałam, co się dzieje – rozpamiętuje Elżbieta Ł. – Mąż starał się trzymać mnie z daleka od spraw zawodowych. A nagle dostaję od niego telefon, że jest zatrzymany.

Nie wiedziała, co o tym myśleć. Po powrocie z aresztu jej mąż wyglądał na wystraszonego, bał się wychodzić z domu, tzn. z mieszkania M-4 na parterze jednego z blo-

A przede wszystkim, że padł ofiarą „układu ciepłowniczego”, gdy kierowana przez niego spółdzielnia zaczęła budować własny rurociąg, by zmniejszyć koszty zakupu ciepła, ograniczając w ten sposób dochody spółki komunalnej (wystawionej wkrótce na sprzedaż).

Proces „mafii spółdzielczej”, jak to ogłoszono w mediach, rozpoczął się w lutym 2007 r. przed Sądem Rejonowym w Ostródzie. Spośród przeszło 120 świadków połowa zmieniła niekorzystne dla oskarżonych

RATUJCIE MOJE DZIECKO

600 tys. dzieci i nastolatków wymaga pomocy psychiatrycznej

Katarzyna Wierzbicka

Zaczęło się dwa lata temu: wcześniej dość towarzyski i lubiący szkołę chłopiec teraz opuszcza się w nauce. Staje się na zmianę apatyczny i agresywny, sprawia trudności wychowawcze. Matka 13-letniego Łukasza – tak chłopiec ma na imię – z początku sądzi, że zmiana w jego zachowaniu ma związek z okresem dojrzewania. Kiedy jednak do nietypowych zachowań dziecka dochodzą lęki – Łukasz miewa koszmary, boi się chodzić do szkoły, poważnie się niepokoi. Szuka pomocy najpierw u szkolnej psycholożki – kończy się na 20-minutowej pogadance o nagrodach i karach. Tymczasem Łukasz coraz bardziej się zamyka, ma coraz gorsze oceny. Matka zgłasza go do rejonowej poradni psychologiczno-pedagogicznej, ale jest koniec roku szkolnego, więc na najbliższą konsultację trzeba czekać co najmniej do września. Po kilku wizytach – zajmujących łącznie ponad pół roku – dowiaduje się, że nie ma powodu do obaw, syn nie ma przecież dysgrafii ani dysleksji, inteligencja w normie.

Żeby zapisać dziecko do psychologa w placówce NFZ, musi mieć skierowanie od lekarza – zdobywa je wprawdzie stosunkowo szybko, ale na wizytę znowu trzeba czekać. Kiedy już dochodzi do konsultacji, psycholożka odsyła chłopca do psy-

chiatry. Najbliższy dostępny w poradni termin przekracza rok. Prywatnie – kilka miesięcy, jednak pełna diagnoza będzie wymagać więcej niż jednej wizyty. Znowu czekanie. Tymczasem złe samopoczucie nastolatka z miesiąca na miesiąc zdaje się pogłębiać, Łukasz przestaje z kimkolwiek się spotykać, mówi: „jestem najgorszy” albo „nie chcę żyć”.

– Boję się, że syn coś sobie zrobi – Justynie, matce nastolatka, łamie się głos. – Od kiedy zaczęłam szukać pomocy, minęło prawie półtora roku. Gdziekolwiek się zwracam, trafiam na mur. Sama jestem na lekach uspokajających, inaczej nie dałabym rady.

W kryzysie psychicznym jest aż 20% polskich dzieci i nastolatków – 1,2 mln.

Kryzysem psychicznym dotkniętych jest aż 20% polskich dzieci i nastolatków – 1,2 mln. Z kolei, według danych cytowanych m.in. przez rzecznika praw dziecka, ponad 9% dzieci i młodzieży zmagają się z zaburzeniami wymagającymi wsparcia psychiatry. To 600 tys. osób w wieku rozwojowym. – Te 20% to dzieci zmagające się z problemami wymagającymi jakiejś zewnętrznej interwencji, choćby psychologicznej lub pedagogicznej. Recz w tym, że systemu wczesnej prewencji w Polsce właściwie nie ma. Tylko niewiele



ponad 10% szkół zatrudnia psychologów, a poradnie psychologiczno-pedagogiczne rzadko prowadzą działania terapeutyczne. Powiatowe centra pomocy rodzinie zajmują się z kolei warunkami socjalno-bytowymi dziecka, a nie jego zdrowiem psychicznym. A bez odpowiedniej pomocy w odpowiednim czasie stan dziecka się pogarsza – wyjaśnia prof. Tomasz Wolańczyk, ordynator Oddziału Psychiatrii Wieku Rozwojowego z Dziecięcego Szpitala Klinicznego na ul. Żwirki i Wigury w Warszawie. – Wtedy dziecko teoretycznie powinno trafić do systemu opieki psychiatrycznej. Tylko że ten system nie działa.

Innymi słowy, dzieci, które dziś potrzebują psychologa, wkrótce będą potrzebować psychiatry. Tymczasem na 6 mln polskich dzieci i nastolatków przypada ich zaledwie 416 – oznacza to, że większość dzieci potrzebujących pomocy na wsparcie z NFZ liczyć nie może. Te, którym

uda się trafić do systemu, dostaną je dopiero w ostateczności – o ile wcześniej nie dojdzie do tragedii.

SYSTEM, KTÓREGO NIE MA

– W naszej poradni okres oczekiwania na wizytę u psychiatry wynosi trzy lata, a wielu pacjentów potrzebuje pomocy natychmiast. Ich stan się pogarsza do momentu, w którym wymagają hospitalizacji. A my nie mamy środków ani personelu, żeby przyjmować ich wszystkich. Na 20 zakontraktowanych łóżek mamy 35 pacjentów – mówi dr Anna Herman, rezydentka również pracująca na Oddziale Psychiatrii Wieku Rozwojowego w szpitalu na Żwirki i Wigury. – Niedawno przywieziono do nas dziewczynkę z zaburzeniami odżywiania. Dziecko było w stanie bezpośredniego zagrożenia życia: 32 kg przy 170 cm wzrostu. Z rozmowy z rodzicami wynikało, że córka czekała na konsultację z psychiatrą – tylko że do wizyty zostało jej jeszcze kilka miesięcy.

Jak wskazują specjaliści, najbardziej widać wzrost liczby młodych pacjentów z zaburzeniami depresyjnymi i lękowymi, a także zaburzeniami zachowania i odżywiania, np. anoreksją i bulimią.

– Problemy psychiczne dzieci i młodzieży nasilają się od kilku lat. Chodzi szczególnie o takie zaburzenia, które wiążą się z zagrożeniem życia, np. próby samobójcze czy samouszkodzenia – zwraca uwagę z kolei dr Lidia Popek, ordynatorka dziecięcego oddziału psychiatrycznego w podwarszawskim Józefowie i konsultantka województwa mazowieckiego ds. psychiatrii dzieci i młodzieży. – Na nasz oddział przyjmowane są w tej chwili tylko te dzieci, których stan zagraża ich bezpieczeństwu. Co gorsza, ich wiek coraz bardziej się obniża – zdarza nam się przyjmować dziewięciolatki, które targnęły się na życie. Większość naszych pacjentów nie musiałaby tu się znaleźć, gdyby interwencja nastąpiła odpowiednio wcześniej. Tymczasem ponad 60% dzieci, które przyjmujemy na oddział, nie uzyskało wcześniej żadnej specjalistycznej pomocy. Szpital psychiatryczny jest dla nich pierwszym kontaktem z psychiatrą w ogóle.

Te fakty nie dziwią, jeśli wziąć pod uwagę liczbę i rozmieszczenie porad-

ni zdrowia psychicznego w Polsce (wszystkich takich poradni dla dzieci i młodzieży jest 209). Najwięcej ma ich województwo mazowieckie – 34, z czego 23 są w Warszawie i aglomeracji warszawskiej. Na całą resztę największego w Polsce województwa zostaje zatem 11. W pozostałych województwach jest zwykle jeszcze gorzej: liczba poradni waha się od kilku do kilkunastu, z czego większość znajduje się w dużych miastach. W województwie łódzkim np. jest 14 poradni, z czego 10 w samej Łodzi, w lubelskim – w sumie dziewięć, przy czym siedem w Lublinie. Najgorzej pod tym względem wypadają województwa świętokrzyskie (pięć poradni, trzy w Kielcach), zachodniopomorskie (pięć, w tym trzy w Szczecinie), opolskie (trzy, dwa w Opolu), warmińsko-mazurskie czy lubuskie (po cztery poradnie). Oznacza to, że dostęp dzieci spoza największych miast do opieki psychiatrycznej jest mocno ograniczony, a w praktyce często żaden.

Psychologów zatrudnia niewiele ponad 10% szkół.

Z kolei rejonowe poradnie psychologiczno-pedagogiczne, zarządzane przez Ministerstwo Edukacji Narodowej, należą do systemu oświaty, a nie opieki zdrowotnej. Zajmują się przede wszystkim wydawaniem opinii o potrzebach kształcenia specjalnego, diagnozują problemy w nauce, prowadzą terapię logopedyczną itd. Choć w rozporządzeniu z 2013 r. o szczegółowych zasadach funkcjonowania poradni psychologiczno-pedagogicznych MEN wymienia wśród zadań placówek „udzielanie dzieciom i młodzieży oraz rodzicom bezpośredniej pomocy psychologiczno-pedagogicznej”, o pomocy ściśle psychologicznej czy psychiatrycznej nie wspomina. Wsparcie psychologiczno-pedagogiczne może więc być interpretowane bardzo różnie, a to, jak ono wygląda w praktyce, jest zdeterminowane wielkością nakładów, które mogą na nie przeznaczyć samorządy – to one bowiem finansują działanie poradni. „Już nie mamy wolnych sal, bo tak dużo mamy pacjentów. Zajmujemy się głównie diagnozowaniem oraz wydawaniem orzeczeń o potrzebie kształcenia specjalnego. W poradni

zwykle jest tylko jeden psychiatra. Rzadko pracują psychoterapeuci, bo dzielnice, które płacą za poradnie, nie są zainteresowane prowadzeniem zajęć terapeutycznych”, mówi portalowi Prawo.pl psycholog pracujący od 15 lat w poradni psychologiczno-pedagogicznej, dodając, że dwa lata temu placówki te w ogóle miały być likwidowane.

Miesiące spędzone w kolejce do psychiatry są zabójcze dla kondycji psychicznej młodych pacjentów. Część z nich nie wytrzymuje. Dane policyjne z 2017 r. mówią o 730 próbach samobójczych wśród dzieci i młodzieży. Są to jednak tylko próby odnotowane. Jak wskazuje Światowa Organizacja Zdrowia, na każdą zarejestrowaną próbę samobójczą przypada od 100 do 200 niezarejestrowanych. Z kolei według badań Eurostatu Polska znalazła się na drugim miejscu w Europie pod względem udanych prób samobójczych dzieci i nastolatków. Jak podaje „Gazeta Wyborcza”, targnięcie się na

własne życie jest obecnie pierwszą przyczyną zgonów osób w wieku od 14 do 19 lat.

Dla wspomnianej Justyny, matki 13-latka, który „nie chce żyć”, oznacza to złowrogi absurd – jeśli jej syn nie podejmie próby samobójczej, na konsultację z psychiatrą czekać będzie do kwietnia. Mimo że mieszka w Warszawie, a za wizytę zapłaci. W podobnej sytuacji są tysiące innych rodziców i dzieci, również takich, którzy do najbliższego psychiatry mają daleko, a koszty prywatnej wizyty są dla nich zbyt wysokie.

BEZSILNOŚĆ I WYCZERPANIE

To m.in. brak ambulatoryjnego systemu wsparcia sprawia, że oddziały psychiatryczne są przepełnione, a lekarze pracują pod presją, która dla wielu z nich jest nie do zniesienia.

Prof. Tomasz Wolańczyk: – Pracujemy w warunkach szpitala polowego. Od innych oddziałów psychiatrii dziecięcej różni nas jedynie liczba dostawek. To wyłącznie nagłe przypadki: próby samobójcze, samookaleczenia, skrajne formy zaburzeń ▶

▶ odżywiania. O przyjęciach planowych nie ma mowy.

Oddział na Żwirki i Wigury nie jest wyjątkiem – oddziały psychiatrii dziecięcej w całym kraju są przepełnione do tego stopnia, że brakuje nie tylko łóżek zakontraktowanych, ale także tych, które można by dostawić. Oddziałów tych jest zresztą niewiele – w całym kraju łącznie 37, najwięcej – po pięć – w województwach mazowieckim i dolnośląskim. Podobnie jak w przypadku poradni rozmieszczenie placówek jest wyjątkowo nierównomierne: aż siedem województw ma w swoim obwodzie zaledwie jeden oddział psychiatryczny dla dzieci i młodzieży, co oznacza, że pacjenci z tych regionów muszą być przyjmowani do szpitali w innych województwach. Najgorzej jednak jest na Podlasiu, gdzie nie ma ani jednego oddziału psychiatrii dziecięcej i młodzieżowej – dzieci stamtąd są więc przewożone na Mazowsze, które obsługuje *de facto* dwa duże regiony, łącznie stanowiące pod względem powierzchni prawie jedną piątą całego kraju.

„Na oddziale psychiatrycznym dla dzieci w łódzkim szpitalu im. Bałbińskiego wykorzystano już wszystkie dostawki. Leży tu 35 pacjentów (powinno być 23) – podaje „Gazeta Wyborcza”. – Przyjęcia planowe są wstrzymane, przyjmowane są tylko dzieci w stanie zagrożenia życia. W warszawskim Instytucie Psychiatrii i Neurologii na oddziale dziecięcym i młodzieżowym dostawek już zabrakło, a niedługo zabraknie miejsca na korytarzach. Na 28 miejsc jest 42 pacjentów”.

– Na 20 zakontraktowanych łóżek mamy 27 pacjentów. To, że nie mamy jeszcze więcej dzieci na oddziale, wynika wyłącznie z podejmowania przez lekarzy pracujących na izbie przyjąć bardzo trudnych decyzji, związanych z tym, że nie mogą przyjąć do szpitala wszystkich zgłaszających się pacjentów, ponieważ ze względu na brak lekarzy żadna pomoc nie byłaby możliwa również w szpitalu. Trudno przewidzieć liczbę hospitalizowanych pacjentów, gdybyśmy przyjmowali wszystkich potrzebujących pomocy – podkreśla dr Lidia Popek. – Pół roku temu powstał oddział psychiatryczny dla młodzieży w Konstancinie. Liczyliśmy, że

odciąży to pozostałe oddziały młodzieżowe. Tak się nie stało, a tamtejszy oddział jest w tej chwili tak samo obłożony jak wszystkie inne. Mam wrażenie, że nie ma takiej liczby łóżek, która rozwiązałaby problem polskiej psychiatrii dziecięcej i młodzieżowej.

Tymczasem, mimo uruchomienia w wakacje oddziału w Konstancinie, zanoszą się na to, że liczba łóżek raczej będzie się kurczyć, niż rosłać. Lekarzy bowiem jest za mało, a warunki, w jakich pracują, są wyjątkowo ciężkie. W połowie grudnia wypowiedzenie złożył zespół lekarski oddziału w Józefowie, który musiał zawiesić

Na 6 mln polskich dzieci i nastolatków przypada zaledwie 416 psychiatrów.

działalność. Od lutego oddział wprawdzie wznowił pracę – zgodziła się go poprowadzić właśnie dr Lidia Popek – wiele jednak wskazuje, że zamykane będą oddziały w kolejnych szpitalach. Wypowiedzenia złożyli m.in. specjaliści z Oddziału Psychiatrii Wieku Rozwojowego Dziecięcego Szpitala Klinicznego w Warszawie, z prof. Tomaszem Wolańczykiem na czele. Odejdą 31 marca. Jak podaje „Gazeta Wyborcza”, odejście z pracy zapowiada też kadra dziecięcego oddziału psychiatrycznego w Łodzi. Zawieszenie działalności grozi poza tym oddziałowi w Miliczu pod Wrocławiem. Obie pracujące na nim lekarki są w ciąży, kiedy na początku wakacji odejdą na urlop macierzyński, na miejscu zostanie dwoje rezydentów.

Na nasz oddział przyjmowane są w tej chwili tylko dzieci, których stan zagraża ich bezpieczeństwu.

Zamknięcie choćby jednego oddziału grozi efektem domina – sieć szpitali psychiatrycznych dla dzieci to bowiem system naczyń połączonych. – Zanim została wznowiona działalność oddziału w Józefowie, obłożenie u nas sięgało 200%. Dzieci przywożone na izbę przyjąć odsyłane były do Krakowa, Wrocławia i innych miast – wspomina dr Anna Herman. – Pomijając warunki pracy i jakość pomocy dla tych dzieci, nie jesteśmy na to przygotowani czysto technicznie: przecież liczba karetek jest ograniczona, a one są przygotowane do przewiezienia pacjenta na

drugi koniec miasta, a nie na drugi koniec kraju!

Dr Lidia Popek: – Nie wiem, czy wszyscy zdają sobie sprawę z wyczerpania kadry pracującej na oddziałach dziecięcych i młodzieżowych. Pracujemy w warunkach przekraczających nasze możliwości psychofizyczne. Decyzje o zawieszeniu działalności kolejnych oddziałów w związku z rezygnacjami lekarzy są w mojej ocenie aktem rozpacz. Proszę sobie wyobrazić odpowiedzialność spoczywającą na lekarzu, który zajmuje się kilkunastoma, a czasami nawet kilkudziesięcioma pacjentami, z których wszyscy są w ostrym kryzysie psychicznym.

Dr Anna Herman: – Teoretycznie dziecko przyjęte do szpitala powinno dostać kompleksową opiekę, zaczynającą się nie od leków, ale od terapii. Tylko że w tych warunkach możemy co najwyżej gasić pożary – poza podaniem dziecku leków niewiele możemy zrobić.

Przeciążenie dziecięcych oddziałów psychiatrycznych wiąże się przede wszystkim z dramatycznie rosnącą liczbą pacjentów w stanie ostrym, lecz są i powody z pacjentami niezwiązane, a wręcz działające na ich niekorzyść. – Papierologia, z którą mamy do czynienia, jest absurdalna – zwraca uwagę dr Anna Herman. – O ile zrozumiałe jest, że musimy prowadzić notatki z wywiadu, o tyle masa dokumentów administracyjnych do uzupełnienia wydłuża czas pracy, zabierając go pacjentom. Nie da się jednocześnie uważnie

słuchać dziecka i pamiętać o tych wszystkich papierach.

– Mam wrażenie, że nikt nie liczy się z naszą wytrzymałością – dodaje dr Lidia Popek. – Nasza praca nie polega wyłącznie na leczeniu pacjentów, oczekuje się od nas spełniania zadań, które powinny leżeć w gestii innych instytucji. Mamy wymyślać, w jaki sposób zabezpieczymy poradnię i oddziały, jak zorganizujemy psychiatrię dziecięcą, jak podzielimy się obowiązkami na danym terenie itd. A my chcielibyśmy po prostu prawidłowo leczyć dzieci i mieć do tego warunki.

Dzieci, które dziś potrzebują psychologa, wkrótce będą potrzebować psychiatry.



Polscy psychiatry i ich pacjenci są zatem uwięzieni w błędnym kole – brak ambulatoryjnego systemu wspierania dzieci i nastolatków w kryzysie sprawia, że ich problemy rozwijają się do stanu wymagającego hospitalizacji, napędzając pacjentów psychiatrycznym izbom przyjęć. To z kolei pogłębia niewydolność dziecięcych oddziałów psychiatrycznych. Z drugiej strony im poważniejszy kryzys, tym bardziej złożonego i długofalowego wsparcia wymaga. Tego zaś przepełnione szpitale nie są w stanie zapewnić. Kilku- i kilkunastoletni pacjenci są zatem leczeni farmakologicznie i wypisywani do domów, żeby zrobić miejsce kolejnym niedoszłym samobójcom. Często przy tym są wypisywani w tę samą pustkę systemową, która doprowadziła ich do wcześniejszego stanu – koło się zamyka.

SPEŁNIAJĄCA SIĘ PRZEPOWIEDNIA

Obecny dramatyczny stan polskiej psychiatrii dziecięcej jest wynikiem kryzysu trwającego od długiego czasu. – Psychiatria dziecięca od wielu lat była dziedziną skrajnie niedofinansowaną i marginalizowaną, na co zwracaliśmy uwagę od dawna – mówi dr Lidia Popek. – Już mniej więcej osiem lat temu na Konferencji Psychiatrii Dzieci i Młodzieży w Gdań-

sku została sformułowana petycja, w której padło m.in. stwierdzenie, że sytuacja zagraża prawidłowej pomocy dzieciom z zaburzeniami psychicznymi. Nie wywołało to żadnego oddźwięku.

– To, co obserwujemy teraz, jest efektem wieloletnich zaniedbań kolejnych rządów. W piśmie psychiatrów dziecięcych do Ministerstwa Zdrowia sprzed bodaj siedmiu lat uprzedziliśmy, że brak zdecydowanych działań spowoduje załamanie się systemu – potwierdza prof. Wołańczyk. – I tak się stało.

Polska jest na drugim miejscu w Europie pod względem udanych prób samobójczych dzieci i nastolatków.

W sprawie tragicznej sytuacji w polskiej psychiatrii dzieci i młodzieży wielokrotnie interweniował rzecznik praw dziecka Marek Michałak. „Tempo wzrostu potrzeb z zakresu opieki psychiatrycznej dzieci i młodzieży i dysproporcja w możliwości ich zaspokojenia wzbudza zaniepokojenie. (...) Problemy, które pilnie wymagają rozwiązania, to: dostępność dzieci i młodzieży do leczenia psychiatrycznego, finansowanie placówek psychiatrycznych, niewystarczająca liczba kadry psychiatrów dziecięcych, bardzo niskie wynagrodzenia personelu terapeutycznego pracującego w placówkach

psychiatrycznych, niedostępność do optymalnej dla pacjenta terapii, w tym terapii rodzin, brak placówek psychiatrii środowiskowej”, wylicza rzecznik w piśmie do Ministerstwa Zdrowia z 16 czerwca 2017 r., już którymś z kolei.

„Rzecznik otrzymuje także informacje od rodziców dzieci, które oczekując na miejsce w szpitalu psychiatrycznym, muszą przebywać w domu i należy zapewnić im bezpieczeństwo. W chwili obecnej małoletni ewidentnie wymagający hospitalizacji w oddziale psychiatrycznym z powodu rozpoznania ostrego stanu (...) mogą nie zostać przyjęci do szpitala z powodu braku miejsc. Sytuację taką należy ocenić jako stan bezpośrednio zagrażający życiu. (...) Faktów nie można już nie dostrzegać”, apeluje RPD w kolejnym piśmie do MZ, tym razem z listopada 2017 r.

Mimo licznych interwencji z różnych stron resort zdrowia podjął jakieś kroki dopiero około roku temu. W odpowiedzi na jedno z pism RPD ministerstwo informuje o powołaniu grupy eksperckiej, która miała przygotować rekomendacje do dalszych działań resortu w dziedzinie psychiatrii dzieci i młodzieży.

Przygotowane przez MZ zmiany zakładają trzy poziomy opieki psychologiczno-psychiatrycznej dla dzieci. Pierwszy opierałby się na środowiskowej pomocy psychologiczno-psychoterapeutycznej: miałyby być zapewniona przez specjalistów zatrudnionych w szkołach,

nauczycieli i terapeutów środowiskowych. Oznaczałoby to rozbudowanie świadczeń poradni psychologiczno-pedagogicznych, a także utworzenie nowego zawodu, psychoterapeuty klinicznego dzieci i młodzieży. Drugi poziom obejmowałby pomoc psychiatry i psychologa klinicznego oraz dzienne oddziały psychiatryczne dla dzieci i młodzieży. Całodobowe dziecięce oddziały psychiatryczne należałyby do trzeciego poziomu.

„Rozpoczęcie obowiązywania nowych zasad dotyczących ochrony zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży jest planowane na wrzesień 2019 r. Na przełomie drugiego ▶

► i trzeciego kwartału 2019 r. planowane jest rozpoczęcie szkoleń specjalistów (...). W zależności od typu szkoleń ich ukończenie zajmie od dwóch do czterech lat. (...) Upowszechnienie nowego modelu ochrony zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży na terenie całego kraju planowane jest na drugą połowę 2023 r.", informuje PRZEGLĄD ministerstwo.

Choć założenia reformy wydają się sensowne, mogą się okazać niewykonalne. Po pierwsze, ich wdrożenie zależy od zdolności wykształcenia odpowiednich kadr. Po drugie – od tego, jak i przez kogo będą one opła-

szarym końcu w Europie pod względem nakładów na ochronę zdrowia – mniejszy procent PKB wydają na ten cel jedynie Łotwa, Rumunia i Luksemburg.

Czynnikiem, który najbardziej gasi optymizm wobec planowanych reform, jest czas. Nawet jeśli zaplanowane przez ministerstwo zmiany rzeczywiście ruszą od września tego roku, ich upowszechnienie zajmie kolejnych kilka lat. A system zawalił się rok temu.

– Cieszę się z przygotowanej przez Ministerstwo Zdrowia reformy – komentuje dr Lidia Popek. – Tylko oba-

Dostęp dzieci spoza największych miast do opieki psychiatrycznej jest ograniczony, często żaden.

cane. Specjaliści wskazują bowiem, że niedobór psychiatrów i psychologów w sektorze publicznym wynika w dużej mierze z ich niskich zarobków. Z wywiadu z dr Barbarą Remberk, konsultantką krajową w dziedzinie psychiatrii dziecięcej, dla „Dziennika Gazety Prawnej” wynika, że pensja psychiatry w sektorze publicznym wynosi 6,3 tys. zł miesięcznie brutto, w prywatnym – kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy. Pracujący w budżetówce psycholog zarabia natomiast dwa razy mniej niż lekarz. Żałośnie niski poziom zatrudnienia psychologów w szkołach jest m.in. rezultatem optacania ich przez samorządy. A te pieniędzy nie mają.

Prezes NFZ zapowiada wprawdzie zwiększenie wydatków na ochronę zdrowia z obecnych 4,7% PKB do 6% PKB w 2025 r., ale pamiętać należy, że mowa o całym sektorze ochrony zdrowia, a nie tylko o psychiatrii. Jak twierdzi były minister zdrowia i psychiatra Marek Balicki w rozmowie z OKO.press, wydatki na psychiatrię stanowią 3,5% wszystkich wydatków na służbę zdrowia, aż 70% z tej puli jest zaś przeznaczane na działanie szpitali. Z informacji udzielonej PRZEGLĄDOWI przez Ministerstwo Zdrowia wynika, że w 2019 r. na świadczenia z zakresu psychiatrii dzieci i młodzieży wydanych zostanie prawie 216 mln zł – z 97 mld zł przewidzianych w budżecie na ten rok na całą ochronę zdrowia. Według badań Eurostatu z 2016 r. Polska jest zresztą na

wiam się, że jej start we wrześniu tego roku to jedynie teoria. Nie ma bowiem żadnych sygnałów, że reforma rzeczywiście ruszy. Zresztą ministerstwo obiecywało pierwotnie uruchomienie zmian w styczniu tego roku. To jednak nie nastąpiło. Nawet jeśli zmiany wejdą w życie jutro, na efekty trzeba będzie przecież poczekać. Z drugiej strony w innych dziedzinach życia społecznego politykom zdarzało się wprowadzać gwałtowne zmiany, które przynosiły jakieś efekty. A ten system nie działa już w tej chwili, narażając tysiące dzieci w wieku rozwojowym i ich rodziny na poważne konsekwencje. Może więc czas najwyższy, żeby również psychiatria dziecięca stała się obiektem zdecydowanych działań i została dofinansowana na poziomie umożliwiającym

W całym kraju jest 37 oddziałów psychiatrii dziecięcej.

jej rozwój. Należy pamiętać, że zdrowie społeczeństwa zależy od inwestowania w zdrowie i rozwój dzieci.

Na razie młodym pacjentom, ich rodzinom i pracującym na oddziałach lekarzom wciąż nie pozostaje nic poza czekaniem. Wydaje się bowiem, że tylko czas może pokazać, na ile obietnice ministerstwa przełożą się na realne działania, a na ile będą grą na zwłokę, mającą uspokoić media i nastroje. Jedno jest pewne – tego czasu nie ma.

Katarzyna Wierzbicka

Polacy są podobno najbardziej proamerykańskim narodem na świecie, a na pytanie od kiedy odpowiedź brzmi, że od początku istnienia Stanów Zjednoczonych, a nawet wcześniej, bo już bunt kolonistów przeciw Anglii był w Polsce przyjęty z życzliwym zainteresowaniem. Może dlatego, że Francja, która wówczas była dla Polaków wzorem we wszystkim, wspierała walkę kolonistów pieniędzmi i wojskiem, a może z innych względów. Kościuszkopopłynął do Ameryki, bo ze swoimi wybitnymi kwalifikacjami inżynierskimi i wojskowymi w Polsce nie miał co robić, a Pułaski, jako zamieszany w porwanie króla, musiał z kraju uciekać. Twórcy Konstytucji 3 maja sympatyzowali z nowo powstałą republiką zaoceniczną, a jeszcze większymi jej entuzjastami byli targowiczanie, widzący w konstytucji majowej groźbę ograniczenia wolności i zapowiedź „despotyzmu”, nowo powstałą zaś republikę amerykańską stawiali Polsce za wzór do naśladowania. Wymownie amerykańską republiką wolność sławił Seweryn Rzewuski, największy intelektualista wśród targowiczów.

Z czasem i lud polski pokochał Amerykę, dawał temu wyraz na różne ludowe sposoby. Na jarmarku w Tomaszowie – były kiedyś jarmarki – słyszałem: czarne wygrywa, czerwone przegrywa, moja ciotka w Ameryce dolarami sieje, jak przegram, to nie zbiednieję. Żołnierze KBW pilnujący akcji „Wisła” śpiewali: to jest Ameryka, to słynne USA, to jest kochany kraj, daj buzi, daj. Na Podhalu, jak wiadomo, każda rodzina ma kogoś w Ameryce, a jeśli nie ma, to żałuje.

Mój stosunek do Ameryki był typowo polski. Skoro dla żołnierzy KBW był to „kochany kraj”, to dlaczego dla mnie nie miałby taki być. (Proszę uwzględnić czynnik kalendarzowy – wcześniej, później). Oczywiście coś wchłonąłem z lewicowej krytyki, wierzyłem, że Murzyni są dyskryminowani, i jakoś łatwo przyjmowałem na wiarę, że gdy człowiek upadnie na trotuar w Nowym Jorku lub innym mieście, to nikt mu nie pomoże powstać, i podobne rzeczy. Wreszcie znalazłem się w Ameryce (jakieś 30 lat temu), ale do moich obserwacji inni zaufania nie mają, ponieważ byłem uprzywilejowany, opłacany pieniędzmi rządowymi i jedynym moim obowiązkiem, zresztą bardzo przyjemnym, było to-

Bez uprzedzeń



Bronisław Łagowski

KTO KOGO CHRONI?

warzyszenie żonie zatrudnionej przez rok na Uniwersytecie Browna. Obserwacje, jakie poczyniłem, były proste, oczywiste i niedyskusyjne. Murzyni, jakich zastałem, nie byli dyskryminowani, przeciwnie, uprzywilejowani. Na ich korzyść łamano zasadę równości wobec prawa. W leżących na trotuarze bez pomocy nie wierzę, bo wystarczyło, że przez chwilę zawahaliśmy się iść w lewo czy w prawo i już w egoistycznym rzekomo Nowym Jorku ktoś podszedł z pytaniem, czy nie trzeba nam pomóc. Nie jest to naród nieszanujący swojej historii – przeciwnie, na ulicach dzielących uniwersytet od miejsca zamieszkania doliczyłem się czterech pomników poświęconych żołnierzom różnych wojen. A w mie-

siące prawników wyspecjalizowanych w żołnierskich roszczeniach.

Nie będę ukrywał, że rozważaliśmy z żoną, czy nie wybrać wolności (to jeszcze nie brzmiało ironicznie), pan Bennett już obiecywał żonie posadę w banku. Stany Zjednoczone były jeszcze wiarygodne jako obrońca wolności i demokracji na świecie. Nie zostaliśmy, Ameryka przyszła do nas – jako kto?

Przez czterdzieści kilka lat Polska należała do obozu wrogiego Ameryce i niemal wszyscy uważali ten stan za nienaturalny. Czekano na powrót do normalności i ku powszechnemu zadowoleniu doczekano się. Nie byłoby – sądzi rząd – normalności bez amerykańskich baz, a jeśli czegoś

będzie zawsze. Wydaje mu się, że do amerykańskiego parcia Polska powinna dopłacać. Zarówno pieniędzmi, jak też zrezygnowaniem ze swoich interesów gospodarczych i politycznych na naszym bliskim Wschodzie.

Nie daj Boże, jak polski polityk znacznie myśleć strategicznie. On już wie, że mocarstwo daleko leżące nie jest pewnym sojusznikiem i w razie niebezpieczeństwa ono może nie przyjść nam z pomocą, jak to we Wrześniu było. Dlatego trzeba wycygnąć od Amerykanów możliwie dużą liczbę żołnierzy i uczynić z nich zakładników. Gdy imperialiści rosyjscy na nas napadną, poszkodowani będą też żołnierze amerykańscy, może zostaną przedwcześnie obudzeni albo niektórzy z nich polegną i wtedy Ameryka będzie już musiała stanąć do otwartej wojny w naszej obronie, bo jeśli nie, to się zblamuje przed światem. Wstuchajcie się w to, co mówią Tusk, Duda, Morawiecki i inni, a przekonacie się, że ja ich dobrze rozumiem.

Podobno w internecie jest wszystko, ale jakoś nie natrafiłem na rozmowy amerykańskich generałów, w których byłoby założenie, że Rosja napadnie na Polskę i ze względu na to niebezpieczeństwo potrzebne są w Polsce amerykańskie bazy i wyrzutnie. Mówią co innego: „Wielkość i położenie geograficzne Polski przekonują, by stamtąd skupić się na wysiłkach obronnych państw bałtyckich. To wymaga wzmocnienia wojsk amerykańskich” (gen. Breedlove, cytuję za „Dziennikiem Gazetą Prawną”). Wszystkie te olbrzymie wydatki zbrojeniowe, które Polska pisowska (przypadek, że nie platformerska) ponosi, służą do obrony państw bałtyckich, a nie Polski. Armie trzeba mieć, ale do czego w obecnej koniunkturze strategicznej służy polskie wojsko? Do ochrony baz amerykańskich w Polsce. ■

Wszystkie te olbrzymie wydatki zbrojeniowe, które Polska pisowska ponosi, służą do obrony państw bałtyckich, a nie Polski.

scu zamieszkania widziałem drewniany kuferek, z którym przodkowie pani Vaughn z domu Bennett przytylnęli pod koniec XVII w. z Anglii. Pierwsze wrażenie w Ameryce, jakie zapamiętałem, to poczucie bezpieczeństwa, nie fizycznego wprawdzie, ale prawnego i politycznego. Podobno teraz już tego nie ma. Z biblioteki wychodziłem o godz. 22 i dla zdrowia wracałem piechotą. Przechodziłem przez dzielnicę, gdzie dała się zauważyć nadreprezentacja Afroamerykanów. Powiedziano mi potem, że to bardzo niebezpieczna dzielnica, ale nikt mnie nie zaczepił. Mógłbym długo opisywać sielską Amerykę, której dziś podobno już nie ma. Dawny dobrostan zachował się w wojsku, ale może tak mi się tylko zdaje, bo czytałem, że żołnierz amerykański ma ustawowo zagwarantowane osiem i pół godziny snu, a jeśli jakiś hałas w koszarach obudzi go wcześniej, to ma prawo podać wojsko do sądu. Istnieją setki, a może już ty-

jeszcze brakuje, to – według ministra Czaputowicza – rakiet krótkiego i średniego zasięgu uzbrojonych w głowice atomowe.

Oficjalna Ameryka w osobach kandydatów na prezydentów, senatorów, przywódców opinii publicznej itp. twierdzi bez osłonek, że głównym wrogiem Stanów Zjednoczonych jest Rosja. Odpowiednio do tego aksjomatu przesuwają swoje bazy militarne jak najbliższej granic Rosji. Zbliża się już do przedmieść Petersburga. Jako największe na świecie mocarstwo ma do tego prawo. Prawo mocarstw sięga tak daleko, jak ich siła, twierdzi łagodny skądinąd Spinoza, w czym nie był osamotniony, bo głosiciel oczywistości nie może być osamotniony.

Polak myśli, że armia amerykańska istnieje po to, aby bronić Polski przed imperialistyczną Rosją. Jego zdaniem istnieje przedustawna harmonia między polskim patriotyzmem a amerykańskim parciem na Rosję. I że tak

Helena Leman

W centrum wsi Starzyński Dwór w powiecie puckim stoi niezwykle monument radzieckiego jeńca. W portarganym szynelu, walonkach, czapce uszance, ze zwieszoną głową, bez broni, z dłonią zaciśniętą za plecami w pięść, siedzi znużony i pełen bólu. Na postumencie napis: „Umęczonym Żołnierzom Armii Czerwonej. Jeńcom hitlerowskiego reżimu 1942-1945”. Mieszkańcy kaszubskiej wsi mówią o nim: „Nasz Rosjanin”, „Smutny” albo „Śpiący”. Pomnik stanął we wsi w 1967 r., jego twórcą był Wawrzyniec Samp, wówczas student Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Monument upamiętnia zmarłych jeńców, którzy pracowali w tutejszym majątku rodziny von Grassów i zostali spaleni przez wycofujących się Niemców w stodole.

W ubiegłym roku Dariusz Drelich, wojewoda pomorski z nadania PiS, wszczął postępowanie przygotowawcze w sprawie dekomunizacji pomnika, co oburzyło lokalną społeczność. – Nasza zdecydowana postawa, a potem nagłośnienie sprawy przez media bardzo pomogły – mówi sołtys wsi Waldemar Bradtke. – Wystąpiliśmy z petycją do wojewody. Podpisali ją wszyscy mieszkańcy – 125 osób. Jeden z nich zaproponował nawet, że w ostateczności może za darmo pomnik rozebrać i przechować do lepszych czasów. Najważniejsze, by nie został zniszczony. Na szczęście nie było takiej potrzeby. We wrześniu 2018 r. otrzymaliśmy pozytywną opinię Instytutu Pamięci Narodowej w tej sprawie.

W postanowieniu czytamy: „(...) pomnik posadowiony w Starzyńskim Dworze na placu, przy ulicy Długiej spełnia warunki, o których mowa w art. 5a ust. 1 ustawy o zakazie propagowania komunizmu”. Opinia poparta jest obszernym wyjaśnieniem historycznym na temat obecności jeńców radzieckich na terenie XX Okręgu Wojskowego i Obszaru Fortecznego Gdynia, na którym w czasie II wojny światowej znalazł się Starzyński Dwór.

NASZ SMUTNY RYCERZ

Choć sprawa miała finał pod koniec ubiegłego roku, ludzie jeszcze nią żyją. Gdy 25 lutego rozmawiam z dwójką mężczyzn na podwórku po-

NASZYCH POMNIKÓW NIE ODDAMY

Lokalne społeczności walczą z IPN i pisowskimi wojewodami o pozostawienie śladów historii ich ziemi



Pomnik radzieckiego jeńca w Starzyńskim Dworze.

sesji przy pomniku, nie potrafią ukryć zdenerwowania. – Jakby nam zabrali naszego Rosjanina, to nie wiem, co by się stało. Już za poprzedniego sołtysa, 10-15 lat temu, były jakieś próby likwidacji pomnika – wspomina 38-letni Marcin Wicka. – Ale go odnowiliśmy, zmieniliśmy też napis. Pierwotny brzmiał: „Za naszą i waszą wolność 1939-1945”, a my chcieliśmy podkreślić okrutny los jeńców, o którym opowiadali nasi dziadkowie. Ten pomnik to nasza pamięć, część historii naszej wsi, nasza wizytówka i jednocześnie punkt orientacyjny. To nasz smutny rycerz, co po podróży przysiadł i odpoczywa.

Jan Dettlaff, lat 80, chciałby, żeby ktoś napisał pracę naukową o tym obozie, więzionych tam jeńcach, i ocalił w ten sposób pamięć o nich.

Pomysł zgłosił nawet w starostwie. – Za kontakt z jeńcami, podanie im żywności groziła kara śmierci – opowiada. – Mimo to ludzie ich dożywiali, jak umieli. Podkradali się pod druty o zmierzchu lub nocą. Nieżyjąca już pani Szwedowa za podanie chleba o mało życia nie straciła, pomagała także rodzina Kreftów, Cecylia Sammel, której posesja graniczyła z obozem, i wielu innych. Niestety, wszyscy już nie żyją. Pani Sammel, która zmarła dwa lata temu, opowiadała nam wiele wstrząsających rzeczy, np. że jeńców strasznie bito. Może kogoś dziwić, że Kaszubi bronią radzieckich żołdatów, ale dla nas to byli tylko udręczeni ludzie.

– Pomnik przypomina o radzieckich jeńcach, których los był przesądzony. Nawet jeśli przeżyli wojnę i wrócili do



Elza z Gorzowa Śląskiego.

kraju, spotykały ich z rozkazu Stalina zesłanie do gułagów, nierzadko śmierć. To jest pomnik wszystkich jeńców w Polsce, w Europie, którzy byli umęczeni. Rzeźba w żaden sposób nie propaguje ustroju totalitarnego, a w dodatku jest bardzo piękna – mówił w mediach Roman Drzeżdżon, kaszubski pisarz i pracownik Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie, którego babcia mieszkała w czasie wojny w Starzyńskim Dworze.

Jan Dettlaff pamięta powojenną ekshumację spalonych jeńców. – Wykopano siedem ciał i przeniesiono na cmentarz żołnierzy radzieckich we Władysławowie. Czy to byli wszyscy, nie wiem.

IPN w uzasadnieniu opinii pisze, że „w obozach i komandach roboczych w 1943 r. pracowało nawet do

Ten pomnik jest naszą historią. Stoi tu 48 lat i wrósł w krajobraz miasta.

92% jeńców sowieckich. Prawdopodobnie jedno z nich umiejscowione było w Starzyńnie. Likwidacja miejsc przetrzymywania nastąpiła w 1945 r., nieznane są dane dotyczące śmiertelności w tym czasie”.

– Historia jest jedna – dodaje Waldemar Bradtke. – Nie możemy z niej wybierać tylko wygodnych faktów. Wiadomo, jakie dominuje spojrzenie

Może kogoś dziwić, że Kaszubi bronią radzieckich żołdatów, ale dla nas to byli tylko udręczeni ludzie.



Miecze w Jastrowiu.

na żołnierzy radzieckich, ale sprawa z naszej wsi pokazuje, że są dwie strony medalu. Starsi ludzie opowiadali, że jeńców było od ok. 20 do nawet kilkudziesięciu. Jęczęli z głodu po nocach. Jesteśmy im winni pamięć, dbając o ten pomnik, który nigdy nie został zniszczony ani zde-wastowany.

ELZA Z ORŁEM I PEPESZKA

Na drugim końcu Polski, w Gorzowie Śląskim w województwie opolskim, ludzie i samorządowcy bronią przed dekomunizacją pomnika tzw. Elzy, który już od prawie pół wieku zdobi park przy urzędzie miasta. Jego autorem jest nieżyjący już Jan Borowczak, twórca wielu monumentalnych i artystycznie wysmakowanych pomników. Elza, postawna kobieta, trzyma w jednej ręce piastowskiego orła, trzy pylony z tyłu symbolizują trzy powstania śląskie. W rzeźbę został też wpisany motyw pepeszki, co zdaniem dekomunizatorów upamiętnia Armię Czerwoną. Ich obiekcje budzi również napis: „Bohaterom walk z faszyzmem. Wyzwolicielem ziem piastowskich w XXV rocznicę wyzwolenia”.

– Karabin typu pepesza używany był powszechnie, nie tylko przez wojska radzieckie – argumentowała Urszula Zajączkowska, dyrektorka Muzeum Śląska Opolskiego. Muzeum włączyło się w obronę pomnika, tłumacząc, że monument upamiętnia śląskich powstańców, a nie radzieckich żołnierzy. Jego twórca zaś był jednym z najwybitniejszych rzeźbiarzy Śląska Opolskiego, a misją muzeum jako instytucji jest zachowanie dziedzictwa artystycznego tej ziemi.

Tak jak w Starzyńskim Dworze mieszkańcy Gorzowa Śląskiego w kwietniu zeszłego roku zbierali podpisy pod petycją do wojewody, Adriana Czubaka z PiS. Odbyły się też protesty w obronę pomnika. – Przyszedłem, bo ten pomnik jest tak naprawdę naszą historią. Stoi tu 48 lat i wrósł w krajobraz miasta, a obecna władza traktuje go jako radziecki śmietnik – mówił jeden z uczestników Janusz Smolarz.

W obronę pomnika włączyli się spadkobiercy praw autorskich twórcy, zwłaszcza córka Jana Borowczaka. Sprawa Elzy jest w toku. – Otrzymaliśmy właśnie odpowiedź z IPN, że musimy poprawić napisy na pomniku – mówi burmistrz Artur Tomala. – Nawet zasugerowano nam, jaki to ma być napis. Teraz zamierzam jego treść skonsultować ze spadkobiercami. Właśnie czekam na ich propozycję opisu pomnika. Mam nadzieję, że sprawa zakończy się pomyślnie, że po pewnych kosmetycznych poprawkach nasz pomnik zostanie i będzie upamiętniał wszystkie ofiary konfliktów zbrojnych w XX w. Ale gdyby nie nasza determinacja, Elza dawno zostałaby rozebrana. A przecież ten pomnik oprócz patriotycznego ma także kontekst bardzo lokalny. Wiele lat temu na parterze naszego urzędu działał sklepik, sprzedawała w nim bardzo energiczna i postawna kobieta, która nieraz dopiekała panom nadużywającym trunków. To od niej pomnik stojący w pobliżu nazwano Elzą.

KOMU PRZESZKADZAJĄ MIECZE GRUNWALDZKIE

Burmistrz Jastrowia w województwie wielkopolskim, który ma

► w centrum miasteczka tzw. miecze grunwaldzkie, od miesięcy wraz z mieszkańcami walczą o ich pozostawienie. Monument posadowiony jest na gruntach należących do Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad. Ustawione pionowo dwa miecze, tarcza z białym orłem bez korony, napis „Wał Pomorski” i nazwa miejscowości – takie pomniki wyznaczają linię niemieckich fortyfikacji, które zimą 1945 r. miały zatrzymać marsz polskich i radzieckich żołnierzy na zachód. Miecze znajdują się na terenie dzisiejszego województwa zachodniopomorskiego i częściowo wielkopolskiego.

– Na terenie byłego województwa pilskiego takich pomników jest 21, wszystkie powstały na jeden wzór, z inicjatywy byłego wojewody pilskiego Andrzeja Śliwińskiego – mówi Piotr Kozłowski z referatu gospodarki przestrzennej gminy Jastrowie. – W Pile stoją dwa, po jednym w Podgajach, Nadarzycach i Budzynie. W Rogoźnie, jak ostatnio przejeżdżałem, też jeszcze miecze stały. Nas nie oswobodzili „żołnierze wyklęci”, tu nie było partyzantki, tu byli Niemcy – ziemie wcielone. Nas wyzwoliła 1. Armia Wojska Polskie-



Pomnik obrońców Birczy.

mniki powstały później, pod koniec lat 70., z inicjatywy lokalnej. Ich formy odlewnicze zrobiono w Jastrowiu w nieistniejącym już Kombinate Budownictwa Komunalnego. – 21 pomników ustawiono w 21 dni – mówił mediom Jan Szumański, szef wydziału kultury urzędu wojewódzkiego, jeden z pomysłodawców akcji stawiania mieczy grunwaldzkich

Nas nie oswobodzili „wyklęci”, tu nie było partyzantki. Nas wyzwoliła 1. Armia Wojska Polskiego.

go i tego nie zmienimy. W walkach o Wał Pomorski zginęło, zaginęło i zostało rannych ponad 10 tys. Polaków. Na samym terenie gminy Jastrowie, w Nadarzycach, oddało życie ponad 800 żołnierzy.

„Miecze mają formę nadaną przez prosowiecką Gwardię Ludową. Tym samym symbol ten był wytworem sił prosowieckich, które w sposób siłowy i w oparciu o Związek Socjalistycznych Republik Sowietkich przejęły władzę w Polsce. Wśród odznaczonych Krzyżem Grunwaldu były osoby tworzące Polskę Ludową, m.in. Bolesław Bierut, Władysław Gomułka, Konstanty Rokossowski i Wanda Wasilewska”, napisano w uzasadnieniu IPN, odpowiadając na zapytanie wojewody zachodniopomorskiego.

Tymczasem samorządowcy i mieszkańcy podkreślają zdecydowanie, że ich miecze nie mają nic wspólnego z Krzyżem Grunwaldzkim, gdyż po-

w latach 70., który uważa, że miecze to symbol polskości tych ziem.

W obronie pomników napisali list do wojewody zachodniopomorskiego szczecińscy historycy: „Inicjatywa usunięcia monumentów uderza nie tylko w rzetelność przekazywania historii społeczeństwu, ale również w prawo społeczności lokalnych do kreowania i pielęgnowania własnej pamięci o ludziach i wydarzeniach dla nich ważnych”. W sondzie przeprowadzonej przez portal Zlotowskie.pl 84% mieszkańców gminy Jastrowie opowiedziało się za pozostawieniem pomnika.

W grudniu zeszłego roku GDDKiA zaproponowała jego przejęcie gminie. 8 stycznia 2019 r. burmistrz Jastrowia Piotr Wojtiek odpowiedział GDDKiA, że „warunkiem przejęcia przez samorząd jest pozostawienie ww. obelisku w istniejącej lokalizacji”. Dodał, że władze gminy są „zainteresowane rozwiązaniem problemu w sposób

ugodowy, mający na celu rozładowanie możliwych napięć społecznych”.

– Wciąż czekamy na odpowiedź GDDKiA. Jesteśmy gotowi utrzymać ten pomnik – deklaruje Piotr Kozłowski. – Już wcześniej odmalowaliśmy orła. Jednocześnie rozumiemy, że GDDKiA jest instytucją państwową, a my jako samorządowcy mamy większą swobodę. Miecze na Wał Pomorskim wyznaczają nie tylko drogę martyrologii żołnierza polskiego, ale też przyciągają turystów zainteresowanych militariami, miejscami bitew, bunkrami, umocnieniami, dla nich to kontakt z żywą historią. Jeżeli wszystko polikwidujemy, wymażemy, to co nam zostanie? Nikt tu nie przyjedzie.

W lutym burmistrz Jastrowia polecił przygotować koszulki z wizerunkiem mieczy grunwaldzkich. Można je nabyć w miejscowym ośrodku kultury. Jako pierwszy sprawę mieczy nagłośnił ubiegłej jesieni Piotr Pawlik, burmistrz Mirosławca w Zachodniopomorskiem, gdzie znajduje się identyczny pomnik.

SPÓR O INSKRYPCJE

Gmina Bircza w województwie podkarpackim ma podwójnego pecha. Na krótko w listopadzie 2017 r. trzykrotna obrona tej miejscowości przed Ukraińską Powstańczą Armią została uhonorowana napisem na tablicy przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Po wypowiedzi przewodniczącego Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, „że w Polsce na szczeblu państwowym upamiętniani są czekiści”, Bircza zniknęła z tablicy. I nigdy na nią nie wróciła mimo monitów do najwyższych władz Polski i tłumaczeń samorządowców oraz lokalnych historyków.

Teraz już prawie od roku birczanie walczą o pomnik jej obrońców, który został objęty ustawą o dekomunizacji. Chodzi o ustawiony na rynku w Birczy kamienny obelisk zwieńczony orłem, z następującym napisem: „Żywi to pamiętają, żywi dziś czuwają. Poległym w walkach z faszystowskimi bandami UPA w latach 1944-1947. Żołnierzom WP-WOP-KBW, funkcjonariuszom MO-ORMO w XV rocznicę powstania Milicji Obywatelskiej. Społeczeństwo”.

29 marca 2018 r. Rada Gminy Bircza, uwzględniając zalecenia dekomunizacyjne, uchwaliła nową inskrypcję w brzmieniu: „Żywi to pamiętają, żywi

dziś czuwają. W hołdzie żołnierzom WP, WOP, milicjantom, członkom lokalnej samoobrony, podziemia niepodległościowego poległym w walkach z oddziałami zbrodniczych formacji OUN i UPA w latach 1944-1947". Inskrypcja nie zyskała akceptacji wojewody ani IPN. Zalecany przez IPN napis ma brzmieć: „Pamięci obrońców Birczy i okolicznych miejscowości poległych w walce z oddziałami zbrodniczych formacji OUN i UPA”. Na taką treść z kolei nie zgadza się lokalna społeczność, która chce, aby zostali wymienieni zwłaszcza żołnierze Wojska Polskiego, których podczas obrony zginęło ok. 70, i milicjanci.

– IPN sam sobie przeczy. Opiniując pozytywnie powstanie ronda Obrońców Birczy w Elblągu, w piśmie do wojewody warmińsko-mazurskiego z 31 sierpnia 2018 r. tak uzasadnia decyzję: „Należy podkreślić, że celem milicjantów i żołnierzy WP broniących Birczy była przede wszystkim skuteczna obrona polskiej ludności przed UPA”. Nie rozumiem więc, dlaczego nie możemy ich umieścić w inskrypcji na pomniku – mówi Woj-

ciech Bobowski, były przewodniczący Rady Gminy Bircza.

10 stycznia br. wszczęto postępowanie administracyjne, które prowadzi wojewódzki inspektor nadzoru budowlanego. 23 stycznia rada gminy w oświadczeniu wyraziła oburzenie tym faktem: „Rozbiórka pomnika okryłaby hańbą pamięć o bohaterach. (...) Tej obrony nie można rozumieć w kategoriach dobry-zły. Broniący życia dzieci, kobiet czy też swojego dobytku i tożsamości narodowej nie mogą podlegać ocenie, jest to moralnie niesprawiedliwe”. Dwa dni później wojewoda podkarpacka Ewa Leniart, która poprzednio była dyrektorem Oddziału IPN w Rzeszowie, zaskarżyła do wojewódzkiego sądu administracyjnego ubiegłoroczną uchwałę rady gminy. Postępowanie w sprawie rozbiórki pomnika na razie zawieszono. Samorządowcy i mieszkańcy czekają, aż spór rozstrzygnie sąd. Rozebraniu pomnika w Birczy sprzeciwia się także senator PiS Mieczysław Golba. 21 lutego br. Rada Gminy Bircza po konsultacjach ze Związkiem Kombatanów RP i Byłych Więźniów Politycznych jeszcze

raz zaproponowała treść napisu na pomniku. Inskrypcja podobna jest do tej z 29 marca ub.r., są w niej żołnierze WP i milicjanci, nie ujęto zaś WOP.

BILANS

Adam Lewandowski z Biura Informacji i Komunikacji Społecznej IPN informuje, że w związku z zapytaniami właścicieli nieruchomości, na których znajdowały się pomniki wzbudzające wątpliwości w kontekście art. 5a ustawy z 1 kwietnia 2016 r. o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego, do końca lutego instytut przygotował 332 opinie na temat 458 pomników. W trybie art. 5b ustawy (zapytania wojewody) zostały przygotowane 92 opinie w sprawie pomników. Do Muzeum Żmławskiej Wojny w Podbojsku zostało przekazanych 11 obiektów.

Wprowadzenie prawie trzy lata temu ustawy dekomunizacyjnej pokazało, że nie zawsze oficjalna polityka historyczna idzie w parze z odczuciami i ocenami lokalnych społeczności.

Helena Leman

TYLKO FAKTY I PRAWDZIWA HISTORIA

Czytelniku, doceniamy
to, że jesteś z nami!

Kup książkę lub przekaz darowiznę

Wpłaty prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
 Fundacja Oratio Recta
 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

PAKIET 145 ZŁ

Łukasz Grzesiczak

Kampania przed słowackimi wyborami prezydenckimi przypominała nieco *rollercoaster*. Najpierw Andrej Kiska, urzędujący prezydent i najpopularniejszy polityk na Słowacji, zapowiedział, że z powodów rodzinnych nie będzie ponownie ubiegał się o mandat. Potem doszło do politycznego trzęsienia ziemi po zabójstwie dziennikarza śledczego Jána Kuciaka i jego narzeczonej Marty Kušnírovej. W efekcie dziesiątki tysięcy ludzi w całym kraju wyszły na ulice i doprowadziły do dymisji ówczesnego premiera Roberta Ficy. Wszystko wskazywało, że bój o fotel prezydencki rozstrzygnie się pomiędzy wspieranym przez Smer, czyli partię Ficy, dyplomatą Marošem Šefčovičem a popieranym m.in. przez prawicowo-liberalną partię Wolność i Solidarność chemikiem i przedsiębiorcą Robertem Mistrikiem. Tymczasem ten drugi niespodziewanie zwołał konferencję prasową, ogłosił, że wycofuje się z wyścigu, i poparł Zuzanę Čaputovą, której sondaże dały wcześniej trzeci wynik.

Čaputová jest wiceszefową ruchu społecznego Progresywna Słowacja, który stawia sobie za cel prezentowanie postępowych rozwiązań problemów społecznych i łączenie ludzi podobnie myślących. Ruch powstał w 2016 r., oficjalnie został zarejestrowany w listopadzie 2017 r., ale przez ten czas odgrywał marginalną rolę. Jego popularność wzrosła po wybuchu niezadowolenia społecznego, który był następstwem morderstwa dziennikarza i zniechęcenia Słowaków do skorumpowanych rządów Smeru.

Zuzana Čaputová, do niedawna szerzej nieznana prawniczka, teraz może zostać pierwszą w historii kobietą na stanowisku prezydenta. Poprzednio szansę na słowacką prezydenturę miała przed dziewięcioma laty Iвета Radičová. Według sondażu firmy Ako z 1 marca na Čaputovą chce głosować niemal 53% Słowaków. W tym samym sondażu na drugim miejscu uplasował się jej najgroźniejszy rywal Maroš Šefčovič z poparciem ok. 17%. W opublikowanym dzień wcześniej sondażu

CZY SŁOWACY WYBIORĄ KOBIETĘ

45-letnia rozwiedziona prawniczka ma szansę zostać prezydentem konserwatywnej Słowacji



Według sondażu na Zuzanę Čaputovą chce głosować niemal 53% Słowaków.

firmy Focus także na czele była Čaputová, ale jej przewaga nad drugim Šefčovičem została oceniona na 44,8% do 22,1%.

Faworytka wyborów promuje się jako bojowniczką o lepsze środowisko życiowe, sprawiedliwość i niezależność wymiaru sprawiedliwości. Od początku cieszyła się ogromnym poparciem wśród słowackich liberałów i młodych wyborców. W mediach społecznościowych dzieli się m.in. zdjęciem z Andrejem Kiską z popularnego festiwalu Pohoda. Specjaliści od politycznego PR niemal zgodnie przyznają, że siłą Čaputovej są bezpośrednie spotkania

z wyborcami, a kandydatka w ich trakcie zyskuje kolejne głosy.

„Jesteśmy świadkami afer korupcyjnych, jawnych i jednoznacznych kłamstw w życiu publicznym i w polityce. Jesteśmy świadkami tego, że środków, które są rozkradane za sprawą korupcji, potem brakuje w usługach publicznych. Jako kraj stoimy na rozstaju, dlatego jest tak ważne, aby ludzie, którym się powiodło w ich zawodach, szli do życia publicznego”, powiedziała w wywiadzie dla tygodnika „Týždeň”. Słowacka polityczka ostro krytykuje byłego premiera Roberta Ficy i skorumpowaną słowacką politykę. Jako swój wzór podaje ciągle urzędującego prezydenta Kiskę.

Čaputová jest rozwiedzioną matką dwójki dzieci, akceptuje związki partnerskie homoseksualistów

i adoptowanie przez nich dzieci. Nie ma zamiaru wprowadzać na Słowacji zakazu aborcji.

Pierwsza tura wyborów prezydenckich odbędzie się w sobotę 16 marca, lokale wyborcze będą otwarte od godz. 7 do 22. Startuje 13 kandydatów. W pierwszej turze głosować może 4,45 mln wyborców, z czego 2,31 mln to kobiety. Dla 17,5 tys. wyborców to pierwsze głosowanie w życiu. Choć ostatni sondaż daje Čaputovej ponad 50% poparcia, szansa, że rozstrzygnięcie przyniesie już pierwsza tura, jest niemal zerowa. Druga nie odbyłaby się, gdyby któryś z kandydatów zdobył ponad połowę głosów wszystkich uprawnionych do ich oddania, czyli ponad 2,2 mln. Taki zapis pojawił się po rządach kontrowersyjnego Vladimíra Mečiara w latach 90. Dziś jego interpretacja znów podzieliła Słowaków, ale wszystko wskazuje, że u naszych sąsiadów druga tura będzie potrzebna – odbędzie się 30 marca.

Trudno przewidywać rezultat na podstawie ostatnich badań poparcia dla kandydatów. Po pierwsze, najnowsze pochodzi z 1 marca, a następnego nie będzie, bo na Słowacji panuje zakaz publikacji wyników sondaży przez dwa tygodnie przed wyborami (i w dniu głosowania). Po drugie, sytuację zmieniła ogłoszona 26 lutego przez Roberta Mistríka decyzja o wsparciu Čaputovej. To efekt ich wcześniejszego porozumienia, że kandydat z mniejszym poparciem przekaże głosy silniejszemu. Prawdopodobnie Mistrík, który poprzednio górował w sondażach nad prawniczką, na podstawie swoich badań wiedział, że trend się zmienia i to Čaputová ma większe szanse na zwycięstwo. Nie sposób powiedzieć, na ile jego decyzja przełożyła się na rzeczywiste poparcie dla Čaputovej. Po jej ogłoszeniu opublikowano jedynie dwa miarodajne wyniki sondaży, w trzecim uwzględniono jeszcze poparcie dla kandydata, który zdążył wycofać się z wyścigu. Podczas dwóch ostatnich tygodni kampanii wiele może się zdarzyć. To teraz toczą się najważniejsze debaty między kandydatami, a konkurencja robi wszystko, by zdyskredytować Čaputovú, wykorzystując nawet fake newsy.

Najpoważniejszym konkurentem wiceszefowej Progresywnej Słowacji

pozostaje Maroš Šefčovič. To ogromnie ceniony nie tylko w kraju, ale i w świecie dyplomata i urzędnik europejski. Obecnie pełni funkcję wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej ds. unii energetycznej. Od 2009 r. jest unijnym komisarzem. Nim został wiceprzewodniczącym KE, pełnił funkcję komisarza ds. edu-

Faworytka wyborów promuje się jako bojowniczką o lepsze środowisko życia i niezależność wymiaru sprawiedliwości.

kacji, kultury, szkoleń i młodzieży oraz ds. stosunków międzyinstytucjonalnych i administracji. Šefčovič nie jest członkiem socjaldemokratycznego Smeru, ale kandyduje z jego poparciem, co z pewnością może mu odebrać część głosów Słowaków, którzy są bardzo krytyczni wobec działań partii Ficy. W bratysławskich kawiarniach słysząc zaskoczenie, że Šefčovič zgodził się na bycie marionetką w rękach Ficy, ale nawet spora część wyborców Čaputovej uważa go za kompetentnego polityka i dyplomata.

Równie interesujące jak szanse poszczególnych kandydatów zdają się spekulacje na temat decyzji dotychczasowego prezydenta o nieubieganiu się o reelekcję. – Przez lata Andrej Kiska uchodził za najpopularniejszego słowackiego polityka. Jako pierwszy potrafił w bezpośrednim starciu wygrać z Robertem Ficą – mówi dr Juraj Marušiak, politolog ze Słowackiej Akademii Nauk. – Z drugiej strony im dłużej Kiska rządził, tym dłużej musiał się spierać ze Smerem. Jego rankingi spadały, co jest wynikiem twardej walki politycznej. Nie wszystkim na Słowacji podobało się mocne stanowisko proatlantyckie i krytyczne wobec Rosji.

Juraj Marušiak uważa także, że Kisce nie pomogło podróżowanie rządowym samolotem do Popradu, gdzie zdecydowała się pozostać na czas prezydentury jego żona. – Słowacja, podobnie jak Polska, jest podzielona na dwa nieprzyjacielskie obozy. Kiska ma stabilne poparcie u przeciwników Roberta Ficy, tylko dlatego, że jest z nim w konflikcie. Działa to też w drugą stronę – dodaje politolog.

Marušiak przypomina, że od Kiski oczekiwano stworzenia wielkiej prawicowej koalicji lub założenia włas-

nej partii. – Nic z tego nie wyszło. Z jednej strony, Kiska przyszedł do słowackiej polityki jako *tabula rasa*, nikt nie zna do końca jego poglądów. Te kształtują często doradcy polityczni. Ciężko w takiej sytuacji stworzyć partię. Z drugiej, nie potrafił sobie wyobrazić, że polityk, który mało był w Bratysławie i jako prezydent

wolał spędzać czas w rodzinnym domu w Popradzie, znajdzie motywację, by budować ugrupowanie polityczne, poprowadzić je do walki wyborczej i po ewentualnym zwycięstwie stanąć na czele rządu – zastanawia się.

– To bardzo prawdopodobne, że Andrej Kiska wygrałby najbliższe wybory prezydenckie. Mamy tylko niepotwierdzone informacje, dlatego nie zdecydował się na kandydowanie i jakie są jego najbliższe plany polityczne. Jego prezydenturę ocenia się raczej pozytywnie, ale trzeba przyznać, że obok Sorosa jest jedną z postaci najmocniej krytykowanych przez ludzi tzw. antysystemowego protestu – uważa Tomáš Hučko, redaktor naczelny lewicowego magazynu „Kapitál”.

Słowacki dziennikarz zwraca także uwagę, że o fotel prezydenta ubiega się neofaszysta Marian Kotleba. – Ten ma już tradycyjnie poparcie 7-8%. Niebezpieczeństwo polega na tym, że kolejny kandydat Štefan Harabin zwraca się do podobnych wyborców. Wiele osób oczekiwało, że Kotleba poprze Harabina i będzie jeden silny kandydat. Na szczęście tak się nie stało – dodaje Hučko. Wedle ostatniego sondażu obaj kandydaci w sumie mogą liczyć na poparcie nawet 20%.

– To bardzo ważne wybory, które zdecydują o dalszym kierunku Słowacji. Okaze się, czy wybierzemy uczciwego kandydata wierzącego w demokratyczne wartości, czy antysystemowca, którego program wyborczy opiera się na nacjonalizmie, seksizmie i rasizmie. Nie chodzi jedynie o funkcję symboliczną. Nowy prezydent czy prezydentka będzie współodpowiadał za kierunek naszej polityki zagranicznej – mówi Hučko. ■

OREGON KONTROLUJE CZYNSZE

Czy władze publiczne powinny ustalać ceny najmu mieszkań?

Mateusz Mazzini

Katherine Brown, 59-letnia prawniczka i członkini Partii Demokratycznej, na amerykańskiej mapie politycznej wyróżnia się niemal od początku kariery. Kiedy ponad dwie dekady temu pierwszy raz wchodziła w zwarcie z republikanami zasiadającymi we władzach stanu Oregon, ci zarzucali jej, że jako urodzona w Hiszpanii nie ma pełnego prawa decydowania o losach obywateli Stanów Zjednoczonych. Później zaszła tamtejszej prawicy za skórę zdecydowanym działaniem na rzecz ochrony środowiska i kontroli emisji oraz zaangażowaniem w ruchy związkowe i walkę o prawa pracownicze. Ameryka na dobre jednak zapamiętała sobie jej nazwisko w 2015 r., kiedy Brown, wygrywając wybory na gubernatora stanu, stała się pierwszą w historii USA otwarcie biseksualną osobą piastującą to stanowisko. Wprowadzony kilka tygodni temu decyzją pani gubernator ogólnostanowy limit wzrostu czynszów w wynajmowanych mieszkaniach był więc kontynuacją jej linii ideologicznej i wizerunku politycznego.

Co jest jasne dla obserwatorów polityki, nie zawsze wydaje się tak oczywiste z ekonomicznego punktu widzenia. Właścucha że Oregon w ostatnich kilkunastu latach stopniowo zyskiwał na atrakcyjności jako jeden z najgorętszych rynków mieszkaniowych w Ameryce. Cały region północnego zachodu, razem ze stanami Idaho i Waszyngton, przyciąga niemal na skalę masową małe i średnie przedsiębiorstwa, zwłaszcza z branży nowych technologii. W ślad za nimi idą inwestorzy i pieniądze, a koszty wynajmu mieszkań są coraz większe. Życie na Zachodnim Wybrzeżu z dnia na dzień staje się coraz droższe. Widać to najlepiej w danych statystycznych. Według ubiegłorocznego raportu amerykańskiej Koalicji na rzecz Mieszkalnictwa dla Najstabiliej Zarabiających Waszyngton jest już 10. najdroższym

stanem pod względem kosztów wynajmu mieszkania. Oregon w ciągu kilku lat awansował w tej klasyfikacji z czwartej dziesiątki na 18. miejsce. Bank inwestycyjny JPMorgan Chase obliczył, że w samym Portland, największym mieście stanu, czynsze w 2017 r. wzrosły o 13% w skali roku. W porównaniu z 2014 r. to wzrost o prawie jedną trzecią, a kwoty płacone przez najemców powoli zrównują się z obowiązującymi w dużo bogatszych miastach Kalifornii czy Wschodniego Wybrzeża.

Oregon stał się jednym z najgorętszych rynków mieszkaniowych w Ameryce.

Skoro w całym stanie, liczącym ponad 4 mln mieszkańców, aż 39% populacji mieszka w wynajmowanych nieruchomościach, koszty rosnące w tak zawrotnym tempie mogą spowodować kryzys społeczny.

Nowe prawo wprowadzone przez Katherine Brown ma zahamować ten niekorzystny dla najemców trend. Właściciele lokali nie będą mogli podnieść czynszu o więcej niż 7% rok do roku. Dodatkowo w przypadku decyzji o eksmitowaniu lokatorów będą zobowiązani dać im trzymiesięczne wypowiedzenie, a jeśli chcą natychmiastowej wyprowadzki – wypłacić im równowartość miesięcznego czynszu.

Z punktu widzenia europejskiego rynku nieruchomości regulacje

poziomie 7%. Katherine Brown zapowiada, że w kolejnych latach wyłączenia te będą ograniczane, a później nawet likwidowane, jednak czas pokaże, czy starczy jej kapitału politycznego na wdrożenie pełnej publicznej kontroli wysokości czynszów.

Na razie decyzja wzbudziła mieszane uczucia. Oprócz tradycyjnych oskarżeń o socjalizm i wprowadzanie gospodarki centralnie sterowanej, padających ze strony republikanów, krytyka płynie od macierzystego elektoratu. Wielu wyborców zarzuca

Brown zbyt ustepstwem wobec właścicieli mieszkań. Inni zwracają uwagę, że siedmioprocentowy limit i tak często przewyższa

możliwości finansowe rodzin wynajmujących mieszkania czy domy. Pani gubernator stara się odpyrać te ataki, podkreślając, że kryzys na rynku mieszkalnictwa nie jest jedynie problemem Oregonu, ale dotyczy całego Stanu i potrzeba w tej kwestii rozwiązań systemowych, o zasięgu ogólnokrajowym, bo lokalne mają ograniczoną skuteczność.

Odpowiedź na pytanie o możliwość kontrolowania przez władze wysokości czynszów nie będzie jednoznaczna. Przez liberałów taka polityka jest zapewne postrzegana jako zamach na wolność gospodarczą, przez wyborców o sympatiach lewicowych – jako sposób na utemperowanie niewidzialnej ręki rynku i wyrównanie szans w społeczeństwie.

Właściciele mieszkań będą wypłacać eksmitowanym z dnia na dzień najemcom miesięczny czynsz.

te wydają się dość oczywiste, ale w Stanach Zjednoczonych, kraju, który lokatorów nie chroni prawie w ogóle, to prawdziwa rewolucja.

Oczywiście nowe prawo jest obudowane wieloma wyjątkami. Najważniejszy dotyczy budynków nowszych niż 15-letnie. Właściciele takich nieruchomości będą wyłączeni, przynajmniej na razie, z obowiązku utrzymywania wzrostu cen najmu na

Problem w tym, że ingerencja państwa w mieszkalnictwo może wywołać mnóstwo nieoczekiwanych konsekwencji. Jak zauważa Edmund Andrews z Uniwersytetu Stanforda w Kalifornii, kontrola cen najmu może zniechęcić właścicieli mieszkań do wprowadzania nieruchomości na rynek. W dobie ekonomii współdzielenia i przy coraz większej popularności platform umożliwiających



Kilka tygodni temu gubernator Katherine Brown zdecydowała o wprowadzeniu ogólnostanowego limitu wzrostu czynszów w wynajmowanych mieszkaniach.

krótkoterminowy, niemal bezkontraktowy najem, takich jak Airbnb czy HomeStay, właściciele mogą przenosić swoje mieszkania właśnie do tego sektora, bo tam cenę mogą ustalać sami. Jeśli nie będą w stanie zarobić rynkowej kwoty na najmie długoterminowym, zwrócą się ku rozwiązaniom tymczasowym, ale zapewniającym wyższy jednostkowy dochód. Andrews ilustruje w ten sposób prostą zależność. Mniejsza liczba dostępnych na rynku mieszkań spowoduje, że najemcom będzie coraz trudniej znaleźć nieruchomość odpowiadającą ich potrzebom. Właściciele tych mieszkań bądź domów, które pozostaną na rynku, też odczują zmianę układu sił. Będą mogli utrzymywać te same lub nawet wyższe ceny bez konieczności inwestowania w remonty. Dodając do tego wspomnianą już rosnącą atrakcyjność takich miejsc jak Oregon i coraz popularniejszy, zwłaszcza wśród milenialsów, model wynajmu krótkotrwałego, łatwo spostrzec, że regulacje teoretycznie chroniące najuboższych mogą się obrócić przeciwko nim.

Innym problemem jest skuteczność działań regionalnych. Wprowadzić stany, hrabstwa czy miasta mogą wprowadzać limity podwyżek czynszów, ale najczęściej nie mają wystarczających zasobów finansowych, by otoczyć lokatorów szerszą ochroną. Robert Murphy, ekspert amerykańskiej Fundacji na rzecz

Rozwoju Ekonomicznego, podkreśla, że w tym celu potrzebne są rozwiązania na poziomie federalnym. Rząd w Waszyngtonie oferuje bowiem poduszki finansowe dla bezrobotnych, emerytów, studentów, lecz nie zapewnia wsparcia materialnego osobom wynajmującym mieszkania.

W całym stanie, liczącym ponad 4 mln mieszkańców, aż 39% populacji mieszka w wynajmowanych nieruchomościach.

Dlatego w kręgach tamtejszych ekonomistów rodzi się pomysł stworzenia swoistego „ubezpieczenia od eksmisji”, czyli federalnych przekazów pieniężnych dla osób, które z dnia na dzień lądują na bruku. Podobne rozwiązanie zastosował Oregon, nakazując właścicielom wypłacać eksmitowanym najemcom miesięczny czynsz.

O ile jest to krok w dobrą stronę, o tyle sytuacji na rynku nie zrewolucjonizuje. Miesięczna kwota wynajmu rzadko bowiem pozwala na szybkie znalezienie nowego mieszkania. Ciekawy jest też fakt, że zaradzeniu nierównościom w dostępie do mieszkań czy przewadze właściciela

nad najemcą mają służyć dotacje finansowe, a nie prawodawstwo wspierające lokatorów, chociażby zakaz nagłych czy nieuzasadnionych eksmisji.

Mimo kontrowersji związanych z kontrolowaniem wzrostu cen najmu coraz więcej polityków na świecie rozważa stosowanie tego instrumentu. W USA do przyjęcia podobnych regulacji szykują się władze San Francisco i Sacramento w Kalifornii. Głośno o potrzebie regulowania rynku mieszkaniowego mówi też burmistrz Londynu Sadiq Khan. Zwiększenie dostępu do wynajmowanych nieruchomości zapowiadał już w kampanii wyborczej z 2016 r. Inaczej jednak niż amerykańscy politycy Khan chce podejść do tej kwestii z perspektywy prawodawczej, a nie finansowej. Już w tym roku ma dojść w Londynie do wprowadzenia pełnego zakazu tzw. eksmisji z paragrafu 21, czyli jednostronnego wypowiedzania umowy najmu przez właściciela lokalu bez okresu wypowiedzenia.

Według organizacji Generation Rent, zajmującej się badaniem dostępu do rynku nieruchomości

w Wielkiej Brytanii, to właśnie nagłe eksmisje są od 2012 r. główną przyczyną bezdomności na Wyspach. Poparcia dla swojej inicjatywy Khan szuka także w parlamencie, chcąc uczynić z niej prawo ogólnokrajowe. Ma zresztą wielu zwolenników – limit wzrostu czynszów chcą wprowadzić chociażby władze niemal wszystkich największych miast Szkocji. W tej chwili wydaje się to eksperymentem graniczącym z utopią, jednak za kilka lat może być koniecznością. ■

Nowy numer tygodnika „NIE”:
Międzynarodowy Dzień Kobiet po polsku.



Ukraińskie ofiary OUN i UPA

Banderowcy mordowali Ukraińców w równie okrutny sposób jak Polaków czy Żydów

Bohdan Piętko

Ukraiński ruch nacjonalistyczny, w tym jego banderowski odłam – najbliższy ideowo-politycznie niemieckiemu nazizmowi – od lat 90. XX w. jest przedstawiany na Ukrainie jako ruch narodowyzwolenczy. Podobnie było w latach 40. Utworzona w 1929 r. Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów za głównego wroga uważała Polaków i II Rzeczpospolitą. W jej materiałach propagandowych na drugim po Polakach miejscu wymieniano Żydów, a na trzecim ZSRR („moskiewską komunę”). Dlatego ofiarami działalności terrorystycznej OUN przed 1939 r. byli prawie wyłącznie Polacy. Wyjątek stanowił radziecki konsul we Lwowie Aleksiej Majłow – zastrzelony 21 października 1933 r. w gmachu konsulatu przez bojówkarza OUN. W 1941 r., kiedy w agresji na ZSRR wzięty udział złożone z nacjonalistów ukraińskich bataliony Nachtigall i Roland oraz tzw. grupy pochodne OUN, ostrze ich terroru skierowało się przeciwko Żydom. Doszło wtedy do dwóch wielkich pogromów we Lwowie (30 czerwca-2 lipca oraz 25-27 lipca 1941 r.), w których zginęło 7 tys. osób, oraz kilkudziesięciu pogromów w innych miejscowościach. Wsparcia Niemcom w Zagładzie udzieliły też w latach 1941-1942 formacje ukraińskiej policji pomocniczej, do których zaciągali się głównie członkowie OUN. Największą zbrodnią nacjonalistów ukraińskich – popełnioną w latach 1943-1944 przez banderowską frakcję OUN i utworzoną przez nią Ukraińską Powstańczą Armię – było ludobójstwo na Polakach zamieszkujących Wołyń i Małopolskę Wschodnią (100-130 tys. ofiar).

Bratobójcza walka banderowców z melnykowcami

Jednak ofiarami OUN i UPA – o czym ich gloryfikatory nie chcą pamiętać – stali się także Ukraińcy.

Nie mogło być inaczej, ponieważ rzeczywistym celem inspirowanego ideologią faszystowską ruchu nacjonalistycznego było utworzenie państwa totalitarnego, monopartyjnego i homogenicznego narodowościowo. Państwa o hierarchicznej strukturze społecznej podporządkowanej wodzowi, tak samo jak we włoskim i niemieckim pierwowzorze. To miała być Ukraina wcale nie niepodległa, *samostijna* – tym hasłem szermowano, by zdobyć poparcie naiwnych – lecz faszystowska. Oba odłamy OUN, banderowski i melnykowski, nie miały przy tym nic przeciw temu, by taka Ukraina była niemieckim protektorałem. Zginąć więc musieli również ci Ukraińcy, którzy stali na drodze do osiągnięcia tego celu: komuniści, antyfaszyści.

Ukraińskie ofiary OUN i UPA zawsze należały do najgłębiej skrywanych tajemnic ruchu nacjonalistycznego. Zarówno podczas wojny, jak

Ukraińskie ofiary OUN i UPA zawsze należały do najgłębiej skrywanych tajemnic ruchu nacjonalistycznego.

i później – kiedy ukraińska emigracja nacjonalistyczna w Kanadzie przystąpiła do tworzenia mitu walki narodowyzwolenczej. Główne dzieło tej emigracji – wielotomowe wydanie Litopysu (Kroniki) UPA – zawiera jedynie materiały propagandowe i wspomnienia kombatantów UPA, gloryfikujących i fałszujących swoją działalność. To samo można powiedzieć o twórczości „naukowej” banderowskich kombatantów, czyli takich dziełach jak „Ukraińska Powstańska Armia” Petra Mirczuka, „UPA” Mykoły Łebedia czy „Istoriji ukraińskoho wijska” Łwa Szankowskiego. Podają one jedynie wybrane przykłady działań OUN i UPA, akcji, w których ginęli wyłącznie czerwoni partyzanci i enkawudziści, ale nie popełniano żadnych zbrodni na cywilach. Ten nurt dominuje obecnie w historiografii i polityce historycznej Ukrainy.

Terror jako metoda uprawiania polityki przez nacjonalistów ukraińskich uderzył także w ich własne szeregi. Po agresji Niemiec na ZSRR 22 czerwca 1941 r. melnykowcom – jako konkurentom do władzy na samostijnej Ukrainie – banderowcy urządzili krwawą łaźnię. Mordy popełniane wtedy przez banderowców na melnykowcach, których ofiarą padło ok. 300 osób, stały się jedną z przyczyn internowania przez Niemców w KL Sachsenhausen Stepana Bandery, Jarosława Stečki i kilku innych czołowych banderowców. Przebywali tam do września 1944 r. jako więźniowie uprzywilejowani w odizolowanym od reszty obozu oddziale (tzw. *Zellenbau*).

Ponownie melnykowcy stali się obiektem agresji ze strony banderowców w 1943 r., kiedy frakcja melnykowska OUN zaczęła formować swoją partyzantkę – tzw. Wojskowe Oddziały OUN-M. Ich żywot był krótki. Po nieudanych próbach przeciągnięcia

melnykowców do banderowskiej OUN oddziały UPA pod dowództwem Iwana Kłymyszyna „Kruka” i Petra Olijnyka „Eneja” rozbiły 7 lipca 1943 r. trzy sformowane na Wołyniu sotnie WO, natomiast czwartą rozbroiły w sierpniu 1943 r. Ich kadrę dowódczą – jeśli odmówiła podporządkowania się UPA – wymordowano.

Podobny los spotkał w 1943 r. również Sicz Poleską, czyli tzw. pierwszą UPA – niezależną od banderowców nacjonalistyczną partyzantkę utworzoną przez Tarasa Bulbę-Borowcia. Tak Bulba-Borowec pisał o tym po wojnie w książce „Armia bez państwa”: „Z każdym dniem wzrastał masowy terror łebediowskiej atamanii przeciwko swemu własnemu narodowi. Wszystkich, którzy nie podziеляli poglądów Łebedia i jego programu, jak niezdarny on by nie był, poddawali różnym bardzo ostrym represjom.



Lwów nie dla polskich panów – pod takim hasłem manifestowali radykalni prawicowi aktywiści z okazji rocznicy śmierci komendanta UPA Romana Szuchewycza.

Ogłaszali, że są »zdrajcami ukraińskiej nacji«, »sabotażystami ukraińskiego ładu«. Karali za to wyciorami i rozstrzeliwaniem”. Z rąk banderowców zginęła m.in. żona dowódcy Siczy Poleskiej – Anna Opoczenska-Borowец.

Śmierć niepokornym historykom

Powszechnie znanym faktem jest morderstwo przez banderowców podczas akcji ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej tych Ukraińców, którzy sprzeciwiali się udziałowi w zbrodni lub ostrzegali Polaków, oraz Ukraińców z rodzin mieszanym, którzy odmawiali zabijania polskich członków rodziny.

Odrębne zagadnienie to mordowanie przez nacjonalistów, zwłaszcza w okresie powojennym, ukraińskich komunistów lub uznanych za wspierających władzę radziecką. Do poruszania tego tematu nie było i nie ma na Ukrainie klimatu politycznego. Ekspozowaniu tej tematyki nie sprzyjały władze Ukraińskiej SRR i Komunistycznej Partii Ukrainy, obawiając się, że zagrazi to polityce jedności narodowej. Natomiast po 1991 r. nastąpiło zupełne wyrugowanie z przestrzeni publicznej Ukrainy zbrodni popełnionych przez OUN i UPA na Ukraińcach. Nie tylko dlatego, że rozpoczął się wtedy proces (nasilony po przewrotach w 2004 i 2014 r.) rehabilitacji i heroizacji nacjonalizmu ukraińskiego, ale także z powodu gróźb kierowanych przez odrodzone organizacje nacjonalistyczne do hi-

storyków i świadków terrorystycznej działalności OUN i UPA. Przykładem może być los lwowskiego historyka Witalija Maśłowskiego, którego 26 października 1999 r. znaleziono na klatce schodowej jego bloku nieprzytomnego i z roztrzaskaną głową; zmarł następnego dnia. Jego żona, przestraszona groźbami pod adresem męża, oświadczyła, że zgon nastąpił z przyczyn naturalnych, i odmówiła zgody na wszczęcie śledztwa.

Maśłowski stał się obiektem prześladowań już pod koniec istnienia ZSRR, kiedy opublikował książkę o zbrodniach UPA „Ziemia oskarża”. W 1990 r. zwolniono go za to z pracy w Instytucie Nauk Społecznych zachodnioukraińskiego oddziału Akademii Nauk Ukrainy. Pozostawał od-tąd bezrobotny, żył z renty inwalidy

ki, w tym groźby pozbawienia życia. Przed śmiercią zdążył jeszcze przygo-tować pracę poświęconą udziałowi nacjonalistów ukraińskich w Zagładzie. „Holokaust Żydów Ukrainy. Początek. Galicja” został wydany w 2005 r. przez Żydowską Fundację Ukrainy.

Maśłowski, na podstawie danych ukraińskiego MSW, oszacował na ok. 40 tys. liczbę zamordowanych przez członków OUN lub z ich bezpośrednim udziałem po agresji niemieckiej na ZSRR w 1941 r. Większość stanowili Żydzi. Według ustaleń różnych historyków (Jeffreya Kopfsteina, Kaia Struvego, Aharona Weissa i Andrzeja Żbikowskiego) na zachodniej Ukrainie miało miejsce w tym czasie od 35 do 140 pogromów na Żydach z udziałem nacjonalistów ukraińskich. Dieter Pohl oszacował liczbę ofiar tych

Nacjonałści walczyli nie o wyzwolenie Ukrainy, ale o zdobycie władzy nad narodem.

wojennego. Nie zaprzestał jednak badań naukowych, których rezultatem stała się praca „Z kim i przeciw komu walczyli nacjonałści ukraińscy w latach II wojny światowej”, wydana w Moskwie w 1999 r. Publikacja ta spowodowała gwałtowną reakcję epigonów nacjonalizmu ukraińskiego. Przez media ukraińskie przetoczyła się zakrojona na szeroką skalę kampania, której celem było zdyskredytowanie naukowca jako rzekomo działającego na zlecenie Rosji. Maśłowski zaczął też otrzymywać anonimowe pogróż-

pogromów na 13-35 tys., Kai Struve na 11 309 w samej Galicji Wschodniej, Aleksander Krugłow zaś na 38-39 tys. Jednak oprócz zbrodni na Żydach nacjonałści ukraińscy obu frakcji OUN dopuścili się już wtedy – na znacznie mniejszą skalę – zbrodni na Polakach i Ukraińcach. Wśród ofiar ukraińskich znaleźli się członkowie Komunistycznej Partii Ukrainy, Komunistycznego Związku Młodzieży Ukrainy, związków zawodowych i innych organizacji, funkcjonariusze urzędów radzieckich, wojskowi, którzy nie zdążyli się ewa- ▶

- kuować, oraz osoby podejrzewane o sprzyjanie ZSRR. Część zamordowano wraz z rodzinami.

Działające u boku wojsk niemieckich tzw. grupy pochodne OUN-B i OUN-M dysponowały listami ludzi przeznaczonych do likwidacji. Masłowski cytuje zeznanie jednego z członków OUN-B o nazwisku Stecyszyn, który stwierdził, że Niemcom wkraczającym do jednej z wsi obwodu lwowskiego miejscowi chłopci „ofiariwali na wyszywanym ręczniku chleb i sól, niemiecki kapitan powiedział *gut, gut* i zorganizowana maszyna nacjonalistyczna ruszyła pracować. Dosłownie od pierwszej minuty zaczęło się polowanie na ludzi, którzy figurowali na »czarnej liście« (...). Już na drugi dzień zaczęła funkcjonować Komenda OUN (...). Piwnice banderowskiej policji były wypełnione chłopami. Aresztowanych okrutnie katowano”.

Masłowski podał również – na podstawie źródeł z Państwowego Archiwum Obwodu Lwowskiego – przykłady zbrodni na Ukraińcach, popełnionych przez nacjonalistów po agresji niemieckiej na ZSRR: „W wiosce Suchodół rejonu Bóbrka zamordowali przewodniczącego Rady Wiejskiej Repeta, odcięli mu uszy, nos, wytkuli oczy i tak wyglądającego oprowadzali po wsi. Zabili też sekretarza wiejskiego komitetu wykonawczego Łabasa. W wiosce Czechy zamordowali 20 aktywistów i urządzili »uroczystość« po dokonaniu krwawej



1 stycznia br. we Lwowie pod pomnikiem Stepana Bandery celebrowano 110. rocznicę jego urodzin.

na Ukrainie powojenną działalność terrorystyczną skierowało głównie „przeciwko miejscowej wiejskiej ludności (...). Wykorzystując taktykę szybkich napadów (którą sami nazywają »partyzancką«), rabowali i palili pomieszczenia rad wiejskich, szkół, klubów, bibliotek, czytelní wiejskich, sklepów, domy aktywistów radzieckiej władzy, a nawet i całe wioski”. Na przykład w okolicach Kamionki Strumiłowa i w sąsiednich rejonach obwodu lwowskiego wielu takich napadów

wiejskich, 58 pomieszczeń rad wiejskich, 6 mleczarni, 5 gorzelni i 21 mostów. Ograbili 345 gospodarstw, zniszczyli 18 traktorów i 22 samochody oraz zrabowali 216 sztuk bydła. Czy to była walka z władzą radziecką, czy z narodem ukraińskim?

W samym 1945 r. podziemie banderowskie przeprowadziło w zachodnich obwodach Ukraińskiej SRR 3424 akcje terrorystyczne. Na podstawie danych przytoczonych przez Masłowskiego wiadomo, że od lipca do końca 1944 r. banderowskie podziemie zamordowało 2725 osób w obwodzie stanisławowskim. Natomiast od lata 1944 r. do maja 1946 r. z rąk banderowców zginę-

ło 5088 osób w obwodzie lwowskim, w tym 44 nauczycieli, 218 przewodniczących rad wiejskich i ich zastępców, 406 żołnierzy oddziałów grup samoobrony (przeważnie miejscowej młodzieży) oraz 3105 chłopów (w tym 497 dzieci).

„Spośród 5088 tych, którzy zginęli – zauważył Masłowski – na »enkawudystów« i »bolszewików« przypada zaledwie 1315 ludzi. To kategorycznie przeczy tym kłamstwom nacjonalistów (...), jakoby OUN-UPA »walczyła« tylko z »enkawudystami« i przedstawicielami partyjnych radzieckich organów”. Z takim zakłamywaniem historii można się spotkać m.in. w filmie „Żelazna sotnia” („Żelazna sotnia”) Ołesia Janczuka z 2004 r. Możemy

Po 1991 r. nastąpiło wyrugowanie z przestrzeni publicznej Ukrainy zbrodni popełnionych przez OUN i UPA na Ukraińcach.

akcji. W wioskach Gaje i Głuchowicze banderowcy rozstrzelali 50 czerwonoarmistów i siekierami zarabali wiejskich aktywistów. Przewodniczącego miejscowego kołchozu H.A. Kmetia prowadzili po wsi z czerwonym sztandarem, a następnie wytkuli oczy i porąbali ciało na strzępy”.

Powojenne zbrodnie banderowców

Dziesiątki tysięcy ukraińskich cywiliów zginęło z rąk OUN i UPA w okresie powojennym. Nacjonalistyczna historiografia ukraińska stoi na stanowisku, że większość tych ofiar to enkawudziści. Jednakże – jak zauważył Masłowski – banderowskie podziemie

dokonał oddział nadrejonowego prowidyka Służby Bezpieczeństwa OUN-B Dmytra Kupiaka „Kleja”. Postać Kupiaka – który uciekł do Kanady i uniknął odpowiedzialności za zbrodnie na Polakach i Ukraińcach – opisał żołnierz AK i więzień łagrów radzieckich Bronisław Szeremeta w publikacji „Watażka – jego zbrodnie i zakłamane wspomnienia” (wyd. 1996, 2000).

Tylko od października do grudnia 1944 r. banderowcy zamordowali w obwodzie tarnopolskim 706 osób, w tym 436 chłopów, 53 wojskowych, 169 przedstawicieli aktywu partyjnego i 48 przewodniczących rad wiejskich. Dalsze 159 osób uprowadzili do lasu i najprawdopodobniej też zamordowali. Spalili ponadto 214 gospodarstw

w nim zobaczyć polskich partyzantów i żołnierzy radzieckich napadających na ukraińskie wsie, mordujących Ukraińców i gwałcących ukraińskie dziewczęta. Natomiast ludzie z sotni Mychajła Dudy „Hromenki” nikogo nie mordują, tylko bronią narodu ukraińskiego przed polskimi i sowieckimi „najeźdźcami”. Wziętego do niewoli żołnierza radzieckiego po ojcowsku edukują politycznie i robią z niego prawdziwego ukraińskiego patriotę. W rzeczywistości sotnia „Hromenki” prowadziła działalność terrorystyczną w powojennej Polsce. Brała udział m.in. w pierwszym ataku UPA na Birczę 22 października 1945 r.

Zapłacili za UPA

Tezę postawioną przez Masłowskiego potwierdzają dane, które w 1996 r. podał amerykański historyk Jeffrey Burds. Według niego UPA zabiła na terenie Galicji Wschodniej od lutego 1944 r. do grudnia 1946 r. 11 725 osób. Wśród nich było 6250 cywilów, a jeśli uwzględnimy członków tzw. batalionów niszczycielskich (Istribitielnije Bataliony – IB), czyli formacji samoobrony tworzonych z ludności wiejskiej – 6980.

Sposoby mordowania przez UPA ofiar ukraińskich nie różniły się niczym od sposobów mordowania ofiar polskich i żydowskich. Pokazuje to jedna z historii przytoczonych w książce Masłowskiego: „7 lutego 1945 r. banderowcy złapali we wsi Staszewicze rejonu Stary Sambor w Lwowskim nauczycielkę-aktywistkę Katerynę Szewczenko. Wyciągnęli ją na podwórce, przestrelili obydwie nogi, żeby nie uciekła, a potem zaczęli torturować. Bandyty wytkuli jej oczy, po kawałeczku obcinali ręce, uszy, wargi, wyrwali z piersi serce, rozbili kolbą głowę, a potem ją oderżnęli”.

Celem banderowców była nie tylko likwidacja Ukraińców komunistów i tych, których uważali za zwolenników ZSRR, ale również – zgodnie z ideą „twór-

czego terroru” Dmytra Doncowa i Stepana Bandery – terroryzowanie szerokich rzesz ludności. Stąd tak duża liczba ofiar wśród cywilów.

Najbardziej znaną ofiarą spośród inteligencji ukraińskiej był Jarosław Hałań – pisarz, dramaturg i publicysta związany z ruchem komunistycznym, ostry krytyk OUN i Kościoła

Banderowcy mordowali Ukraińców, którzy sprzeciwiali się udziałowi w ludobójstwie Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.

greckokatolickiego. Zginął 24 października 1949 r. w swoim gabinecie we Lwowie od 11 ciosów siekierą, zadanych mu przez dwóch egzekutorów z OUN.

Jednakże współcześni badacze nacjonalizmu ukraińskiego (np. Grzegorz Motyka, Grzegorz Rossoliński-Liebe), opierając się na danych KGB z 1973 r., przyjmują, że w latach 40. i 50. XX w. na Ukrainie UPA zamordowała ponad 20 tys. cywilów i ok. 10 tys. funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa państwowego, żołnierzy radzieckich oraz członków IB. Większość ofiar cywilnych – co podkreślił m.in. Rossoliński-Liebe – stanowili pracownicy kolchozów i chłopcy oskarżeni przez banderowców o popieranie władz radzieckich. Ponadto od 1944 do 1947 r. banderowskie

podziemie zabiło 1225 osób na terenie Białoruskiej SRR.

Drugą stroną tragedii, jaką była powojenna działalność terrorystyczna UPA na Ukrainie, są ofiary represji stalinowskich za tę działalność. Według dokumentów radzieckich i szacunków historyków (m.in. Katrin Boeckh, Stanisława Ciesiel-

skiego, Grzegorza Motyki) radzieckie organa bezpieczeństwa i siły zbrojne zabiły po wojnie w związku z działalnością UPA ok. 153 tys. osób, aresztowały kolejne 134 tys. i deportowały – głównie z zachodnich obwodów Ukrainy do obozów pracy na Syberii – 203 tys. osób, z czego 171 tys. było oskarżonych o przynależność do OUN i UPA, wspieranie tych formacji lub bycie krewnym członka podziemia nacjonalistycznego. Jak zatem zauważył Grzegorz Rossoliński-Liebe – do 1953 r. ok. 490 tys. osób z zachodniej Ukrainy ucierpiało na skutek różnych form represji spowodowanych głównie przez terrorystyczną działalność UPA.

Dzisiaj na Ukrainie eksponuje się wyłącznie te ofiary – bez refleksji, że były pokłosiem działalności UPA – i przestania nimi ukraińskie ofiary banderowców.

Charakter powojennej działalności OUN i UPA na Ukrainie radzieckiej oraz liczba ich ofiar wśród cywilów dowodzą, że nacjonaści walczyli nie o wyzwolenie Ukrainy, ale o zdobycie

władzy nad narodem, i popełniali zbrodnie przeciw ludzkości także na tym narodzie. Nacjonaści nie mieli żadnego wpływu na powstanie niepodległej Ukrainy w 1991 r. Oni i ich ideologia byli i są – jak powiedział Wiktor Poliszczuk – nieuleczalną chorobą. Bez zrozumienia tego faktu Ukraina nigdy nie stanie się państwem normalnym.

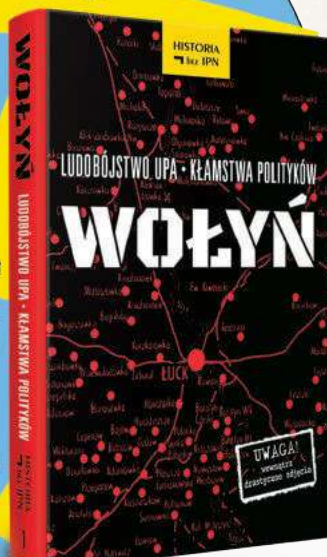
Bohdan Piętko

**CZYTELNIKU,
kupując nasze książki,
wspierasz PRZEGŁĄD**

Pomóż nam działać!
Kup książkę lub przekaz darowiznę.
Zebrane środki przeznaczymy
na sfinansowanie nowych
projektów wydawniczych.

44 zł

Wpłaty prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl



PRIORYTETY

Reforma edukacji jest dziełem rządu, ale stolicę, najbogatsze miasto Polski, stać na to, aby się nie odwracać od własnych dzieci

**Małgorzata
Żuber-Zielicz**

Za pół roku, jako efekt rządowej reformy edukacji, w stołecznych szkołach średnich zacznie się prawdziwy armagedon. Pojawi się dodatkowy – czwarty – rocznik. I tam już zostanie, bo liceum stało się czteroletnie. Za trzy i pół roku do szkół średnich wejdzie dodatkowy piąty rocznik (szczyt przypadnie na wspólną rządowo-samorządową kampanię wyborczą) – pokłosie nieudanego, nieudolnego eksperymentu minister Joanny Kluzik-Rostkowskiej z obowiązkowym posyłaniem sześciolatków do szkoły, o czym już tu pisałam („Jak zatrzymać nauczycieli”, PRZEGLĄD nr 47/2018). Problem jest więc trwały i nie zniknie w ciągu kilku lat, z czego wielu odpowiedzialnych za edukację urzędników (nie mówiąc o politykach) nie zdaje sobie sprawy. Od 1 września 80 tys. uczniów stołecznych szkół cofnie się o pół wieku, jeśli chodzi o warunki nauki. Znowu będą gigantyczne klasy i nauka na zmiany. W perspektywie kolejnych lat mogą to być już setki tysięcy ofiar reform – każdy rocznik to w stolicy ok. 20 tys. uczniów.

Oczywiście tak wcale być nie musi, pod warunkiem jednak, że samorząd starannie przygotowuje się do tego zadania. Musi to kosztować, ale najważniejsze jest kompetentne gospodarowanie wszystkimi posiadanymi lokalami szkolnymi. W końcu do tej pory mniej więcej taka sama liczba uczniów bez problemu się



w nich mieściła, mimo że aż dziewięć roczników – a nie osiem, jak od tej pory – chodziło do klas maksimum 25-osobowych (w szkołach podstawowych i gimnazjach). Dzięki niżowi demograficznemu Warszawa przekazywała też w minionych 20 latach wiele budynków szkolnych szkolnictwu niepublicznemu, na cele pozaoświatowe, a nawet, wraz z działką, do sprzedaży, np. budynek LO im. Hoffmanowej. Całe szczęście, że dzięki uporowi radnych

(mimo oporu urzędników) niektóre wyróżniające się gimnazja otrzymały możliwość przekształcenia się w licea, a nie w szkoły podstawowe.

Jeżeli w przygotowaniach nic się nie zmieni, uczniowie stołecznych szkół średnich będą mieć od września również problemy jeszcze poważniejszej natury. Warszawie brakuje nauczycieli – już dziś ok. 1,6 tys., a w nowym roku szkolnym kilka tysięcy, szczególnie specjalistów od przedmiotów ścisłych i przyrodniczych oraz anglistów. Pracowników brakuje także w przedszkolach. Zbudowane za miliony nowe przedszkole w Wilanowie stoi puste, bo nikt poza dyrektorem nie zechciał podjąć w nim pracy. Ten brak nauczycieli w stolicy to, paradoksalnie, wynik jej bogactwa. W najbogatszym mieście w Polsce przeciętna płaca jest aż dwukrotnie wyższa od średniej krajowej. Stolica oferuje pracownikom – i wykształconym (szczególnie w zakresie nauk ścisłych i języków obcych), i tym bez kwalifikacji – szeroki wachlarz

zajęć o wiele lepiej płatnych niż praca w szkole publicznej. Jednocześnie niestety ceny bardzo wielu dóbr i usług są o wiele wyższe niż w Polsce wiejsko-powiatowej. Ceny mieszkań – nawet parokrotnie. Ministerstwo Edukacji Narodowej zapewnia bardzo niskie, w stosunku do wymaganych kwalifikacji, płace. Jednak na wsi i w miasteczkach, szczególnie w Polsce wschodniej i południowej, etat nauczyciela pozostaje dobrem pożądanym, ba, reglamentowanym

przez lokalnych włodarzy. W stolicy i innych wielkich miastach jest inaczej. Dlatego nawet entuzjastycznie przyjęta na prowincji hipotetyczna podwyżka nauczycielskich płac o kilkakaset złotych miesięcznie niewiele zmieni w sytuacji kadrowej warszawskiej oświaty. Bez znaczącego wkładu zasobnego stołecznego budżetu, by docelowo płace pracujących w Warszawie nauczycieli stały się porównywalne choćby z płacami prawie 10 tys. warszawskich urzędników, na rozwiązanie problemu nie ma co liczyć. Wolny rynek pracy, dóbr i usług mamy tu w całej okazałości.

Czekający nas od września edukacyjny armagedon, który dotknie 80 tys. uczniów szkół średnich (z rodzinami to pół miliona wyborców), będzie największym realnym problemem tej kadencji samorządu. Nie da się go przykryć PR albo ideologicznymi tematami zastępczymi.

W tej sytuacji konieczne są działania bardzo przemyślane. Tymczasem

wielkie tradycje i sukcesy klas uniwersyteckich, w których zajęcia prowadzili np. pracownicy Uniwersytetu Warszawskiego. Naukowcy nie chcą

Warszawie brakuje nauczycieli – już dziś jakieś 1,6 tys., a w nowym roku szkolnym – kilka tysięcy.

uczyć w klasach gigantach (do tej pory były 28-, 29-osobowe – skądinąd efektywne ekonomicznie przez brak podziału na grupy), uważając to za nieefektywne dydaktycznie.

Zgodnie z obietnicami z kampanii wyborczej najmłodszym nauczycielom dorzucono po 250-270 zł miesięcznie brutto, dzięki czemu zatrudniony nauczyciel pierwszej nieco istotniejszej podwyżki wynikającej z awansu zawodowego doczeka się po kilkunastu latach pracy. Ma to kosztować 39 mln zł. Razem z 30 mln na dostosowanie szkół – niecałe 70 mln zł, czyli tyle, ile kosztuje wybudowanie najwyższej dwóch szkół czy

Urzędnicy ratusza nie kryją niechęci do wydawania „miejskich” pieniędzy na cele związane z reformą edukacji minister Zalewskiej – nawet

tych żałosnych na tle budżetu stolicy 70 mln zł. Tyle że to pieniądze nie na dzieci PiS, Anny Zalewskiej czy Jarosława Kaczyńskiego, ale na nasze, warszawskie.

Warszawska edukacja średnia była do tej pory najlepsza w kraju – nie sądzę, by zrujnowanie w rok jej dorobku z ostatnich 12 lat przysporzyło Koalicji Obywatelskiej wyborców. Potencjalni wyborcy raczej zostaną w domu, zwłaszcza że akurat oni są szczególnie dbali o edukację dzieci i wnuków. Oczywiście reforma jest dziełem rządu, ale najbogatsze miasto Polski, jakim jest stolica, stać na to, aby nie odwracać się od własnych dzieci. Tym bardziej że co najmniej połowa problemów jest specyficzna dla Warszawy i wynika z jej skali i bogactwa.

Bo kto w stolicy wybierze pracodawcę, który:

- a) płaci o wiele mniej niż inni i mniej niż swoim licznym urzędnikom i innym pracownikom;
- b) nie stwarza perspektyw awansu;
- c) nie docenia ani nie premiuje osiągnięć (ani indywidualnych, ani zbiorowych!), nawet międzynarodowych;

d) nie dba o poprawę warunków pracy, np. zatrudnienie personelu pomocniczego (laborantów, pracowników biurowych itd.), aby nauczyciel mógł się zająć przede wszystkim nauczaniem i wychowaniem uczniów...

Tę listę można znacznie wydłużyć.

Małgorzata Żuber-Zielicz była przewodniczącą Komisji Edukacji Rady m.st. Warszawy w latach 2006-2018

Przepraszamy

Autorem zdjęcia do tekstu „Brunatny marsz” (PRZEGLĄD nr 10) jest Andrzej Janiuk, a nie Andrzej Janicki. Ponadto w Giełdzie nie doszacowaliśmy wysokości kredytów mieszkaniowych zaciągniętych przez Polaków w 2018 r. Ich wysokość to 56,2 mld zł, a nie 56,2 mln zł. Autora zdjęcia i Czytelników przepraszamy.

Możliwość zmniejszenia liczby godzin religii w szkołach średnich to inicjatywa... kurii, której brakuje katechetów.

na razie urzędnicy kazali dyrektorom ścisnąć uczniów jak śledzie w beczce w gigantycznych klasach, na zajęciach obowiązkowych na zmiany od godz. 8 do czasem 17.30 i na wcześniejszych lub późniejszych zajęciach ponadobowiązkowych, co w praktyce oznacza ich likwidację. Nawet nagłaśniana możliwość zmniejszenia liczby godzin religii w szkołach średnich z dwóch do jednej wynika z inicjatywy... kurii, której po prostu brakuje katechetów.

Polecono też dyrektorom liceów rozmowy z nauczycielami emerytami, aby ich zachęcić do pozostania w szkołach. Będzie to główne źródło kadr w najbliższym roku. Tyle że nie podano, co mogłoby zniechęconych drastycznym pogorszeniem warunków pracy (wielkość klas i godziny pracy) nauczycieli skłonić do pozostania w zawodzie, nie mówiąc o powrocie. A właśnie teraz emeryci i nowi absolwenci uczelni podejmują decyzje o planach zawodowych. Zapowiedziano również rozmowy z uczelniami w sprawie wykorzystania ich pomieszczeń i kadry. Na razie jednak wszystko zmierza w przeciwną stronę – grozi likwidacja mających

przedszkoli, a miasto buduje ich po kilkanaście. Bez kadry te inwestycje będą kompletnie bezużyteczne.

Równocześnie za 500 mln zł stolica ma od tego roku budować okazałe gmachy Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Wawel ani Wilanów to nie będzie, na dodatek miasto ma już Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski. Takie muzeum odwiedza rocznie najwyższe kilkadziesiąt tysięcy osób. Na tle codziennych problemów edukacyjnych tysięcy uczniów stołecznych szkół średnich to naprawdę niewiele. Na dodatek im niższy poziom edukacji, tym mniej chętnych do zwiedzania muzeów. A za pół miliarda zarówno lokalowe, jak i kadrowe problemy z wejściem czwartego rocznika do szkół średnich spokojnie dałoby się rozwiązać.

A nie tylko pieniędzmi można przyciągnąć do Warszawy młode kadry, ale choćby przez pomoc, na zasadzie hotelowej, w zaspokojeniu mieszkaniowych potrzeb początkujących nauczycieli przez pierwszych kilka lat pracy. Zasoby mieszkaniowe stolicy pozwalają zapewnić im np. po pokoiku.

Wiosna i „Kler”

Związek ołtarza z tronem w ostatnich latach jest szczególnie ostentacyjny. Czy Wiosna coś zmienia?



Filmowy abp Mordowicz (Janusz Gajos) najlepiej pokazuje związki polityków i duchowieństwa.

Jan Dutko

Jakoś tak się zbiegło, że razem z ogłoszeniem powstania Wiosny Biedronia ukazało się DVD z „Klerem” Smarzowskiego. Obie wiadomości są dobre: Wiosna niesie Polakom propozycje przecięcia spętlenia państwo-Kościół, a „Kler” na płycie trafi do licznych domów, do miasteczek i wsi, wszędzie tam, gdzie albo nie ma multiplexów, albo lokalne władze zakazały wyświetlania filmu.

A „Kler”, nawet oglądany po raz drugi, robi wrażenie. I wcale nie dlatego, że pokazuje ciemną stronę kleru. To też, ale pokazuje także ciemną stronę państwa, stawia nam przed oczami – cytując klasyka – państwo teoretyczne.

Jeżeli są ludzie potrzebujący spowiedzi, sakramentów chrztu i ślubu, uczestnictwa kapłana w pogrzebie ich bliskich – to niech tak będzie! Jeśli ludzie godzą się na daninę pod nazwą „co łaska, ale...” – to niech płacą! Jeśli potrzebują obecności księdza w ich domu, omodlenia problemów, pokropienia wodą święconą – w porządku! Ich sprawa! Dają na tacę – też w porządku! To nie są wielkie problemy Polski. Dla znacznej części Polaków one nie istnieją.

To może w ogóle nie ma problemu? Ależ jest!

Abp Mordowicz (Janusz Gajos) w telefonicznej rozmowie zauważa: – Ale jak potrzebował głosów, to był na każdy gwizdek – tak? A teraz, jak go wybrali, to mi wypychacie jakiegoś wicepremiera? Głowa państwa ma się stawić na mszy!

O! To jest wielki problem Polski: MA SIĘ STAWIĆ!

– Słuchaj mnie – mówi arcybiskup do rozmówcy – ma powiedzieć, że każda ręka podniesiona na Kościół to ręka podniesiona na Polskę.

„Kler” pokazuje ciemną stronę kleru. Ale też ciemną stronę państwa.

Tak! To jest problem.

Przywileje Kościoła, bogactwo, panoszenie się – to skutek uległości i służalczości władzy wobec hierarchów. W 1989 r. kler otrzymał hojny prezent nie tylko za udział w Okrągłym Stole, ale także jako zaliczkę za przyszłe życziwe, albo choćby niewrogie, traktowanie ludzi PRL. Ustawa o stosunku państwa do Kościoła katolickiego w Rzeczypospolitej Polskiej obsypała Kościół licznymi darami, nieruchomości, ziemią... Grubymi miliardami złotych! Ale Kościół otrzymuje też sowite dary

każdego roku. Jak podaje „Polityka”, cytując opracowanie Seweryna Mośsza z 2015 r., Kościoły i związki wyznaniowe kosztują rocznie 14 mld zł! To jest problem!

Czołobitność stała się nieznośna za rządów SLD. Ale wtedy gra szła o bardzo wysoką stawkę – wejście do Unii Europejskiej. Bez poparcia Kościoła Polacy mogliby powiedzieć Unii „nie”. A potem już się potoczyło: nowe przywileje, nowe pieniądze, fety, otwieranie, kropienie, przecinanie wstęg... Prawie każda uroczystość państwowa rozpoczyna się mszą świętą.

Mam przed sobą dokument Wielkopolskiego Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu „Kalendarium uroczystości państwowych oraz uroczystości kombatanckich, związanych z wydarzeniami historycznymi w 2019 roku”. Na 45 imprez głównych aż 29 rozpoczyna się mszą świętą. Tam, gdzie wiodącym organizatorem jest wojewoda wielkopolski, msza jest prawie zawsze. Nie chcą swoich uroczystości rozpoczynać inaczej: komenda wojewódzka policji, dowódca garnizonu Poznań czy Zarząd Regionu Wielkopolska NSZZ Solidarność.

Za czołobitnością idą pieniądze. Jak łatwo sprawdzić, duchowni płacą znacznie niższe podatki niż pozostali obywatele. Minimalna stawka, za-

leżna od wielkości parafii, to 434 zł, maksymalna – 1559 zł. Ale nie miesięcznie, tylko kwartalnie. Jak obliczył portal Money.pl, księża płacą średnio dziewięć razy mniejszy podatek niż przeciętny Kowalski.

Atmosfera poddaństwa i uległości z górnych piętér władzy przenosi się na niższe szczeble. Podwładni widzą, rozumieją, że tak trzeba, naśladują, nadskakują. Geolog i geodeta w filmie nie dyskutują za długo z księdzem. „Dobro Kościoła wymaga obejść przepisy”. Jasne jest, że dobro Kościoła to dobro Polski.

Dwaj młodzi policjanci, badając sprawę śmiertelnego potrącenia, pytają, gdzie ksiądz był wieczorem tego a tego dnia.

– Jak to gdzie – wtrąca się partnerka księdza – na plebanii. KSIĘDZA pytacie!

– Szczęść Boże – bąka policjant, odchodząc.

– Szczęść Boże – mówi drugi – z Bogiem.

– Z Bogiem – odpowiada kochanka księdza. Obaj młodzieńcy spieszą się oddalać. Możemy tylko się domyślać, co wpiszą w notatce służbowej.

Na komisariat wchodzi ksiądz. – Zabiłem człowieka – mówi. Przeżony, zszokowany policjant znad stoja z zupą: – Nie ma komendanta... Ksiądz z rana przyjdzie, co?

Prawda, że klasyk miał rację? Teoretyczne!!!

Jeśli powiecie, że to tylko film, popatrzcie na premiera i ministrów płaskających modlitewnie u ojca dyrektora. Popatrzcie na ten tłum parlamentarno-rządowy cisnący się do hierarchów. Posłuchajcie, co mówi bp Grzegorz Balcerek, nie filmowy, prawdziwy: – Nie będzie błogosławieństwa bożego dla obecnej władzy, jeśli nie wprowadzi prawnej ochrony życia.

Czytaj: jeśli nie uchwalicie tego, czego żądamy, stracie nasze poparcie. Poczytajcie list abp. Henryka Hosera do naszych parlamentarzystów z groźbami wykluczenia z Kościoła (czyli utraty poparcia), jeśli ośmielą się głosować za in vitro. To już nie film – to polskie państwo. Teoretyczne?

Hitem ostatnich lat są tzw. taśmy. Nagranie kogoś w kompromitującej sytuacji zapewnia ważny argument w przyszłych negocjacjach. Es-

bek z wydziału specjalizującego się w napadach na księży daje ks. Lisowskiemu (Braciak) nie jakąś przedtopową kasetę VHS, ale pendrive'a. Dzięki informacjom ksiądz współ z szemranym biznesmenem ustawi wielki przetarg. Tenże ksiądz zdobędzie kasetę z erotycznymi wyczynami

Kościoty i związki wyznaniowe kosztują rocznie 14 mld zł.

swojego szefa. Butny arcybiskup nie ma wyjścia – spełni niezwłocznie żądania Lisowskiego.

Nagrania u Sowy i Przyjaciół, tzw. afera Rywina, taśmy dotyczące Srebrnej to kontynuacja hitów taśmowych. Zapewniam, ciąg dalszy nastąpi.

Stary ksiądz za chwilę odchodzi na emeryturę. Jest sumiennym urzędnikiem księcia Kościoła abp. Mordowicza. Chce spokoju, mieszkania, ufa, że szef wynagrodzi go za wierną służbę. – Widzisz – mówi arcybiskup – cały mój majątek inwestuję w sanktuarium. Nie dla siebie! Nie dla siebie, Teodorze!

Muszę przyznać, że mam potężny mętlik w głowie. Nie dla siebie? Dla kogo? Inwestowanie, jakieś gmachy, jakieś wieże? Ale nie dla siebie, Teodorze, nie dla siebie!

Księża płacą średnio dziewięć razy mniejszy podatek niż przeciętny Kowalski.

Ostatnia scena. Ks. Kukula (Jakubik) oblewa się płynem i podpala. Nikt, absolutnie nikt go nie ratuje, nie gasi. Ludzie rozpierzchają się przerażeni, niby w nieładzie, ale z chaosu wyłania się figura – trójkąt z płonącym kapłanem w środku. To Oko Opatrzności? Boga? Wszzechwidzące oko Wielkiego Architekta?

Trwa msza. – Nie daj się zwyciężyć złu – głosi arcybiskup, tłum, morze głów, migają generalskie wężyki na otokach czapek. – Zło dobrem zwyciężaj – dopowiada Mordowicz. I jakoś dziwnie ostrze Trójkąta Wielkiego Architekta kieruje się ku niemu.

Związek ołtarza z tronem w ostatnich latach jest szczególnie ostentacyjny. Czy Wiosna coś zmieni? Czy przekona Polaków, że rozdział Kościoła i państwa jest konieczny? W „Klerze” jest światło w tunelu:

ratownik medyczny wiozący skrzywdzone dziecko rzuca do księdza, nie wpuszczając go za drzwi: – Ksiądz zostaje! I – nie uwierzycie – ksiądz zostaje za drzwiami.

Rejestratorka zniecierpliwiona tyradą księdza mówi z naciskiem: – Następny proszę. I co? Nic, przychodzi następny. ■



SOS WIOSKI DZIECIĘCE
www.dziecisos.org

**POMÓŻ DZIECIOM
W NIERÓWNEJ
WALCE Z ŻYCIEM**

Zaniedbanie, odrzucenie i brak wiary w siebie to tylko niektóre z przeciwności, jakim muszą stawić czoło podopieczni Stowarzyszenia SOS Wioski Dziecięce.

1% TWÓJ 1% POMÓŻE WYRÓWNAĆ ICH SZANSE
KRS 0000 056 901

OD KOPYTKA DO PRZYBORY

Mumiovatość trzeba poczuć

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Wyjaśnijmy zamieszanie z jubileuszem. Mumio obchodzi rocznicę urodzin, ale właściwie którą? Z informacji w sieci (wasza oficjalna strona) wynika, że Mumio powstało w roku 1994, więc należałoby się raczej ćwierćwiecze, tymczasem zapowiadaliście 20 lat w zeszłym roku, a w tym 21; już się pogubiłem.

Borusiński: – Sami do końca się nie orientujemy.

Basińska: – Ale jest masa dokumentów na ten temat.

Basiński: – O, i o to właśnie chodzi. No tak, a tu jeszcze spektakl na 102. urodziny Przybory, choć już minęły, bo teraz nadchodzą 104. A to pierwsze Mumio to był rok 1994 czy 1995?

Basińska: – 1998.

MUMIO

– czyli aktorzy Dariusz Basiński, Jadwiga Basińska i Jacek Borusiński oraz muzyk Tomasz Drozdek

Ale stoi wyraźnie, że...

Basiński: – 1996.

Basińska: – 1996?

Drozdek: – To bardzo skomplikowane i właściwie temat na pracę naukową. Trudno tak od ręki rozstrzygać.

Basiński: – Jedno jest istotne – to pierwszy jubileusz Mumia. Do tej pory nie było żadnego jubileuszu. I promujemy go jako 21 lat Mumia.

Borusiński: – Tak naprawdę to mamy 23-lecie, ale chcemy, żeby było to trwające 21-lecie.

Basiński: – To zawsze trochę odmładza.

Skoro się odmładzamy, przypomnę, że kiedy byłem szefem „Tele Tygodnia”, wpadłem na myśl, aby Mumio nominować do Telekamery w dziedzinie kabaretu. Zadzwońłem więc do kogoś, kto reprezentował wasze interesy, ale zostałem skrzyzczany, że Mumio nie jest żadnym kabaretem, ale teatrem, i nie życzysz sobie żadnych nominacji z branży kabaretowej. I żebym już więcej nie dzwonił. Skąd taki opór przed kwalifikacją do kabaretu? Przecież flagowy spektakl „Kabaret Mumio” chodzi od lat, już ponad tysiąc razy. Kolejny jubileusz...

Borusiński: – Do pewnego momentu liczyłem te spektakle, ale zgubiłem terminarzę parę lat temu i przyjeśliśmy, że było ich około tysiąca.

Ale spektakl nazywał się „Kabaret Mumio” i tak poszło.



Basiński: – To tylko tytuł spektaklu. **Mumio jako takie to mazidło lecznicze, stosowane w medycynie hinduskiej, podobno dobre na wszystko. Czy nazwę przyjęliście dlatego, że śmieszna, czy dlatego, że tchnie misją (leczy)?**

Basiński: – Ona w ogóle nie jest śmieszna. To bardzo poważna nazwa. Kiedy się z nią zetknęliśmy, towarzyszył jej taki opis: „Mumio – krew skał”. I od razu nas zachwyciła. To było za czasów pra-Mumia, czyli w składzie Tomasz Skorupa, Dariusz Rzontkowski i ja, w którym zrobiliśmy na wariackich papierach improwizowany spektakl. Musieliśmy się jakoś nazywać. Przechodziliśmy obok sklepu ze zdrową żywnością i zobaczyliśmy mumio. Tak nas zachwyciło tą swoją mumiiowością, że przyjęliśmy jako nazwę.

Basińska: – A mnie ta nazwa w ogóle nie śmieszy. Chociaż pamiętam pierwszą naszą Pakę (Przeгляд Kabaretów Amatorskich PAKA – przyp. TM), kiedy po zapowiedzi naszego występu Staszek Tym, który był jednym z jurorów, dostał ataku śmiechu. Tak go ta nazwa rozśmieszyła.

Borusiński: – Słowo o leczniczej naturze Mumia. Nasza koleżanka powiedziała, że „Kabaret Mumio” powinniśmy grać zawsze w piątki wieczorem, po całym tygodniu ludzkiej pracy. Bo to przenosi w jakiś inny wymiar.

Basiński: – Bo to mumio mazidłowe to panaceum.

Borusiński: – Jeżeli możemy kogoś trochę oderwać od rzeczywistości, to dobrze. Śmiech na pewno leczy.

A czym jest mumiiowość?

Basińska: – Na pewno można się jej nauczyć. Ludzie, z którymi przebywamy albo którzy częściej przychodzą na nasze spektakle, są w stanie wejść w mumiiowość. Przychodzą na spektakl i nie są jeszcze mumiiowaci, są zaskoczeni, ale uczą się tego języka i już ją mają. Jakby się zarazili.

Borusiński: – Mumiiowość na pewno omija komercję, politykę, a też omija pewne oczywistości.

Basiński: – Puentę omija. Jest życiowa. Moja babcia mówiła: „Ale mema”.

Żeby chwycić mumiiowość, trzeba chyba mieć poczucie humoru. Czy Polacy mają poczucie humoru?

Basiński: – Pewien krytyk filmowy, który przez wiele lat mieszkał w Stanach, powiedział, że tam obowiązuje taka zasada w show-biznesie: jeśli ktoś jest Żydem, to śmieje się z Żydów, jeśli ktoś jest czarnoskóry, śmieje się z Afroamerykanów, jeśli

W Polsce kopie się wroga, a nie ma się dystansu do siebie samego. Polacy śmieją się, ale z tych drugih.

ktos jest katolikiem, będzie się śmiał z katolików, ale nie będzie ruszać Żydów, protestantów itd. W Polsce jest odwrotnie – kopie się wroga, a nie ma się dystansu do siebie samego. I to jest bardzo polska cecha, takie nastawienie konfrontacyjne: Polacy śmieją się, ale z tych drugih. To wyraźnie dzisiaj widać w różnych komediowych propozycjach.

Borusiński: – Warto dodać, czym jest mumiiowaty śmiech na widowni. Polega na tym, że jest nieoczekiwany – nie przychodzi w momencie puenty, ale jest niepokonany, nie można go okiełznać.

Basiński: – To jest nagłe uwolnienie, kiedy widz przestaje się kontrolować.

Borusiński: – Jesteśmy przekonani, że znaleźliśmy swojego widza. Uwielbiamy takie reakcje. To dodaje nam skrzydeł na scenie.

Basiński: – Szkoda, że nie przeczytałem żadnej pracy magisterskiej o Mumiu, a takie powstały. Tam może znajduje się odpowiedź na pytanie, jaki jest ten rodzaj komizmu, który uprawiamy. Trudno to nam oceniać. Osią każdego komizmu jest nieprzystawalność, ujawnienie, że coś, ktoś nie pasuje do czegoś, ko-

goś. Bergson o tym pisał w eseju o komizmie. Podkreślał, że komizm potrzebuje czegoś takiego, co nie pasuje do schematu. Najprostsza sytuacja komiczna to taka, kiedy ktoś się wywraca. Im dostojniej wygląda, tym śmieszniej. Ale to wyzwala śmiech najprostszy, burleskowy. Bywają jednak dwa rodzaje reakcji: jedna taka, że po prostu śmiejesz się z nieszczęśnika, a druga – że kładziesz się obok niego, kiedy się wywraca. Mumiiowi bliższa jest ta druga perspektywa, raczej chcemy się kłaść obok i razem śmiać z siebie i tego drugiego.

Drozddek: – Mumiiowość trzeba poczuć, a ja jestem tego zjawiska przykładem. Poznałem Mumio ponad 20 lat temu, kiedy kolega pokazał mi w swoim własnym wykonaniu (bo nie było jeszcze wtedy internetu) fragment z ich spektaklu. Strasznie wtedy się śmiałem. Postanowiłem, że muszę kiedyś zobaczyć, jak to oni robią. Wciąż o nich słyszałem, ktoś o nich opowiadał. Minęło parę lat. Wówczas zobaczyłem ich spektakl na kasecie wideo. To była „Lutownica”. Obejrzałem pierwszy raz jako coś bardzo interesującego, ale nie wiedziałem, z czego się śmieję. Obejrzałem drugi raz, trzeci. Potem w skłocie, gdzie wtedy mieszkałem w moim rodzinnym mieście, przez dwa tygodnie wieczorem oglądaliśmy „Lutownicę”. Zostałem wtedy zarażony mumiiowością, ona do mnie przypląnęła. Nie potrafię tego zracjonalizować, ale było to coś, co poczułem. A potem się okazało, że kilkanaście lat później Mumio mnie złapało.

Basińska: – Zastanawiam się nad tym pytaniem, czy Polacy mają poczucie humoru. Pokutuje przekonanie, że z tym poczuciem humoru jest coś nie tak.

Basiński: – Wystarczy przywołać jako przykład polskie reklamy – większość firm chce się pokazać jako bardzo poważne, szacowne i, broń Boże, żeby ktoś się z nich śmiał. Na świecie często jest odwrotnie. Humor staje się narzędziem promowania.

Wam jednak kiedyś się udało robić reklamy z dystansem.

Z okazji jubileuszu w czerwcu, w Warszawie odbędzie się Mumiiowy festiwal „Ktoś zapukał mi do buta, czyli 21 lat Mumio”. Artyści zagrają swój pierwszy spektakl „Kabaret Mumio” w specjalnej, jubileuszowej wersji, ale również multimedialny „Welcome Home Boys” i kolejny raz spektakl „Przybora na 102”. Całość zakończy gala jubileuszowa, podczas której Mumio zaprezentuje m.in. fragment najnowszego spektaklu, którego premiera odbędzie się na przełomie 2019 i 2020 r.

► **Basiński:** – Ktoś wtedy się odważył w firmie zamawiającej reklamę.

Borusiński: – Wszystko zależy od tego, czym jesteśmy karmieni. Kiedyś prowadziliśmy rozmowy z jedną ze stacji telewizyjnych – chodziło o rejestrację programu. Powiedzieli nam: „My prywatnie niewiarygodnie was uwielbiamy, oglądamy chętnie, puszczamy znajomym, ale robimy telewizję dla hutników, górników, dla szwaczek i to nie przejdzie”. Podobnie było z naszymi reklamami – nawet znajomi ze środowiska reklamowego pytali nas: „Gdzie wy znajdziecie grupę docelową? To jest tylko dla was i waszych znajomych”.

Basiński: – Uważali, że to się nie przełoży na sprzedaż.

Ale się przełożyło.

Borusiński: – Prowadzono badania, czy ludzie lubią humor absurdałny. Nie pamiętam tego współczynnika, ale po kilku latach się podwoił. Widzów z reguły się nie docenia.

Basiński: – Wyniki są mierzalne – nasze reklamy, które, nie zapominajmy, tworzyliśmy razem z Iwonem Zaniewskim i Magdą Goll, dostały nagrody Effie za skuteczność kampanii reklamowej.

Drozd: – Okazało się, że można produkować reklamy z wyobraźnią. Byle tylko nie zakładać, że odbiorca nie dorósł. To jest jakaś mentalna zbrodnia.

Czy pomagało wam w przezwyciężaniu stereotypów uprawianie improwizacji?

Basiński: – Nigdy z improwizacji nie zrezygnowaliśmy.

Po tylu latach na scenie możecie jeszcze wzajemnie się zaskakiwać?

Basiński: – Ciągłe się zaskakujemy. Nawet w wczorajszym spektaklu.

Borusiński: – To jest właśnie odpowiedź na pytanie, dlaczego „Kabaret Mumio” zagraliśmy około tysiąca razy. To byłoby niemożliwe, gdybyśmy odtwarzali wciąż to samo – umarlibyśmy z nudów razem z widzami. Ale pozostawiamy w naszych spektaklach bardzo duży margines dla improwizacji. To daje im życie, motywuje nas, powoduje, że wciąż nam się chce, że po iluś wykonaniach nagle pojawia się jakiś element całkiem nowy.

Basińska: – Tak jest np. w „Miksie”. To spektakl złożony z najlepszych numerów z naszych innych spektakli, ja akurat biorę w nim udział

tylko na ekranie. Widziałam ten spektakl dwa lata temu. I mimo że znam go na pamięć, tworzyłam go z chłopakami – popłakałam się ze śmiechu. **W waszym nowym spektaklu „Przybora na 102” zdarza się na scenie popłakać ze śmiechu Magdzie Umer.**

Basińska: – Nie zrobilibyśmy tego przedstawienia, gdyby nie jej podejście do materiału, takie jak nasze – razem wiemy, co chcemy sobie powiedzieć. Wiemy, jakie piosenki śpiewamy i że śpiewamy z tekstem, jaki został napisany, ale wszystko poza tym wypełniamy prawdą chwili. To cudowne, że się spotkaliśmy. Magda powiedziała, że już zawsze będzie śpiewała i grała tylko z nami.

Drozd: – Z mojej perspektywy to też niezwykłe. W „Welcome Home Boys” grałem muzykę na żywo, wykonywałem jakieś zadania aktorskie. Ale siedziałem na scenie także jako widz i wtedy trząsnęłam się ze śmiechu, bo w improwizacji pojawiało się coś tak nowego, zaskakującego. Nie dało się wytrzymać. Zresztą w „Przyborze na 102” jest podobnie, wszyscy na scenie się śmiejemy. Może to nieprofesjonalne.

Basiński: – Nieprofesjonalne? Na pewno nie. Improwizacja jest odrębną sztuką, polegającą na błyskawicznej reakcji na sytuację. Ostatnio rozpadł mi się but na scenie i tak zaczął kłapać podeszwą – jakoś rozegrałem to scenicznie. Nieprofesjonalnie by-

nę i akurat jest oberwanie chmury, wysiada część kamer...

Basińska: – ...część widzów ucieka, ludzie prawie się trącają.

Basiński: – A my gramy już do pleców.

To było wasze pierwsze spotkanie?

Borusiński: – Spotkaliśmy się z Magdą bardzo dawno temu.

Basińska: – Na festiwalu piosenki aktorskiej we Wrocławiu, a potem w Międzyzdrojach – wtedy już poznaliśmy sobie wzajemną miłość. Powiedziałam Magdzie: „Ja panią kocham”. Bo ja z Magdą śpiewam od zawsze. Kiedy byłam w liceum, puszczaliśmy jej płyty, siedziałam w pustym pokoju i wspólnie z nią śpiewałam: „Jeśli myślisz, że ja cię nie kocham”.

Z pomysłem na wspólny spektakl z piosenkami Starszych Panów przyszliście do Magdy Umer?

Borusiński: – Kiedyś Magda zaprosiła Jeremiego Przyborę na nasz spektakl. Bardzo mu się spodobał, a kasety, którą dała mu Magda, przekazał synowi, Kotu Przyborze, który jest współwłaścicielem agencji reklamowej, w której powstało... „kopytko”.

Basiński: – Nigdy prywatnie się nie spotkaliśmy, ale wiemy, że potem powiedział synowi: „Wiesz, widziałem coś niezwykłego i to w dodatku było całkowicie odsiebne – niepowtórzone po kimkolwiek”.

Borusiński: – Magda uważa, że gdybyśmy żyli w tamtych czasach,

Mumiowaty śmiech na widowni jest nieoczekiwany – nie przychodzi w momencie puenty, ale jest nieposkromiony.

łoby udawać, że nic się nie stało. Ale faktem jest, że nie zgotowałam się.

Czy to zaskakiwanie się na scenie nie prowadzi do tego, co aktorzy nazywają ugotowaniem partnera?

Basińska: – Nie chcemy się wzajemnie gotować, bo to niebezpieczne.

Borusiński: – Nawet jeśli się gotujemy, to jest kolejne piętro, które też trzeba ograć i zbudować etiudę.

Czyli jesteście na scenie w nieustannej gotowości?

Basińska: – Tak. Magda też to ma. I to jest cudowne.

Spotkaliście się wcześniej na scenie na 100-lecie urodzin Jeremiego Przybory. W Opolu.

Basiński: – Zdarzyła się wtedy trudna sytuacja. Wchodzimy na sce-

kiędy powstawał Kabaret Starszych Panów, Jeremi Przybora by z nami coś zrobić. Magda już 10 lat temu wpadła na pomysł spektaklu z nami i tekstami Przybory i co pewien czas się do nas odzywała. Ale my się ociągaliśmy, tłumacząc, że trudno się mierzyć z tymi wszystkimi legendarnymi wykonaniami, poza tym to przecież nie nasz repertuar. Spróbowaliśmy mimo to w Opolu, ale to były tylko dwie piosenki.

Basińska: – Magda już straciła nadzieję. Zostawiła nam książkę Przybory z tekstami z „Divertimenta”. Darek zadzwonił po pięciu latach, powiedział, że książka się trochę zniszczyła, ale był u intrologatora i wygląda już dobrze. Wtedy się spotkaliśmy



Spektakl „Przybora na 102” z Magdą Umer (na fotelu) jako ciotką Mizerią.

i zaczęła się praca nad spektaklem. Spotykaliśmy się na gruncie prywatnym. Próby odbywały się w naszym domu, najczęściej w kuchni, albo w Strumieniu, w ośrodku kultury, gdzie pracujemy – Magda przyjeżdżała do nas i jedliśmy bardzo dużo śniadań, pierwszych, drugich, trzecich... Wreszcie ktoś z nas powiedział, że najlepiej rozmawia nam się w kuchni. Wtedy postanowiliśmy, że spektakl będzie się toczył w kuchni, w której rezydować będzie ciotka Mizeria, postać z tekstu Jeremiego Przybory, czyli Magda Umer.

Ciotka, której wszyscy się zwierniają, a nie konferansjerka, jak w wielu produkcjach przygotowywanych przez Magdę Umer.

Basińska: – Siedzimy w tej kuchni, rozmawiamy i wtedy właśnie Magda sobie przypominała, że Jeremi wymyślił ciotkę Mizerię. I że ona mogłaby nią być. Gdzieś po godzinie ktoś zadzwonił z Kuchni Artystycznej. To był najwyraźniej znak akceptacji ze strony Jeremiego.

Borusiński: – Bardzo nie chcieliśmy być tylko projekcją wyobraźni Magdy, żeby ona była narratorką, która uruchamia poszczególne klocki programu. Zależało nam, żeby była

postacią. Potem, jak już zaczęliśmy intensywnie ze sobą pracować, okazało się, że dobrze się ze sobą czujemy na scenie i poza sceną, że mamy poczucie bezpieczeństwa prywatnego i scenicznego.

Basińska: – Zmierzenie się z tymi klasycznymi piosenkami było dla nas ogromną barierą. Gdyby było inaczej, Magda by pewnie z nami nie pracowała. Dla mnie akceptacja Magdy była gwarancją, że mój pomysł na wykonanie piosenki można publicznie pokazać.

Basiński: – Bardzo ważna jest w tym spektaklu muzyka. Mumio zawsze było muzyczne, w każdym spektaklu, nawet w fabularnym „Welcome Home Boys”, gdzie gra na żywo multiinstrumentalnie nasz główny Mumio – oprawca muzyczny Tomasz Drozdek. Gra też oczywiście wraz z zespołem w spektaklu „Przybora na 102”, to jest taki jego mumio wkład. Tomek używa wielu instrumentów etnicznych, ale też działa aktorsko z Jadwigą, ponieważ jest „Szuja”; trzeba to powiedzieć jasno: jest oprawcą muzycznym i szuja (oczywiście chodzi o sławną piosenkę Przybory/Wasowskiego „Szuja”). Wiele zawdzięczamy też Wojtkowi

Borkowskiemu, który jest kierownikiem muzycznym spektaklu, i Maćkowi Szczypińskiemu, świetnemu kontrabasistcie.

Borusiński: – Wojtek i Maciek dają nam ogromne bezpieczeństwo, są całkowicie na potrzeby spektaklu, akтора, są wewnątrz, pełni pokory.

Basińska: – Po prostu jest nam bardzo dobrze razem, jak z Magdą. Wszyscy jesteśmy zespołem.

Basiński: – Naprawdę czujemy się jak u siebie, pracujemy z ludźmi, z którymi chcemy pracować. To nie żadne wyrobnictwo. Wszyscy, którzy biorą udział w tym projekcie, łącznie z realizatorem dźwięku Jackiem Sołowskiem i światła Waldkiem Zatorskim, są w środku i żywo komentują każde przedstawienie.

Borusiński: – Też kochają improwizację. Nie chcieliśmy jednak sprawiać wrażenia, że zatracamy się w świecie Przyborowym, że jako aktorzy wcielamy się w jego postacie i odtwarzamy jego świat. Chcieliśmy, żeby to było spotkanie Przybory, Magdy i nas, żeby tam też było miejsce na improwizację, na mumiowość. Czasem widzowie po spektaklu pytają, które fragmenty były nasze, a które Przybory. I często się mylą, uważając, że jakiś epizod jest jego autorstwa, a jest akurat nasz. I na odwrót.

Basińska: – Na przykład jest taka scenka spotkania Makbeta i Desdemony, której autorstwo widzowie przypisują nam, a to tekst Jeremiego Przybory.

Wygląda na to, że światom wyobraźni Jeremiego Przybory i Mumia do siebie niedaleko.

Basiński: – Pewnie jest tak dlatego, że u Jeremiego Przybory wy czuwa się łagodność i szacunek do często raczej nieporadnych postaci. A nas jako Mumia interesuje ludzka słabość. Człowiek nie jest przecież jakimś supermenem i tylko wtedy może dobrze funkcjonować, kiedy uzna swoją słabość. Nie będzie udawać, że jest kimś innym, niż jest. Ile to razy widzimy ludzi w swojej biedzie, którzy próbują błyszczeć i traktują ten błysk jako jedyną prawdę o sobie, choć wiadomo, że to tylko krótka chwila. My w Mumiu zauważamy, że siłą jest zgoda na swoją ludzką słabość, niewystarczalność, afirmacja codziennej i niecodziennej nieporadności.

Tomasz Miłkowski

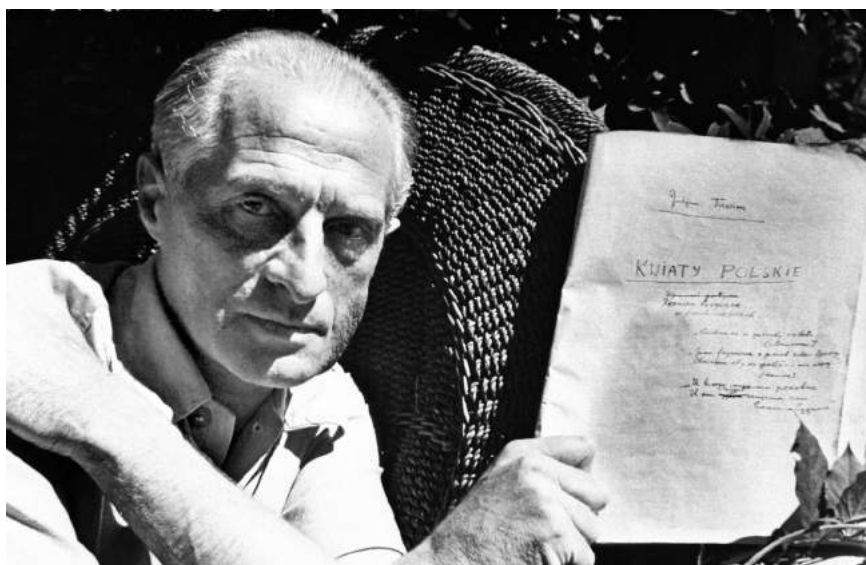
Maciej J. Nowak

„Julka przez całe życie uważałam za czarodzieja. Nie pamiętam już, od czego i kiedy się to zaczęło”, pisała o bracie Irena Tuwim. Czarodziejem pozostał na zawsze, nie tylko dla siostry. Chyba nie znajdziemy w XX w. poety, który w wierszach lepiej umiałby trafić do serc Polaków. Co prawda, Gombrowicz na wieść o jego śmierci notował zgryźliwie: „Zmarł największy współczesny poeta polski. Największy. Niewątpliwie. Wielki? Hm...”. Ale Tuwim przetrwał pod strzechami do dziś. Zarówno jego wiersze dla dzieci, jak i te poważniejsze wciąż są czytane. Łatwo znajdziemy takich, którzy rozliczają go z wyborów politycznych. Piętnować, kategorycznie oceniać jest znacznie łatwiej, niż zrozumieć. Biograf poety Mariusz Urbanek, próbując udzielić odpowiedzi na pytanie o powody jego związku z komunizmem, wskazał ogromną, powiększoną w czasie II wojny światowej traumę. Wiązała się ona z doświadczeniami z lat II RP. Na czym one polegały?

Młody Tuwim uwielbiał prowokować. Zaczęło się od „Wiosny”, która gorszyła już w epoce odradzającej się niepodległości. Ale miało to plusy – każdy skandal przyciąga. Irena Krzywicka wspominała: „Cudowne dziecko okazało się cudownym poetą! Zdobył mnóstwo czytelników – entuzjastów natychmiast po opublikowaniu pierwszych wierszy w studenckim piśmie. Sława spłynęła na najwybitniejszych pikardczyków, później skamandrytów, bardzo szybko”. W kolejnych latach dolewał oliwy do ognia. Zaraz po śmierci Narutowicza najdosadniej wygarnął moralnym sprawcom zamachu. W roku 1923 napisał wiersz „Do generałów”. Przeciwwstawiał w nim generałom, o których wielokrotnie wyrażał się pogardliwie, poetów: „Wam – czerwone wyłogi za rzeź, / Za morderstwo, gwałty i pożogi! / My – do serca nagą rozdieramy pierś: / Takie mamy szkarłatne wyłogi!”. Zwracał się do nich per „śmieszni ludzie, obwieszeni gwiazdami”. Jeszcze ostrzej poczynął sobie w wierszu z 1929 r. „Do prostego człowieka”. Opowiadał w nim, co ów „prosty człowiek” ma robić, kiedy będzie wzywany do wojny, „Gdy zaczną na tysięczną modłę /

UTARCZKI Z MIEJSCOWYMI KRETYNAMI

Rzecz o Tuwimie



Jakże inaczej wygląda treść pisanych już po upadku II RP „Kwiatów polskich”. Dla poety dalej głównym celem ataku pozostaje nacjonalizm i antysemityzm, ale na tym nie poprzestaje.

Ojczyznę szarpać deklinacją / I łudzić kolorowym godłem, / I judzić »historyczną racją« / O piędzi, chwale i rubieży, / O ojcach, dziadach i sztan-darach, / O bohaterach i ofiarach”. Wszelkie te wezwania będą z gruntu fałszywe, gdyż „Wiedz, że to bujda, granda zwykła / Gdy ci wołają »Broń na ramię!«, / Że im gdzieś nafta z ziemi sikła / I obrodziła dolarami”. Cóż wtedy robić? Tuwim radził: „Różnij kabinem w bruk ulicy!”.

Nie był więc niewiniątkiem. Trzeba jednak pamiętać, że w ówczesnej debacie publicznej roiło się od tez w każdą stronę przejawskawionych. Czemu więc nie mógłby takich formułować poeta? Tym bardziej że od początku miał powody do złości – nie darowano mu żydowskiego pochodzenia. Prasa endecka nazywała go „żydziakiem, który jeszcze pisać nie umie” czy „Jojne Tuwimem z Gęsiej

ulicy”. Znalazł się nawet w „Myśli Narodowej” „poeta”, niejaki Józef Gałuszka, który spróbował artystycznie zniszczyć wielkiego rywala. Wiersze Gałuszki były tyleż ofensywne, co nieudolne. Skamandryta łatwo więc je wykipił, konkludując: „Polskie matki będą nimi straszyły polskie dzieci”.

Na atakach grafomanów się nie skończyło. Również poważniejsi krytycy literaccy, tacy jak Zygmunt Wasilewski, odmawiali mu prawa do uważania się za polskiego poetę. Budziło to oddźwięk u „prostych ludzi”. Pewnego razu Tuwim udał się z Antonim Stonimskim na wiecór autorski do Drohobycza. Na miejscu organizator imprezy uprzedził, że może się wywiązać rozróżba. Przybyła bowiem grupa z Borysławia, która nie wiadomo dlaczego miała być agresywna. „Ta oni będą bić – przekonywał poetów. – Ta oni tu jedne-

go futbolistę postrzelili. Ta z nimi nie ma żartów". Po tym zachęającym wstępie szybko się ulotnił, a poeci odkryli, że drzwi do pomieszczenia, w którym się znajdują, są zamknięte od zewnątrz. Droga wiodła tylko na scenę. Cóż było robić? Pierwszy wyszedł Słonimski. Zaczął prezentować swoją twórczość. Ku najwyższemu zdziwieniu otrzymał huraganowe brawa. Na zapleczu powiedział przyjacielowi, że pogłoski o bojkotkach to bujda i żeby „walił śmiało”. Tuwim tak zrobił. Ale gdy wyszedł, rozległ się gwizd i ryk, a jego stronę poleciały kamienie, zgnite jaja i jabłka. O co chodziło? O wiersz „Do generałów”. Borysławianin najprawdopodobniej czytali nie tyle sam utwór, ile gazetowe relacje o nim. Choćby tę Adolfa Nowaczyńskiego, w której publicysta pisał, że poeta obraża polskich wojskowych.

Sytuację musiał ratować Słonimski: „Wytłumaczyłem, że to, co napisał Nowaczyński, to kłamstwo, i dodałem, że Nowaczyński nazywa się Neuwert i że sam jest Żydem. Ten argument wyraźnie poskutkowało. Kiedy już bliski zwycięstwa spytałem, czy pozwolą Tuwimowi teraz odczytać swe wiersze, zaszedł fakt niespodziewany”. Widzowie zaczęli w odpowiedzi śpiewać... „Rotę”. Słonimski stwierdził, że jeżeli chciałby ich przelicytować, musiałby klęknąć i zaśpiewać „Bogurodzicę”. Zresztą śpiewanie „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz” nie było akurat „odpowiednim w stosunku do Tuwima postawieniem sprawy”. Ostatecznie wszystko dobrze się skończyło, a poeci w towarzystwie policji opuścili zgromadzenie.

Trochę gorzej wyglądała sytuacja po publikacji wiersza „Do prostego człowieka”. Nie tylko rozpoczęła się kampania prasowa i żołnierskie bojkówki zaczęły grozić pobiciem. Postępowanie w tej sprawie podjęła prokuratura. Coraz mniej mógł pomóc przyjaciel i obrońca skamandrytów, Wieniawa-Długoszowski. Więcej, sam dostał reprimendę od Rydza-Śmigłego za konszachty z poetami. Poradził jednak Tuwimowi, żeby publicznie wyjaśnił swoje stanowisko. I rzeczywiście artysta tłumaczył, że ani nie negował konieczności obrony ojczyzny, ani nie wzywał do rozbrojenia Polski. Chodziło mu o protest przeciwko wojnom zaczepnym i za-

chęcaniu do takowych. Czy mówił szczerze? Trudno powiedzieć.

Wszelkie przepychanki kosztowały go sporo nerwów, ale nie ustawał i wciąż walczył na literackim froncie. Kazimiera Iłakowiczówna wspominała, że nie dawał się „całej sforze złych psów szarpiących go za podszyte podówczaś wiatrem życie”, że odpłacał z nawiązką nienawiścią za nienawiść. To tej postawie zawdzięczamy popularne do dziś „Na pewnego endeka, co na mnie szczeka”

Młody Tuwim uwielbiał prowokować.

(zaczynający się od słów „Próżność repliki się spodziewał”) i „Wiersz, w którym autor grzecznie, ale stanowczo uprasza liczne zastępy bliźnich, aby go w d... pocałowali”. Jego postawa nie była w pełni konsekwentna, Tuwim bowiem poparł zamach stanu Piłsudskiego i autorytarne porządki. Owszem, miewał niemiłe przez władzę widziane wysoki (jak choćby „Do prostego człowieka”), ale sanacja mu nie przeszkadzała. Widział w niej ochronę przed endecją oraz rozwijającym się faszyzmem. Świetnie tłumaczy to z pozoru lekki wiersz „Eia, eia, alala”. Oto Piłsudski „W Sulejówku po ogródku / Chodził sobie powolutku / »Rozmaryna« nucił – lub /

celem ataku pozostaje nacjonalizm i antysemityzm, ale na tym nie poprzestaje. Dostaje się również piłsudczykom: „Jak Polskę toczy rak marszałka; / Gdy było »byczo« i rząd »amcił«, / Śmigły »podciągał« gosudarstwo, / A olrajtnicy, adiutanci / Stukali obcasami dziarsko; / Gdy się u stóp głuptasa wili / Ten »w szczerym hołdzie«, ów na żołdzie / Gdy honor dziejów plugawili / Nikczemnym marszem na Zaołzie”. Ewolucja ideowa wynikała również z obserwacji poczynionych w czasie wojny. Mimo hitlerowskiego ataku na Polskę i ogromu zła emigracja nie po-

trafiła sobie poradzić z problemem antysemityzmu. Może osądzał zbyt surowo, ale nie bez podstaw. Dlatego, jak trafnie sugeruje Urbanek, za jedyną siłę potrafiącą pokonać zło naiwnie uznał ówczesny komunizm. Taka postawa doprowadziła do trwałego rozłamu wśród skamandrytów. Przebywający na emigracji Lechoń już po śmierci Tuwima pisał o jego przewinach: „Jest to złamanie nie praw świętych dla każdego Polaka, ale praw najświętszych, zdawało się dla niego samego, jest to podeptanie herbu jego własnej poezji, herbu, którego dewizą, zdawało się nam, była »miłość człowieka i miłosierdzie«. (...) Przystanie Tuwima do bolszewików jest zagadnieniem

Jego postawa nie była w pełni konsekwentna. Poparł zamach stanu Piłsudskiego i porządki autorytarne.

»Hupaj-siupaj-hupaj-siup«”. Znudził go „Kurier Poranny” i wysłał Wieniawę do Warszawy po inne gazety. Gdy zaczął je czytać, zdenerwował się, bo: „Czyta, jak »Rzeczpospolita« / Pieje hymny dla Benita / Że parlament w d... ma, Eia, eia, alala. (...) Jak się pieni całe bractwo / Na spróchniałe demokradztwo, / Jak na zamach czyha! Ha! / Eia, eia, alala!”. Reakcja może być jedna: „Wrzasnął dziadek: Żono! Dzieci! / Przekonali mnie faceci! / Idę robić to, co trza! / Eia, eia, alala!”. Zresztą Tuwim nie zawahał się pisać znacznie większych panegiryków poświęconych sanacji i Piłsudskiemu.

Jakże inaczej wygląda treść pisaných już po upadku II RP „Kwiatów polskich”. Dla poety dalej głównym

moralnym i dlatego wydaje się nam, nie może być zafatwione bez przejścia przez czyszciec, bez pokuty, bez odkupienia, których dopełnienia mogą przyspieszyć zarówno łaska boska, duch samego poety, jak też intencje tych, którzy go kochali, lub wielbili jego wiersze”.

Rozdźwięk wśród skamandrytów to temat na osobną opowieść. Z upływem lat różnice polityczne się wyostrzały, prowadząc do waśni. Ale każdy z nich, nawet nieprzejednany Lechoń, wracał chętnie myślami do czasów Pikadora i Skamandra. I chyba tam, na samym początku, przed podjęciem różnych życiowych wyborów i wyniszczających batalii, najlepiej czuł się Julian Tuwim.



HADES Z HAPPY ENDEM

Opera „Orfeusz i Eurydyka” znana jest z arii o utraconej Eurydyce i ze szczęśliwego zakończenia mitologicznej opowieści. Pokazania, jak ogromna miłość jest w stanie pokonać śmierć, podjęła się reżyserka filmowa Magdalena Piekorz. Wyposażyła oboje śpiewających bohaterów w tanecznego odpowiednika, aby peregrinacjom w zaświatach nadać symboliczny i poetycki charakter. Bardzo przekonująco wypadła rola Orfeusza, którą powierzono nie jak w tradycji dawnych oper głosom kobiecym, ale mężczyźnie, do tego basowi. Artur Janda wywiązał się z zadania wymślenia, a towarzyszyła mu orkiestra instrumentów historycznych. Nastrój antyku podkreślały interesujące kostiumy i makijaż artystów.

Bronisław Tumilowicz

Christoph Willibald Gluck, „Orfeusz i Eurydyka”, inscenizacja i reżyseria Magdalena Piekorz, kierownictwo muzyczne Stefan Plewniak, Warszawska Opera Kameralna, premiera 2 marca 2019

WOLNOŚĆ KONTROLOWANA

Sztuka Iredyńskiego sprzed niemal pół wieku (1973) celnie identyfikuje mechanizm narodzin przemocy. W modelowej, rozpisanej na trzy postacie reprezentacji wspólnoty, która wybiera życie z dala od zgiełku cywilizacji zamiast szczęśliwego życia bez stresu, pojawia się podejrzliwość, lęk, nadzór, a na koniec terror.

Początkowo nic tego nie zapowiada. Wygląda na to, że życie świądomych uciekinierów od pośpiechu i konkurencji układa się idyllicznie. Ale egzystencja w otoczeniu rajskiej przyrody (akcentuje to scenografia w stylu Celnika Rousseau), ze schłodzonym piwem i pasztetem drobiowym z puszki zawsze pod ręką, nie uchroni grupy przed katastrofą. Nie wielkie odstępstwo od normy – Ewie, przywódczyni ideowej, wyrasta trzecia pierś – ma dramatyczne następstwa. Ewa początkowo tylko boi się śmieszności, Tomasz lęka się jej kompromitacji, a Jerzy ulega jego perswazjom i śpieszy z pomocą. Na tym jednak się nie skończy.



Marzenia o swobodzie, prawie do wyboru stylu życia, wolności od narzucanych obowiązków wypiera krok po kroku strach i zbierający za trute owoce bakcyl władzy. Okazuje się, że niemal w każdym człowieku tkwią zakorzenione głęboko tęsknoty za dominacją nad innymi. Stąd tylko krok do zamordyzmu. Oto jak utopia wolności wyradza się w totalitaryzm. Spektakl to wiarygodnie ilustruje, ale do pełnego sukcesu zabrakło w nim atmosfery narastającego zagrożenia, która udzielałaby się widzom.

Tomasz Miłkowski

Ireneusz Iredyński, „Trzecia pierś”, reżyseria i opracowanie muzyczne Jarosław Tumidajski, Teatr Współczesny, Scena w Baraku, premiera 26 stycznia 2019

ZASŁUCHAJ SIĘ



Karol Szymanowski, Roman Maciejewski
Drrrum Dana Dam
Pieśni kurpiowskie
DUX

Kultura Kurpiów jest odrębna, niepodobna do innych polskich odmian folkloru. Dostrzegli to najwybitniejsi twórcy muzyczni z Karolem Szymanowskim na czele. Płyta „Drrrum Dana Dam” dowodzi, jak wielki potencjał mają pieśni tego regionu. Nowością jest tu wymieszanie stylizacji dokonanych przez Szyma-

nowskiego z analogicznymi Romana Maciejewskiego. Chodzi nie o to, by wykazać, które opracowania są lepsze, bardziej kreatywne, ale by wczuć się w wyrażony przez Szymanowskiego i Maciejewskiego styl. Obcujemy z niezwykłymi poetyckimi frazami, z wyobraźnią ludowych twórców, do której dołączyła wyobraźnia muzyczna

współczesnych kompozytorów (wciąż jeszcze utwory Szymanowskiego uważamy za twórczość współczesną). A w przypadku pieśni „Panie muzykancie prosim zagrać walca” obaj twórcy wzięli na warsztat ten sam tekst i skonstruowali dwa jakże odmienne cacka, prawdziwe perełki.

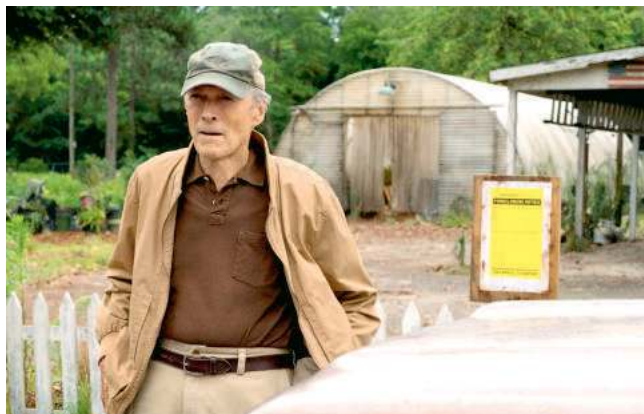
Franciszek Jacik

NA EKRANACH

PRZEMYTNIK

reż. Clint Eastwood, prod. USA, w kinach od 15 marca

Ogrodnik Earl, weteran II wojny światowej z Illinois, łąduje na bagażnik podniszczanego samochodu kilkaset kilogramów kokainy, siada za kierownicę i przewozi towar od producenta do diler. Brzmi jak początek ostrej komedii albo kontestatorskiego kina? Nic z tego. Clint Eastwood podchodzi do sprawy serio i portretuje wykluczonego bohatera, który z braku innych opcji decyduje się na współpracę z meksykańskim kartelem. Reżyser upomina się o ludzi takich jak Earl, wyrzuconych na margines społeczeństwa, zapomnianych przez bliskich i przez państwo, ale ich nie gloryfikuje. Żywotny senior ma styl, cięty humor i buntowniczą naturę, przez co nie da się go nie lubić, ale Eastwood, reżyser i odtwórca roli, nie ma dla niego litości. Chociaż po piętach deptają mu policjanci z wydziału narkotykowego, ciężar położony jest nie na wątku sensacyjnym, w którym wygrywa, robiąc gliniarzy na szaro, tylko na dramacie rodzinnym, gdzie przegrał na każdym



polu. Gorycz tego podpartego faktami filmu zawiera się w przekonaniu, że takim jak Earl odkupienie oferują już tylko ci, którzy mają gorsze grzechy na sumieniu.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Angie Thomas

NIENAWIŚĆ, KTÓRĄ DAJESZ

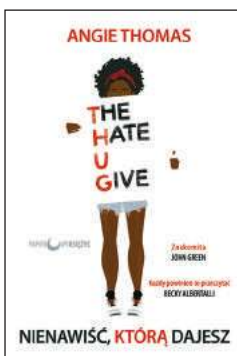
tłum. Donata Olejnik

Papierowy Księżyc, Słupsk 2018

Trzymać ręce na widoku. Żadnych gwałtownych ruchów. Odzywać się, tylko kiedy zapytają. Przestrzeganie tych zasad w kontaktach z policją, gdy jest się czarnoskórym, to sprawa życia lub śmierci, bo stereotypy rasowe w wielu sytuacjach z miejsca ustawiają relacje. Starr usłyszała takie zalecenia od ojca, eksgangstera, już jako 12-latkę. Jako 16-latkę przekonała się o ich słuszności – przyjaciel z dzieciństwa nie był ostrożny... W książce inspirowanej ruchem Black Lives Matter widać wszechobecność podziałów rasowych – dotyczą nawet butów noszonych przez dzieciaki. Druga rzecz to konflikty lojalności. Przyjaciele z dzielnicy i ci

z dobrej szkoły (biały chłopak!) to odrębne światy, w szkole zresztą trzeba uważać, by nie dostać łatki czarnej gniewnej. Wujek, który zastępował Starr ojca, gdy ten był w więzieniu, jest policjantem, reprezentantem represji. Rozdarcie bohaterki, tragedię, którą ją zmienia, odczuwa się boleśnie, bo trudno się nie przywiązać do tej bystrej, silnej dziewczyny, którą autorka porównuje do rapera Tupaca. Warto przy tym pamiętać, że w USA wciąż mało jest książek dla dzieci i młodzieży, w których głównym bohaterem byłby Afroamerykanin. Tyle że przesłanie zostało wypisane zbyt wielkimi literami.

Aleksandra Pańko



11. BALTIC MINI TEXTILE GDYNIA

Baltic Mini Textile Gdynia to konkurs organizowany od 1993 r. Przez te lata swoje miniatury zaprezentowali tu artyści z Europy, Azji, Ameryki Północnej i Południowej oraz Australii. Na wystawie obejrzymy 50 miniatur tkackich, wybranych przez jury spośród 324 prac zgłoszonych przez 155 artystów.

„Szczególnie interesujące w miniaturach tkackich jest ich ściśle powiązanie z kierunkami twórczych poszukiwań sztuki współczesnej. Narzucony wymóg skali czyni z nich swoiste laboratorium, pozwalające odkrywać nowe możliwości tkaniny artystycznej”, czytamy w zapowiedzi wystawy.

MUZEUM MIASTA GDYNI, DO 9 CZERWCA



WYDARZENIE

11. ARENA DESIGN 2019

Tegoroczna edycja ARENA DESIGN to zmiany, nowości i zaskakujący program. Motywem przewodnim są Transformacje – hasło odnosi się do ciągłych zmian, które są dziś jedynym stałym elementem świata wzornictwa przemysłowego. W Poznaniu zaprezentują się najlepsi producenci i projektanci, a wykładom i warsztatom będą towarzyszyć wystawy. Agata Nowotny, specjalizująca się w socjologii i antropologii dizajnu,



przygotowała wystawę „Zasoby”. Wystawa „195x: How old is modern?” to seria obiektów vintage, które kwestionują definicję nowoczesności. Zaprezentowane zostaną też najlepsze projekty produktowe w ramach konkursu TOP DESIGN award. **Szczegóły:** www.arenadesign.pl.

MIĘDZYNARODOWE TARGI POZNAŃSKIE, 12-15 MARCA

Brian Fagan

KONIE POD ZIEMIĄ

Od połowy XVIII w. tysiące koni pracowało głęboko pod ziemią w kopalniach węgla, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii i w Australii, ale również, w ograniczonym stopniu, w Stanach Zjednoczonych. W miarę jak kopalnie się rozbudowywały, a odległości od szybu i przodka wydłużały, zwierzęta przejęły rolę pracujących kobiet i dzieci. Kopalniane konie były małe i krępe, rzadko miały ponad 12 dłoni w kłębie, zawsze były to wałachy lub ogiery. Były niskie i masywne, o grubych i mocnych kościach. W brytyjskich kopalniach pracowało wiele kuców szetlandzkich, a zwierzęta sprowadzano z tak odległych krajów jak Islandia i Rosja. Często trzymano je głęboko pod ziemią, gdzie pracowały nawet przez 20 lat, ale zazwyczaj żyły dużo krócej, przystosowawszy się do mroku i pracując osiem godzin dziennie. Najlepsze zwierzęta cechowało łagodne usposobienie i miały cztery-pięć lat. Ich emerytura na powierzchni zazwyczaj trwała krótko, gdyż z trudem przyzwyczajały się do życia w stadzie na otwartej przestrzeni. Niektóre rodziły się pod ziemią i nigdy nie widziały światła dziennego. Właściciele zazwyczaj dobrze je karmili, posiekany sianem i kukurydzą, zapewniaли im obfity zapas wody pitnej i dobrą wentylację, wyprowadzając je na powierzchnię, tylko kiedy kopalnię zamykano na święta. Dbali też, żeby za konkretne zwierzę był odpowiedzialny ten sam przewoźnik, co miało sprzyjać wytworzeniu się między nimi więzi.

W XIX w., pomimo nasilającej się publicznej troski o ich traktowanie, konie nadal pracowały w kopalniach. Kuce te stały się katalizatorem walki o prawa zwierząt, ale przez dekady nic się nie zmieniło.

Coal Mines Regulation Act z 1887 r. była pierwszą ustawą chroniącą kopalniane konie, ale ograniczała się do wysyłania inspekcji i regulowania wysokości korytarzy. (...) W 1911 r. nowa ustawa nakładała obowiązek prowadzenia dziennych rejestrów, zatrudnienia wykwalifikowanego opiekuna na każde 15 kuców, a minimalny wiek zwierzęcia do pracy wyznaczono na cztery lata. W 1913 r. w Wielkiej Brytanii

PRACOWITY JAK KOŃ

Rewolucja przemysłowa na początku opierała się na pracy zwierząt



Koń pracujący w niemieckiej kopalni, 1894 r.

pod ziemią pracowała rekordowa liczba 70 tys. okazów, jednak stopniowo zaczęto je zastępować wydobyciem mechanicznym, a później

sile napędowej zwierząt, nie tylko w kopalniach, ale do noszenia ładunków, orki i zasilania młynów – żeby wymienić tylko niektóre zajęcia. Lo-

Ostatni koń w kopalni przeszedł na emeryturę w 1999 r.

stosowano je głównie na krótszych odcinkach. Pod koniec lat 30. XX w. ich liczba spadła do 32 tys. Jeszcze w 1985 r. na Wyspach Brytyjskich pod ziemią było nadal 561 kuców. Ostatnie zwierzę przeszło na emeryturę w 1999 r. (...)

ZWIERZĘ MIEJSKIE

Konie pod ziemią pracowały z dala od blasku słońca; jeszcze więcej z nich pracowało w rosnących aglomeracjach miejskich. Fabryki i miasta w coraz bardziej uprzemysłowionej Wielkiej Brytanii i Europie mogły wystawiać korzyści pary, ale nadal opierały się w znacznej mierze na

komotywy parowe dostarczały żywność i towary do stacji końcowych, ale pozostawał problem dalszego transportu, miejscowej dostawy, transportu publicznego. W latach 70. XIX w. miejskie populacje koni wystrzeliły, rosnąc szybciej niż liczba mieszkańców. Ponad 100-tysięczne miasta miały przeciętnie jednego konia na 15 osób, choć proporcja ta mogła się znacznie różnić między aglomeracjami. W 1900 r. na Manhatanie pracowało 130 tys. koni, podczas gdy Chicago miało ich 74 tys., a Filadelfia 51 tys. Dane te dotyczą okazów miejskich, nie tych trzymany na tańszej ziemi podmiejskiej lub zwierząt gospodarskich, które

dowozili żywność klientom z miast. Pod koniec XIX w. nie było aglomeracji, która nie zależałaby w znaczącej mierze od koni roboczych zarówno w pracach stacjonarnych, jak i transporcie. Przenosiły one nawet na wałkach całe domy.

Przy całym swoim technologicznym zaawansowaniu rewolucja przemysłowa na początku opierała się na pracy zwierząt. Jeszcze w 1850 r. energia zwierzęca stanowiła 52,4% całej wydajności – i prawdopodobnie jest to niedoszacowanie. Kiedy pojawiły się tory, coraz mniej ludzi jeździło na koniach z wyjątkiem rolników, dżokejów, wojska i policji. Jazda dla przyjemności należała do rzadkości.

Opieka nad końmi użytkowymi stanowiła wyzwanie nawet dla ekspertów. Znany amerykański inżynier Robert Thurston zauważył w 1895 r., że koń karmiony owsem jest nie tylko bystry i chętny, ale stanowi „samowystarczalny motor”. W rachubę wchodziło wiele czynników: dieta, ilość spożywanej paszy i poziom zmęczenia po ośmiogodzinnych zmianach.

Nawet po śmierci koń był cenny z racji skóry, grzywy do wyściełania mebli, na karmę dla zwierząt domowych.

Badano chód i średnią prędkość koni pociągowych i dyliżansowych – optymalna szybkość, zdaniem Thurstona, wynosiła ok. 4 km na godzinę. W końcu doświadczenia w kontrolowanych warunkach z siłomierzami wykazały, że konie tramwajowe zużywają siedem razy tyle energii, żeby ruszyć ciągnięty pojazd niż żeby utrzymać go w ruchu. Chicago Street Railway opublikowały dane, z których wynikało, że konie wymagają nakładu 0,0372 dol. na milę samochodową, a wagony elektryczne 0,02371 dol. Badanie to mogło być istotnym powodem zniknięcia koni z miejskich ulic. Jednak przez pokolenia zwierzęta robocze były zyskowne, co jeszcze bardziej utrudniało RSPCA zadanie.

Na znaczeniu zyskiwało wyposażenie, w tym derki i klapki, które uspokajały konia przy dużym ruchu. Po testach wiele firm ograniczyło eksploatację koni do pięciu godzin dziennie. Dłuższe dni pracy, wymagające ciągłego zatrzymywania się i ruszania, mogły prowadzić do kontuzji nogi, zawsze słabego punktu.



Tramwaj konny w Bostonie, początek XX w.

Firmy tramwajowe wymieniały konie co pięć lat, po czym sprzedawały je, nawet jeżeli były zdrowe, świadome, że na starość zwiększa się prawdopodobieństwo kalectwa. Te taktyki

W połowie XIX w. rozplód koni do różnorodnych zajęć stał się wysoce intratnym interesem. W Stanach Zjednoczonych popyt na duże, silne konie doprowadził do znacznego wzrostu importu potężnych europejskich ras, jak belgi i perszerony – w latach 60. XIX w. sprowadzano nawet 10 tys. sztuk rocznie. Usprawnione metody rozrodu z udziałem europejskich reproduktorów w latach 1840-1900 zwiększyły rozmiar zwierząt pociągowych o 50-75%. Zaradni hodowcy skorzystali z linii ►

prewencyjne były tak skuteczne, że próby zastąpienia pojazdów konnych silnikowymi spęzły na niczym.

**BRUTALNY THRILLER,
W KTÓRYM NIC NIE JEST TYM,
CZYM SIĘ WYDAJE...**

Zostałam całkowicie zmiażdżona.
Anna Makieła,
blog spadlomizregala.pl

PATRONI
MEDIALNI

Przełom

UPITER

KSIAŻKI

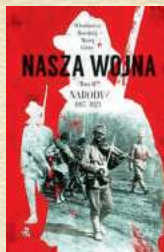
Włodzimierz Borodziej, Maciej Górny

Nasza wojna

T. II: Narody 1917-1923

W.A.B., Warszawa 2018

Im dłużej trwała Wielka Wojna, tym trudniej było wyobrazić sobie, jak się skończy i czy w ogóle kiedyś nastanie pokój. A tego, że prawie wszystko się zmienia, nikt nie przewidywał. Autorzy opisują zmiany, które przyniosła, na wielu polach: opowiadają m.in. o nowej taktyce prowadzenia działań wojennych, o strajkach i buntach robotniczych, o prawach kobiet, kulturze, polityce i walce o niepodległość narodów Europy Środkowo-Wschodniej. To opowieść o wielkiej transformacji, o jej zwycięzcach i przegranych. Chociaż w centrum tej opowieści znajduje się Polska i jej sąsiedzi, wydarzenia wojenne i ich następstwa zostały ukazane w całej przestrzeni od Bałtyku do Bałkanów.



Katarzyna J. Kowalska

Polski El Greco

Wydawnictwo Iskry

Gdańsk 2018

Kiedy w 1961 r. dwie młode badaczki sztuki dostrzegły na plebanii w Kosowie Lackim zniszczony, pociemniały obraz, sądziły, że ich odkrycie będzie sensacją. Tymczasem „Ekstaza św. Franciszka” pędzla El Greca zniknęła wkrótce na wiele lat i dopiero po 40 latach została wystawiona dla publiczności. Co się działo przez ten czas z obrazem artysty z Toledo? Jak ustalać jego autentyczność? Autorka przeprowadziła na ten temat wnikliwe badanie.



Artur Marino

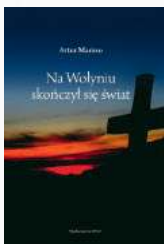
Na Wołyniu

skończył się świat

Wydawnictwo Ovo

Trzebnica 2018

Autor zbudował książkę z relacji, dokumentów i opowieści świadków mordów wołyńskich. Jak sam przyznaje, jest w niej wiele fragmentów, które mogą budzić sprzeciw. Zapożyczenia z popkultury, wywołujące konfuzję porównania, być może nadmierne epatowanie okrucieństwem czy wnioski, które mogą się wydać nieuprawnione – to wszystko może budzić kontrowersje. Ale bez tych fragmentów książki by nie było – podkreśla.



► kolejowych, żeby wypaszać większe konie na bogatych w wapń trawach Środkowego Zachodu.

Hodowla przemysłowa, zagrody, w których chowano i ujeżdżano konie, centralne targi w miastach jak Chicago – w miarę upływu XIX w.

Padlina mogła być warta więcej niż żywe zwierzę.

wydajność branży doprowadziła do obniżenia cen koni. Standardy rynkowe dawały firmom tramwajowym możliwość 10-dniowego bezwarunkowego zwrotu nabytych zwierząt. Posterunki płaciły za 30-dniowe gwarancje, biorąc pod uwagę trudności związane z wyszkoleniem wierzchowców. Były targi koni używanych, jak i czarnych zwierząt poszukiwanych przez przedsiębiorców pogrzebowych. Kopalnie nabywały zwierzęta z wadami wzroku po znacznie obniżonych cenach, ponieważ okazy pracujące pod ziemią często i tak ślepy.

Oprócz tego były produkty dodatkowe – obornik ze stajni, a nawet odchody z ulic sprzedawano na nawóz. Przed wejściem do użytku nawozów chemicznych właściciele cieplarni cenili obornik za wydzielane ciepło. (W latach 90. XIX w. chemikalia okazały się tak wydajne, że stajnie musiały płacić za usuwanie obornika). Nawet po śmierci koń był cenny z racji skóry, grzywy do wyściełania mebli, na karmę dla zwierząt domowych i do wielu innych celów. Weterynarze lub przedstawiciele towarzystw ochrony zwierząt dobijali co roku setki chorych, starych lub kalekich zwierząt. Inne zapracowywały się na śmierć, zwłaszcza kiedy ceny były niskie albo w interesie panował zastój. Padlina mogła być warta więcej niż żywe zwierzę.

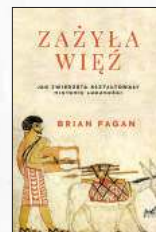
Firmy zajmujące się utylizacją odpadów zwierzęcych zaprojektowały specjalne dźwigi do usuwania z ulicy martwych koni. Co bystrzejsi właściciele, wielu z nich odpowiedzialnych za duże stada, doskonale zdawali sobie sprawę ze znaczenia więzi między woźnicą a zwierzęciem. Miejskie firmy tramwajowe wymagały od woźniców, by oporządzali konia przed udaniem się wieczorem do domu. Choć stworzenie więzi było ważne, tradycyjne kielno i bicz nadal traktowano jako podstawowe metody wymuszania posłuszeństwa. Musiało to doprowadzić do maltretowania

i zaniedbywania, przez co właściciele zaczęli się martwić zachowaniem woźniców poza stajnią. „Poznaj każdego konia tak dobrze, jak matka zna swoje dziecko”, zaklinała jedna z firm. „Zwierzęta zawsze zapamiętują ludzi, którzy je dobrze traktują”, napisał pewien

woźnica z Baltimore. Jego afroameerykański pracodawca zatrudnił nawet „szamana”, by ten troszczył się o konie. Właściciele zachęcali woźniców, by nadawali koniom imiona i posuwali się wręcz do przydzielania afroameerykańskich woźniców czarnym koniom. Imiona były ważne przy dużym natężeniu ruchu, aby koń mógł usłyszeć wołanie woźnicy spośród dziesiątków innych krzyków na hałaśliwej ulicy. Nie żeby sięgano przez to rzadziej po bicz. Podręcznik pewnej stajni zalecał wręcz rozpalanie pod końmi pociągowymi ogniska, żeby skłonić je do pociągnięcia ciężkiego ładunku.

Szkolenie miejskich koni wymagało cierpliwości i uwagi. Woźnice czujnie wypatrywali przedmiotów tak trywialnych jak latający świstek papieru, który mógłby przestraszyć podopiecznego i spowodować go do galopu, co jest naturalnym odruchem na wolności. Wypadki były powszechne, zwłaszcza przy dużym ruchu, i często powodowały je przestraszone konie pędzące w popłochu po zatłoczonych ulicach. W istocie konie przestały być wydajne w kategoriach ściśle merkantylnych. Były hałaśliwe, wytwarzały odchody i mocz. Miały również niewygodny zwyczaj umierania bez zapowiedzi podczas pracy i były podatne na obrażenia. Epidemia końskiej choroby mogła – co się zdarzało – sparaliżować całe miasto. Pod koniec XIX w. – bezdyskusyjnie wieku konia – limit wykorzystania końskiej siły pociągowej w mieście został osiągnięty. Nie dało się jej usprawnić lepszą hodowlą. Transport konny musiał ustąpić elektrycznym tramwajom i silnikowi spalinowemu.

Fragment książki Briana Fagana *Zażyła więź. Jak zwierzęta kształtowały historię ludzkości*, przekład Patryk Gołębiowski, Post Factum, Katowice 2018



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Nadchodzą dwa potężne – mam nadzieję! – a z całą pewnością ważne, protesty. Oba z jednego świata, polskiej szkoły. Najwyraźniej nie ma woli władz, by zaspokoić oczekiwania i żądania nauczycieli w takim stopniu, żeby odstąpili od zapowiedzianego na 8 kwietnia ogromnego, bezprecedensowego w swojej masowości protestu. Prawie 80% placówek przygotowuje się do strajku, którego nie da się zbagatelizować, nie zauważyć. Nauczyciele są grupą zawodową, która naprawdę musi zostać doprowadzona do ostateczności, żeby zdecydować o tej formie dochodzenia swoich praw i zaspokojenia potrzeb. Ta wstrzemięźliwość (bo dobro szkoły, bo dzieciaki, bo etos, bo misja) była ochoczo wykorzystywana przez każdą ekipę rządzącą. Bunt pacyfikowany był paradoksalnie przez część uzwiązkowionych nauczycieli czy wreszcie, co przypominała ostatnio Izabela Desperak z „Krytyki Politycznej” w tekście o strajkach nauczycielskich z początków transformacji w 1992 r., przez rozbięcie tradycyjnej (najstarszy związek zawodowy w Polsce to Związek Nauczycielstwa Polskiego) solidarności całej grupy systemem awansu zawodowego nauczycieli. „Podział na stażystów,

Staśmy więc murem za protestującymi. Warto, trzeba, jesteśmy im to winni.

15 marca z kolei po raz pierwszy w Polsce wydarzy się szkolny strajk dla klimatu. Jego organizatorami i uczestnikami będą dzieci i młodzież (niekiedy czy nawet często ze wsparciem nauczycieli). Ten strajk będzie głosem w kwestii przyszłości nas wszystkich, całej wymęczonej, zasmrodzonej, zanieczyszczonej i eksploatowanej ponad miarę Ziemi. Strajk zainicjowała samotnie 15-letnia Greta Thunberg, uczennica ze Sztokholmu, podobne protesty rozlały się po całym świecie, fala dotarła też do nas, kraju, który skompromitował się jako gospodarz ostatniego szczytu klimatycznego. Oskarżenia 15-latkę wobec liderów politycznych i świata dorosłych nie mogły już wybrzmieć dobitniej niż w zestawieniu z kuriozalnymi wypowiedziami prezydenta Dudy czy szefa polskiego organizatora. Ignorancja klimatyczna wymieszana z zadufaniem była nawet zbyt doskonałą ilustracją tego, że zostawiamy dzieciom i wnukom świat gorszy i bardziej zagrożony (powiedzmy mocno: zagrożony unicestwieniem) niż ten, w którym nam przyszło żyć. Ta walka musi się powieść, żeby Ziemia przetrwała.

STRAJKI DOBRE, STRAJKI KONIECZNE

kontraktowych, mianowanych i wreszcie dyplomowanych solidarną dotąd rzeszę nauczycieli jadących na jednym wózku zmienił w luźny zbiór grup zawodowych o różnych interesach. Zarazem czas, który zajmowało nauczycielkom i nauczycielom osiągnięcie mianowania i dyplomowania, był okresem, w którym nie mieli głowy do protestów, tym bardziej że dostali do ręki lepsze narzędzie wzrostu płac: awans”.

Jest chichotem historii fakt, że trzeba uzasadniać, dlaczego nauczyciele powinni zarabiać godziwie – a tak nie zarabiają. Wszyscy mają poczucie, że znają się na szkole, bo kiedyś do niej chodzili. Przekracza ich wyobraźnię to, że czym innym jest być uczniem, a czym innym – uczyć. Mamy więc często negatywne wspomnienia, brakuje wizji lepszej szkoły, a media i politycy wzmacniają mityczne zarzuty o nieprzepracowywaniu się nauczycieli, długich wakacjach – co dotąd raczej sprzyjało rezerwie wobec postulatów nauczycielskich.

Wygląda jednak na to, że obecnie, mimo rytualnych zakłęt antynauczycielskich, protestujący otrzymują sporo wsparcia i zrozumienia dla swojej walki ze strony rodziców. Polskie państwo, zresztą nie ono jedno, potrafi lekką ręką źle wydawać pieniądze. Aż głupio tłumaczyć, że od zapewnienia nauczycielom bytu i poczucia docenienia zależy poziom wykształcenia kolejnych generacji w coraz trudniejszym do oswojenia świecie. Świecie szybko się zmieniającym, wymagającym nowych kwalifikacji i kompetencji, błyskawicznego reagowania. Tego dzieci mogą się nauczyć tylko w szkole (korci, żeby dorzucić: w której lekcji fizyki, biologii i chemii razem wziętych będzie więcej niż lekcji religii). W szkole, w której uczyć będą nauczycielki i nauczyciele niesfrustrowani zarobkami i statusem.

Niestychanie ważne jest – nie tylko jako doświadczenie pokoleniowe – to, że dzieciaki wyjdą w obronie klimatu, czyli naszego świata, na ulice. Ta lekcja będzie jedną z najważniejszych, w których wezmą udział. Nie ma dzisiaj ważniejszej sprawy, o którą trzeba walczyć, jeśli chcemy, żeby Ziemia pozostała planetą ludzi. Dziękujemy wam, dzieci i młodzieży, że rozumiecie to, co lekceważą i czego nie ogarniają dorośli.

PS Przed dwoma tygodniami na żądanie Ministerstwa Kultury PRZEGLĄD zamieścił sprostowanie do mojego felietonu, gdzie m.in. czytamy: „nieprawdziwa jest informacja podana w artykule »Faktura za Solidarność«, jakoby Ministerstwo, kilka tygodni po tragicznej śmierci Adamowicza (...) obcięło zadeklarowaną dotację na funkcjonowanie ECS z 7 do 4 mln”. ECS otrzymało pismo o wysokości kwoty dotacji podmiotowej 5 października 2018 r.”.

Chciałem osobiście bardzo przeprosić ministra Głińskiego za pomyłkowe dołączenie go do akcji przeciw ECS i Adamowiczowi dopiero po tragicznej śmierci prezydenta Gdańska. Nie wiem, jak mogło mi umknąć, że w rzeczy samej ministerstwo ruszyło do boju przeciw Adamowiczowi, współtwórcy i pomysłodawcy ECS, niekoniunkturalnie i autonomicznie już dużo wcześniej, bo w trakcie kampanii wyborczej jesienią 2018 r. (a o przypomnienie tego faktu właśnie dopomina się ministerstwo w sprostowaniu).

Dorzucę jeszcze tylko, że moja opinia, pogląd, że późniejsze działania ministerstwa próbujące wprowadzić do władz ECS sromotnie pokonanego w wyborach Kacpra Płażyńskiego (kandydata PiS) miały zaowocować dodatkowymi pieniędzmi dla Centrum, nie podlegają ministerialnym sprostowaniom. Myśli – jeszcze nie.

f Bandyci, a nie święci

Odpowiadając na pytanie, czy Marsz Pamięci Żołnierzy Wyklętych w Hajnówce, podczas którego gloryfikowano m.in. zbrodniarza „Burego”, mieści się w granicach wolności wyrażania poglądów, Mirosław Chojeczek ze Stowarzyszenia Wolnego Słowa stwierdził: „Ludzie powinni mieć prawo do manifestowania pamięci o »wyklętych«, tym bardziej że przez tyle dziesięcioleci było im ono odebrane”.

Nie było żadnego „odbierania prawa” manifestowania pamięci o powojennym podziemiu antykomunistycznym. Po prostu nikt nie chciał o nich pamiętać, nie było więc potrzeby manifestowania. W powszechnym odczuciu był to jedynie żenujący epizod, którego w większości wstydzili się nawet sami uczestnicy. Dopiero teraz w celach politycznych wyciągnięto go ze śmietnika historii. I zapewne rychło spocznie tam ponownie wraz z formacją polityczną, która go wygrzebała. Kolejnego powstania narodowego z tego się nie robi z bardzo prostego powodu. Polskie powstania zyskały wymiar moralny, tj. cokolwiek o nich myśleć w chwili wybuchu, powinnością dobrego Polaka było wziąć w nich udział, choćby symbolicznie. Ale tak się stanie od razu albo nie stanie się nigdy. Tymczasem społeczeństwo polskie nigdy nie przyjęło za swój pogląd, że po zakończeniu wojny powinnością Polaka było – zamiast wracać do domu, odbudowywać zniszczony kraj i swoje własne życie, obojętnie już, w jakiej konfiguracji politycznej i z kim u steru – iść do lasu i walczyć z nową władzą. A to właśnie próbuje nam się wmawiać po ponad 70 latach. Tymczasem tamten wybór był polityczny i tylko polityczny. Niepamięć o „wyklętych” przypisuje się zohydzeniu ich przez propagandę komunistyczną. Bzdura! Społeczeństwo reagowało na PRL-owską propagandę wręcz alergicznie i odrzucało wszystko, co za takąową uznało, nawet jeśli była to prawda. Jeżeli społeczeństwo uznawało za swoje coś, co głosiła propaganda, musiało to być wynikiem własnych przemyśleń i wniosków. Skoro w pamięci zbiorowej powojenne podziemie antykomunistyczne przetrwało jako bandyci, to znaczy, że społeczeństwo samo z siebie widziało w nich właśnie bandytów, a nie, że mu to wmówiono. I raczej powszechnie się nie przyjmie odgórnie propagowany ich kult, bo pozostanie zawsze manifestacją poglądów politycznych.

Krzysztof Guderski



Nie sędzę, by rozbił się po świecie, ponieważ podróżował jedynie w granicach imperium rosyjskiego, przewożony jako skazaniec polityczny do dalekich garnizonów.

Nie wiem, czy najlepszy w tym kontekście jest fragment ballady rosyjskiego poety Michaiła Swietłowa w pięknym tłumaczeniu Juliana Tuwima. Bohater tego wiersza opuścił Ukrainę nie dla przyjemności. Porzucił chatę, malachit stepowy, zboża ojczystego kraju, ponieważ „ziemię w Grenadzie ja oddać chciałem chłopom”. Jak nasi dąbrowszczacy. Wspólny cel podkreślił Ksawery Pruszyński w opowiadaniu „Różaniec z granatów”. Umierający dąbrowszczak prosi o zacytowanie mu właśnie „Grenady” w ostatniej chwili życia.

prof. dr hab. Ryszard Turski, Lublin

✉ W 1945 r. obróciło się koło historii

Redaktor naczelny w komentarzu „Prezydent z lasu” (PRZEGLĄD nr 10) pisze: „Duda udaje, że nie wie, że ofiarą tych »patriotów« byli (...) geodeci dzielący ziemię między bezrolnych chłopów”.

Alę zgodnie z obecną wersją historii reforma rolna była kradzieżą, „wyklęci” zatem karali złodziei i kolaborantów.

Po pierwsze – w czym imieniu „wyklęci” wydawali wyroki? Nawet jako laik w kwestiach prawnych mam wrażenie, że wyrok może wydać tylko niezawisły sąd po przeprowadzeniu odpowiedniego postępowania, na podstawie obowiązującego prawa. A gdzie działały te „wyklęte sądy”? Według jakich przepisów prawa wydawały wyroki śmiertelne za rzekomą kradzież zwykłe zbiory o mafijnym poczuciu praworządności?

Po drugie – w jaki sposób ci rzekomo okradzeni doszli do swoich bogactw? Ciężką pracą? Owszem, ale nie swoją. To wielowiekowy system niewolniczy, zwany dla niepoznaki pańszczyzną, doprowadził do sytuacji, że u schyłku II RP w Polsce z jednej strony było kilka milionów bezrolnych chłopów, a z drugiej – wielkie majątki ziemskie, przekraczające czasem 100 tys. ha. Tymczasem polski chłopina, jeśli miał jakąś ziemię, to nędzne 2-3 ha. Taka struktura gospodarcza nie miała racji bytu w XX w. Polskie ziemiaństwo powinno więc podziękować władzy ludowej za to, że pozbawiła je tylko majątków, a nie – jak we Francji – także głów. Żeby było jasne – jestem absolutnym przeciwnikiem takich krwawych metod rozwiązywania społecznych konfliktów.

No i po trzecie – w jakim stanie były te majątki w 1945 r.? Ile było zniszczonych, ile już przed wojną tęnęło w długach? Państwo polskie, dokonując nacjonalizacji i reformy rolnej, *de facto* uratowało niejednego z tych mitycznych „prawowitych właścicieli” przed bezwzględną egzekucją, której dokonałyby na nich zagraniczne banki.

Niewątpliwie w latach stalinowskich prowadzono niepotrzebnie represyjną politykę wobec sektora prywatnego, ale to na szczęście po kilku latach się zakończyło.

Skończmy już zatem z tymi tęgastwami o „komunistach, którzy ograbiali uczciwych Polaków”. W 1945 r. obróciło się koło historii, na czym skorzystała przytłaczająca większość społeczeństwa, do tej pory będąca podludźmi we własnym, rzekomo, kraju.

Radostaw



✉ Szewczenko do podróży nie zachęca

W jubileuszowym, tysięcznym numerze PRZEGLĄDU Wiesław Kot opisuje godne zapamiętania wydarzenia z marców. Wśród nich znalazło się odsłonięcie w 2002 r. pomnika Tarasa Szewczenki w Warszawie. Autor uzasadnia ten fakt chęcią zaodcużyczenia Ukraińcom przybyłym do Polski „za harówkę od świtu do nocy” i za niedogodności przy kontrolach granicznych. Jest to, moim zdaniem, niewielka satysfakcja dla przyjeżdżających do nas w poszukiwaniu lepszej doli i Taras Szewczenko nie może być przykładem zachęcającym do podróży.



Oko w oko



Tomasz Jastrun

POLSKI KRAJOBRAZ

Już od dłuższego czasu dręczy mnie niepokój, co z katastrofą smoleńską, z komisją Macierewicza, co ze sztuczną mgłą, z trzema ocalałymi z katastrofy. Wielka cisza zapadła nad tym dramatem. Czemu nie ma jeszcze dowodów, że to był zamach z udziałem Tuska i Putina? Lud smoleński powinien się domagać wyjaśnienia. A lud pokornie milczy. Czekaj. A nie można by powiedzieć ludowi, że brak dowodów jest dowodem, że to był spisek? Bo jak może w ogóle nie być żadnych śladów? To znak, że je zatarli, świadectwo, jak przebiegły był spisek. A tu nagle prezes przerywa milczenie, ale zdawkowo. Mówi, że to nie jest normalne wyjaśnianie katastrofy lotniczej i że wierzy Macierewiczowi. Sugeruje, że podkomisja smoleńska ma „nowe ustalenia”. Jakże? A tajemnica. Prezes ma rację, to nie jest normalne wyjaśnianie katastrofy. Fascynujące, jak brednia może być podtrzymywana przy życiu, nie ma już materiału, by ten temat płonął, to niech przynajmniej się tli.

W wyborach prezydenckich w Gdańsku Aleksandra Dulkiwicz zdobyła ponad 82% głosów. Świetna frekwencja, przynajmniej zdaniem zwycięstwa. Na drugim miejscu uplasował się Grzegorz Braun – zupełnie polityczne zezwierzczenie – który dostał w Gdańsku niemal 12% głosów, bardzo mało i bardzo dużo. Na prowincji ten procent trzeba by zapewne podwoić. Można więc sądzić, że setki tysięcy ludzi w Polsce ma takie jak on poglądy na świat. Aż zimno się robi.

Taśmy Kaczyńskiego. Coś mi się zdaje, że tego Austriaka Geralda Birgfellnera to oni wsadzą, tak to się skończy.

Beniamin Netanjahu, premier Izraela, podobny do Kaczyńskiego, także narodowo-prawicowy i też próbujący ograniczyć demokrację w swoim kraju, jest podejrzany o korupcję. Prokurator generalny Izraela zamierza mu postawić zarzuty przekupstwa i oszustwa. Premier nie przyznaje się do winy i przekonuje, że jedynym celem tych oskarżeń jest próba pozbawienia go stanowiska. Czy jest do pomyślenia w Polsce, by prokurator generalny pozwolił postawić zarzuty prezesowi?

Wszyscy moi dalsi i bliscy znajomi, którzy mają firmy, mówią jednym głosem, że dramat, bo brakuje pracowników. Znalezienie kogoś kompetentnego i sumiennego graniczy z cudem. Młodzi chcą mało pracować i dużo zarabiać, nikt nie jest gotowy dochodzić do sukcesu wy-

trwałą pracą. Sukces ma być natychmiast. Swoje też zrobiła wielka emigracja, w puste miejsca wchodzi Ukraińcy. A to jednak jest Wschód, są tam ludzie wartościowi, ale liczni mają pańszczyźnianą mentalność. Udręką polskich pracowników jest to, że jeden etat nie wystarcza. Większość moich znajomych pracuje na dwóch albo ma wiele dodatkowych prac. Cierpią na brak czasu dla siebie i swoich dzieci. Szkoła dzieci nie wychowuje, nie wychowują rodzice, wychowują się same, korzystając z wątpliwej wiedzy grupy rówieśniczej i z internetu. Reforma edukacji przeniosła gimnazja do szkoły podstawowej, przeniosła więc tam burzliwy wiek dojrzewania, wzmocniony przez nowy model nastolatka. Nauczyciele są zupełnie na to nieprzygotowani. A szkoły sztywne, przeładowane niepotrzebną wiedzą, żal mi moich dzieci.

Polski krajobraz: słynna Solidarność dzisiaj na usługach władzy; gorzko mi, byłem przecież świadkiem, jak powstawała w Stoczni Gdańskiej. Czy wszystko musi u nas się zmieniać w karykaturę? Nowa Solidarność strzeże pomnika księdza, pedofila i agenta. Współczesny

Młodzi chcą mało pracować i dużo zarabiać, nikt nie jest gotowy dochodzić do sukcesu wytrwałą pracą.

krajobraz to też nasz Kościół, który krzywo patrzy na papieża Franciszka i jego walkę z pedofilią, a serdecznie na ojca dyrektora. To kraj, gdzie się czci tzw. żołnierzy wyklętych, nie różnicując tych, którzy heroicznie nie goździli się na stan rzeczy, i tych, którzy byli zbrodniarzami. Gdzie media publiczne zioną kłamstwem i manipulacją. Podobnie jak okładki pism prawicowych. Świat nie patrzy uważnie na Polskę, świat ma swoje problemy, ale to się sączy przez granice.

Najostrzej i najbardziej fachowo krytykują PiS ci, którzy byli w tej partii i odeszli. Magierowski, Ujazdowski, Dorn, Kluzik-Rostkowska, Marcinkiewicz. Jakby wyjście ze skażonej strefy powodowało, że mija otumanienie. Nie mieści mi się w głowie, aby wcześniej to był tylko cynizm. Marek Magierowski, już wyzwolony, proponuje żartem, by Polskę podzielić na dwa osobne kraje, Polskę zachodnią i wschodnią. Inaczej zjemy się nawzajem. Dobry pomysł.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeklad.pl

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

OKO DO WYMIANY?

Przyszłość chirurgii oka to technologia 3D

Zanim przedstawimy możliwości technologiczne, jakie otrzymali okuliści, proszę powiedzieć, z jakimi schorzeniami oczu najczęściej mają państwo do czynienia?

– Najczęściej występuje zaćma, czyli katarakta. Obserwujemy trend wzrostowy w liczbie operacji zaćmy. W 2010 r. było ich ok. 200 tys., w 2017 – już nieco ponad 300 tys. Operacje zaćmy stanowią ok. 80% wszystkich zabiegów okulistycznych. To są dane Narodowego Funduszu Zdrowia, a więc dotyczące zabiegów refundowanych. Szacuje się, że do tych liczb należałoby doliczyć jeszcze ok. 20% zabiegów zaćmy finansowanych prywatnie przez pacjentów.

A inne schorzenia?

– Znaczącą grupę stanowią przypadki jaskry. Według szacunków w Polsce cierpi na nią od 700 tys. do 1 mln osób. Jest leczona farmakologicznie, ale również chirurgicznie. Choroba nie daje z początku wyraźnych objawów, lecz jej skutki są

kazują jego wyższość nad tradycyjnymi technikami. Sądzę, że z czasem samo urządzenie zostanie wyposażone w dodatkowe funkcje, np. będzie podawać i zapisywać podstawowe wymiary i inne informacje ważne podczas zabiegów. To udogodnienie nowoczesnych technologii.

Lekarz nie musi już przeprowadzać zabiegów, mówiąc kolokwialnie, na oko?

– Właśnie tak. Operacje z udziałem naszej aparatury wiele zmieniły w samej pracy. Wcześniej okulista chirurg patrzył na pole operacyjne

nej, patrząc przed siebie. Tak będzie wyglądać przyszłość chirurgii oka.

A jak wygląda dzisiaj chirurgia zaćmy?

– Jest niezwykle zaawansowana, precyzyjna, mamy bardzo mały odsetek powikłań, za to bardzo wysoki współczynnik zadowolenia pacjentów po operacji. Ogromny postęp rozpoczął się w latach powojennych XX w. Angielski okulista Nicholas Harold Ridley zaobserwował wówczas, że u pilotów, u których do gałki ocznej dostało się ciało obce z owiewek kabiny wykonanych z PMMA, poli(metakrylanu metylu), potocznie zwanego plexiglasem, nie dochodzi do odczynu zapalnego. Zaprocentowało to wykonaniem z tego sztywnego materiału pierwszych soczewek wewnątrzgałkowych.

SKALPEL W SOCZEWCE

Z czego wykonane są nowoczesne soczewki?

– Z materiałów akrylowych, które pozwalają na zwinięcie soczewki przed jej wszczepieniem do oka. Operacje zaćmy są coraz mniej urazowe. Nie usuwamy już całej zmętniałej soczewki pacjenta, tylko jej wnętrze, przez cięcie szerokości ok. 2 mm. Wymyślił to amerykański okulista Charles D. Kelman, który podczas czyszczenia kamienia nązobnego u stomatologa wpadł na pomysł, żeby soczewkę rozdrabniać za pomocą ultradźwięków i odsysać. Jest to zabieg fakoemulsyfikacji.

Jakie możliwości dają soczewki wewnątrzgałkowe?

– Wszczepiając je, możemy nie tylko wyleczyć zaćmę, ale również skorygować wcześniejszą wadę wzroku. Pacjent, który ma wszczepioną soczewkę jednoogniskową, nie korzysta z okularów do dali, potrzebuje ich jed-

Szacuje się, że w Polsce na jaskrę cierpi od 700 tys. do 1 mln osób.

nieodwracalne. Jeśli zostanie szybko wykryta, możemy powstrzymać jej rozwój, ale choroby to nie usuwa. Nawet po zabiegach chirurgicznych pacjenci muszą przechodzić badania okresowe, przyjmować leki itd. Natomiast po zoperowaniu zaćmy pacjent nie wymaga dalszego leczenia.

JAK W KINIE IMAX

Do jakich zabiegów może być wykorzystywane urządzenie 3D?

– Praktycznie do wszystkich wykonywanych na ludzkim oku. Oprócz operacji na rogówce także przy zabiegach na siatkówce, płamce żółtej i przy operacjach plastycznych powiek. Urządzenie ma ogromne zalety w edukacji lekarzy okulistów, ale w pracy kliniki nie jest rutynowo wykorzystywane. Po prostu wielu lekarzy ma większą wprawę w posługiwaniu się tradycyjnym mikroskopem optycznym. Sądzę jednak, że wraz ze zmianami świadomości lekarzy zastosowanie tego urządzenia amerykańskiej produkcji będzie się rozszerzać. Zalety, np. jasność pola widzenia, po-

tak jak w klasycznym mikroskopie świetlnym, przez dwa okulary, w celu uzyskania przestrzennego obrazu. Rozwinięta technologia 3D pozwala na widzenie pola operacyjnego w trzech wymiarach, z pominięciem okularów mikroskopu, i daje wysokie parametry rozdzielczości, jasności oraz szybkości przetwarzania obrazu. Pozwala to na niespotykaną dotąd wizualizację struktur i tkanek oka, dzięki której chirurg może zobaczyć znacznie więcej niż dotychczas.

Szpital Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego jako pierwszy w Polsce wdrożył takie rozwiązanie?

– Tak. Kiedy pierwszy raz założyłem okulary (podobne do tych, jakie znamy z kina IMAX), byłem pod wielkim wrażeniem przestrzeni i głębi obrazu. Chirurgia 3D ma także inne zalety. Bardzo ułatwia szkolenie chirurgów, bo wszystkie osoby znajdujące się w sali operacyjnej widzą obraz pola operacyjnego w takiej samej jakości jak operator. Również pozycja operatora jest znacznie wygodniejsza niż dotąd. Nie musimy się pochylać, możemy operować w postawie wyprostowa-



dowy stosujemy w najtrudniejszych przypadkach chirurgii zaćmy.

ABY WIDZIEĆ LEPIEJ

Co dobrego możemy sami zrobić dla swoich oczu?

– Zgłaszać się na badania profilaktyczne. Najczęstsza postać jaskry przez długi czas przebiega całkowicie bezobjawowo dla pacjenta. Jedyną możliwością jej wykrycia na etapie, gdy można ją zatrzymać, zanim dojdzie do znaczących uszkodzeń w obrębie nerwu wzrokowego, są właśnie badania profilaktyczne. Powinien im się poddać każdy po 50. roku życia, ponieważ z wiekiem częstość występowania jaskry i innych chorób oczu rośnie.

Zawód okulisty to dzisiaj...

– ...ogromna satysfakcja i poczucie sensu tego, co robimy. Mamy coraz lepsze wyniki. Pacjenci po operacjach mówią czasem, że widzą tak dobrze, jak jeszcze nigdy w życiu.

Gdy patrzy się na postępy w chirurgii oka, nasuwa się pytanie, co w tym narzędzie na obecnym poziomie technologii można wymienić.

– Wymieniamy soczewki na sztuczne. Możemy wymienić rogówkę, ale także dokonać jej przeszczepu od dawcy. Czasami stosujemy sztuczne rogówki, keratoprotezy, ale one nie są całkowicie sztuczne, tylko częściowo. Możemy wymienić ciało szkliste i wstawić substytut ciała szklanego z silikonu, który później się usuwa, a pozostaje płyn fizjologiczny lub gaz.

nak do czytania lub pracy przy komputerze. Natomiast po wszczepieniu soczewki wieloogniskowej lub o wydłużonej ogniskowej nie potrzebuje też okularów do blizy lub odległości pośrednich. Zastosowanie podczas operacji nowoczesnych wieloogniskowych soczewek może niemal wyeliminować potrzebę używania okularów – zarówno do czytania czy pracy przy komputerze, jak i np. do prowadzenia samochodu.

Czy polscy pacjenci mają dostęp do takich soczewek?

– Zaawansowane technologicznie soczewki wewnątrzgałkowe, czyli np. wieloogniskowe, wszczepiamy w Polsce od lat, ale procedury te generalnie nie są refundowane. Od 1 lipca 2018 r. weszły w życie zmiany w zasadach finansowania leczenia zaćmy, które poprawiły dostęp do soczewek torycznych u pacjentów leczonych w ramach finansowania NFZ, chociaż tylko w ograniczonym zakresie. W ramach refundacji mogą zostać wszczepione jednoogniskowe soczewki toryczne o mocy co najmniej dwóch dioptrii. W Samodzielnym Publicznym Klinicznym Szpitalu Okulistycznym WUM okresowo dysponujemy także innymi nowoczesnymi soczewkami, zaawansowanymi technologicznie, które możemy stosować w ramach badań klinicznych, ich liczba jest jednak zwykle ograniczona.

A jeśli ktoś nie ma zaćmy, tylko astygmatyzm, to też może go skorygować?

– Tak. Przy niezbyt dużym astygmatyzmie najpowszechniejszy jest laserowy zabieg na rogówce. Możemy też zastosować soczewkę fajkiną, wykorzystywaną również przy

Prof. Jacek P. Szaflik (nz. obok mikroskopu): Urządzenie 3D bardzo ułatwia pracę okulisty chirurga.

korygowaniu krótkowzroczności czy nadwzroczności. Jest to soczewka doszczepiana na własną soczewkę pacjenta. U osób po 50., 60. roku życia, z początkami zaćmy, stosujemy wymianę soczewki. Przy wysokim astygmatyzmie pacjent skazany jest na stosowanie okularów przez cały czas. Po wszczepieniu soczewki torycznej nie ma takiej potrzeby. I jest to rozwiązanie lepsze niż korekcja okularowa, bo obraz padający na siatkówkę jest o wiele bardziej naturalny.

Co nowego pojawiło się w operacjach siatkówki?

– Nastąpił rozwój technik operacyjnych. Specjalny sprzęt i mikronarzędzia ograniczają inwazyjność zabiegu, sprzyjają jego bezpieczeństwu

W oku wymieniamy już soczewki, rogówkę i ciało szkliste.

i przyspieszają rekonwalescencję pacjenta. Duże znaczenie ma tu wspomniana wizualizacja, ponieważ dobra widoczność struktur i tkanek ułatwia chirurgowi precyzyjne działanie.

Jakie są najnowsze trendy w chirurgii oka?

– Nowszym niż fakoemulsyfikacja trendem w chirurgii zaćmy jest stosowanie lasera femtosekundowego, za pomocą którego wykonuje się pierwszą część zabiegu, przed mechaniczną interwencją chirurga. Ze względu na wysokie koszty technika ta jest jednak wykorzystywana w niewielu ośrodkach w krajach rozwiniętych. W naszym szpitalu laser femtosekun-

Czy możliwe są przeszczepy całego oka, tak jak nerek czy serca?

– Technicznie bardzo zbliżyliśmy się do wykonania takiego zabiegu, choć byłaby to operacja bardzo długa i skomplikowana. Powstrzymuje nas jedna rzecz – nie potrafimy zregenerować nerwu wzrokowego, nie byłobyśmy w stanie podłączyć tego nerwu, aby nadawał bodźce do mózgu. Cóż z tego, że przeszczepilibyśmy całą gałkę oczną, kiedy ten narząd nie działałby sprawnie? Jednak za kilkadziesiąt lat to może bardzo się zmienić.

*Bronisław Tumitowicz
oraz Dziennikarze dla Zdrowia*



Akademia Humanistyczna

im. Aleksandra Gieysztora



Administracja
Historia
Pedagogika
Politologia
Bezpieczeństwo
Narodowe

seminaria doktorskie
w dyscyplinie historii i nauk o polityce

studia I stopnia • studia II stopnia • studia podyplomowe

INFORMACJE I ZAPISY

Dziekanaty właściwych Wydziałów
ul. Mickiewicza 36B, Pułtusk

www.ah.edu.pl

Sherry Brandy



Ludwik Stomma

List otwarty do Roberta Biedronia

Szanowny panie Robercie!

Gdzieś około roku 1979, będąc we Francji, za namową przyjaciół, zresztą sam też byłem ciekaw, pojechałem do Taizé w departamencie Saona i Loara. Mieści się tam słynna chrześcijańska wspólnota ekumeniczna założona przez brata Rogera Schütza (Louisa Schütza-Marsauche'a), nietuzinkowego myśliciela, Szwajcara, syna kalwińskiego pastora, współpracownika francuskiego ruchu oporu. Po wojnie, kiedy opiekował się sierotami i ocalałymi z pobliskiego niemieckiego obozu pracy, uzyskał zgodę na korzystanie z opuszczonego kościoła katolickiego. Wraz z paroma towarzyszami (braćmi, których stał się przeorem) utworzył wokół świątyni centrum, w którym przyjmował młodzież z całego świata, by poznawała się wzajemnie, odrzucając wszelkie uprzedzenia wyznaniowe (w ramach chrześcijaństwa oczywiście – jesteśmy wszak dopiero w połowie XX w.), klasowe, rasowe, narodowościowe itd. Wkrótce Taizé stało się sztandarowym symbolem ekumenizmu i tolerancji, ściągającym coraz liczniejsze grono adeptów.

Kiedy tylko z plecakiem na karku przekroczyłem granice ośrodka, podskoczyło do mnie kilkoro młodych pici obojga (w tym, co dobrze zapamiętałem, jedna bardzo kształtna bruneteczka) i w wielu językach zaczęło się cieszyć ogromnie z mojego przybycia. Po doszczętnym wycałowaniu nieogolonych policzków dwie panienki (w tym bruneteczka) wzięły mnie za ręce i zaprowadziły w miejsce, gdzie miało być moje noclegowisko. Tutaj nakarmiły mnie treściwie i wśród kolejnych zapewnień, jak głęboką radość sprawiło im moje pojawienie, zaprowadziły do większej grupy siedzącej w krąg i trzymającej się pod ręce. Długowłose chłopak, obficie gestykulując, z zapałem coś zebranym opowiadał (jak się zorientowałem, chodziło o pracę misjonarzy w Nigerii). Słuchający potakiwali głowami, czasami nabożnie wznosząc oczy ku wiekiestemu niebu. Kiedy młodzian skończył, Murzynka w białej sukience zaczęła śpiewać coś bardzo rzewnego. Zebrani podchwycili mruzczeniem (nie znali, widać, słów) i nucili wszyscy uśmiechnięci, wpatrzeni w siebie wzrokiem pełnym platonicznej, niestety, miłości. Zaczęło zmierzchać, więc rozpalono ognisko. Spowodowało to rozerwanie kręgu, gdyż część chłopców ruszyła po gałęzie na opał. Dawało to wreszcie możliwość wykorzystania kończyn dolnych. Wśród srebrzystego śmiechu podskakiwano wesoło lub tańczono w kółkach. Tymczasem płomienie zaczęły przygasać, aż po odśpiewaniu modlitwy młodzi ruszyli spać, życząc sobie serdecznie spokojnej i błogiej nocy. Mnie już jednak wśród nich nie było. To nic, że o tej porze nie miałem szans na autobus, a autostop (szczególnie w nocy) nigdy nie był francuską

specjalnością. Zmykałem co sił, byle dalej, bojąc się tylko, żebym z przesłodzenia gdzieś się nie przylepił, i przeklinałem od czasu do czasu, sprawdzając, czy nie zapomniałem jeszcze zwykłej, ludzkiej mowy.

Z daleka ścigał mnie głos wspólnotowych dzwonów. I to jest pierwsze, jak mi się wydaje, niebezpieczeństwo, jak sama nazwa wskazuje, Wiosny, panie Robercie. Prezentowałam optymizm i uśmiech w naszym ponuro-nienawistnym społeczeństwie to rzecz cenna. Tyle że czasem usilne ich manifestowanie tylko krok dzieli od mało znośnego rozkosznictwa. Istny balans na cienkiej linii. Wierzę, że odkryje pan w sobie niezbędne mistrzostwo linoskoczka.

Szanowny panie Robercie!

Drugie wielkie dla pańskiego ruchu zagrożenie wypływa tym razem nie z rozkosznictwa, ale rzekomo elementarnej taktyki, dobrej woli i troski. Jeżeli chcemy wygrać w wyborach z Prawem i Sprawiedliwością, głoszą mędrcy, najważniejsza jest koalicja. Już pan słyszy i będzie musiał wystuchiwać bez końca, że rozbija pan wspólny front i *de facto* działa w interesie Kaczyńskiego. Najpierw o owej jedności. Jak wiadomo, w każdym zbiorowisku ludzkim (a George

Ludzie Schetyny już zarezerwowali sobie mleko i jabłka. Za chwilę przekona się o tym Barbara Nowacka.

Orwell uważał, że i w zwierzęcym) są równi i równiejsi. Wspólne cele, wspólne siły, o wszystkim można między nami bratersko dyskutować, ale ludzie Schetyny już zarezerwowali sobie mleko i jabłka. Za chwilę, jeśli to się już nie stało, przekona się o tym Barbara Nowacka. Zasiada ci oto w pierwszych rzędach na platformerskich konwentylkach, obdarzana jest wszelkimi komplementami, tylko jej laickie czy feministyczne postulaty odmaszerowują – lewa, prawa – w siną dal. Teraz Schetyna (niczym Partenope) i pogromczynie dinozaurów Leukoza stroją już dla pana swoje struny głosowe. Przepiękny jest syreni śpiew obiecujący wyjawic przyszłe wydarzenia. Towarzysze przywiązać musieli Odyseusza do masztu, żeby mu nie uległ. Zatrzymali go na szczęście i uratowali, lubo się szarpał i złorzeczył. Uniknął w ten sposób losu brata Rogera zamordowanego 16 sierpnia 2005 r. Precz z takimi okropnymi skojarzeniami. Ale o śmierć tożsamości i sensu pańskiego ruchu zadbałaby już Platforma starannie.

Proszę przyjąć najserdeczniejsze życzenia sukcesu

PS Chociaż więc nazwę Wiosna uważam za pretensjonalną i rozkoszniczką, będę na pańską partię głosował. A co będzie dalej, jesień 2019 pokaże.



„Sito Miñanco” wyróżniał się autami: miał trzy chevrolety corvette, którymi z uśmiechem na twarzy obwoził się po Arousie.

AROUSA – włości mafijne

Hiszpańscy capos chcieli mieć wszystko w wielkim stylu

Nacho Carretero

W Carril, miasteczku tuż obok Vilagarcii słynnym z małży, wszyscy wiedzieli, że po udanym odbiorze towaru Otero Garride miał w zwyczaju chodzić, stawiając jedną nogę na szosie, a drugą na chodniku. Stary funkcjonariusz śmieje się na to wspomnienie: „Kiedy był zadowolony, tak właśnie się poruszał”.

Garride nie stał się jakas ważną postacią w galisyjskim handlu narkotykami. Jego zwyczaj był jedynie dziwactwem bardzo odległym od nurtu mafijnej ostentacji, która wybuchła w rejonie Arousy na przełomie lat 80. i 90. Gdy biznes urósł w siłę, do głosu doszła rozrzutność. „Kupowano sobie ogromne domy, prawdziwe rezydencje, i jeżdżono wypasionymi brykami. Handlarze chcieli, żeby wszyscy widzieli, jak dobrze

im idzie”. Opowiada o tym żandarm Guardia Civil, który obserwował z bardzo bliska tę złotą epokę galisyjskiego narkobiznesu. Fernando Alonso, kierujący Galisyjską Fundacją przeciw Narkobiznesowi, również wspomina, co się działo w tamtych latach. „Rzucali się w oczy. Wielcy bossowie, średni i mali dilerzy. Wszyscy naśladowali styl sycylijskich mafiozów. W tamtych latach niewiele brakowało, by Arousa zmieniła się w Sycylię. (...)”.

„W pierwszej kolejności – wyjaśnia Félix García, szef UDYCO (Wydziału ds. Narkotyków i Przestępczości Zorganizowanej) w Galicji – capos kupowali sobie posiadłości. To szło automatycznie. A chłopaki z klanu fundowały sobie wozy”. „Charlínowie” nabyli Vista Real w Vilanovie de Arousa, XVII-wieczny pałac z ogrodem o powierzchni 24 tys. m kw., uważany przez In-

stitut Dziedzictwa Galicji za dzieło architektury najwyższej klasy. Laureano Oubina nie chciał pozostać w tyle i uparł się na pazo w Baión, aż wreszcie udało mu się je kupić. Nawiasem mówiąc, uprzedził w tym wypadku starego Charlína. Była to rewitalizowana na początku XX w. średniowieczna budowla z winnicą ze szczepem albariño o powierzchni 287 ha. W Vilagarcii posiadłość Baión nazywano „Falcon Crest”.

Jak przystoi nowobogackim, capos chcieli mieć wszystko w wielkim stylu. Oubina polecił wymienić szyby w oknach pazo i zaprojektował w ich miejsce kiczowate witraże w żywych kolorach. Potem postawił dwa marmurowe posągi przedstawiające jego i żonę. Kazał też zainstalować kamienną lodówkę. Chciał, żeby pasowała do reszty rezydencji, ale technicy upierali się, że to niemożliwe. Don Laureano przez całe

lata bezskutecznie próbował wybudować swoją kamienną chłodziarkę.

Marcial Dorado, który w tamtym czasie – z tego, co wiadomo – zajmował się nadal papierosami, wybudował sobie posiadłość w Illa de Arousa i postawił w niej gigantycznego Buddę. To jeszcze nic w zestawieniu z basenem, który znajdował się na szklanym dachu jego salonu. Natomiast „Sito Miñanco” wyróżniał się autami: *capo* z Cambados miał trzy chevrolety corvette, którymi z uśmiechem na twarzy obwoził się po Arousie.

Wokół mafijnej ostentacji narosły całe legendy. Jedna z nich mówi o sieci tuneli, które Oubina kazał wykopać pod *pazo* Baión, i otworach przeznaczonych na przechowywanie gotówki, jakie wydrążył w belkach budynku. W Vilanovie zapewniają, że pewnego ranka miejscowi zobaczyli banknoty pływające w zbiorniku wodnym, bo dzień wcześniej jeden z mafiozów splukał w klozecie prawdziwą fortunę, kiedy policja zapukała do drzwi jego domu.

„Mieli obsesję na punkcie luksusu. Z całkowitą bezkarnością gromadzili na własne potrzeby dziedzictwo narodowe – opowiada Fernando Alonso. – Kopowali rzeczy najróżniejszego rodzaju: domy, samochody, statki, jachty, hale fabryczne, firmy, mieszkania, tereny...”. Chłopaki, które dla nich pracowały, także stawiały sprawę jasno: za udział w pomyślnym odbiorze towaru chcieli sobie kupić bmw lub mercedesa. To w tamtym okresie Vilagarcía zaczęła być znana w Galicji jako „Vilamercedes”.

Nie zaniebawiali także rozrywek. Szefowie klanu zaliczali się do grona statych bywalców najlepszych restauracji. Organizowano oszałamiające *mariscadas*, między innymi także dlatego, że niemal wszystkie firmy zajmujące się owocami morza należały do mafiozów: najpiękniejsze okazy szły na ich stoły (...). Kiedy któryś z *capos* urządzał jubel, nikogo nie mogło tam zabraknąć: ani żandarmów, ani władz, ani polityków. Zabawy organizowano nawet w Izbie Handlowej w Vilagarcii. Zdawało się, że to sceny żywcem wyjęte z filmów, a jednak tak właśnie było.

Dziennikarze nie zostawiali w tyle. Szczególnie sportowi i ci, którzy nie pisywali o mafii. Cieszyli się wobec

tego wspaniałomyślnością „Sita Miñanco”, wielkiego miłośnika futbolu i szczodrego gospodarza uczt w jego willi. Dziennikarz Manuel Jabois opowiada, że na jedną z tych biesiad zaproszono śmietankę sportowej prasy galisyjskiej. Były wykwintne wina, szampan i najlepsze owoce morza. W pewnej chwili po posiłku po schodach zeszyły szeregiem luksusowe prostytutki. Jabois uzupełnia opowieść: „*Capo* był gotów przemierzyć trzy kontynenty, by zdążyć do Cambados na randkę z 19-latką”.

Narcos sponsorowali akcje dobroczynne. Parafie dostawały darowizny, a święta i procesje finansowano z kieszeni klanów.

Kobiety stanowiły ostatni szczebel w manifestacji luksusu i ostentacji. „Ilekoć zaliczyli udany transport, widziałeś wypasione wozy mknące do Portugalii do najlepszych klubów. Całymi dniami przesiadywali w burdelach”, opowiada ze śmiechem stary funkcjonariusz. Na tym polu znów wyróżniał się „Miñanco”, zawsze w towarzystwie pięknych Karaibek. „Pamiętam jedną dominikańską narzeczoną »Sita«, zdaje się, że miała na imię Alejandrina – wspomina inny policjant. – Wspaniały okaz. Zarąbista laska. Kiedy przychodziła do komisariatu, wszyscy się na nią gapiliśmy. Nie masz pojęcia, jakie oni mieli babki. Raz widziałem, jak się o jakąś bili na ulicy, tarzając się po ziemi. Tylko patrzyli, jak by tu przelecieć cudzą pannę. Ilekoć któryś pojawiał się z kobietą, inni próbowali ją wyrwać”, ciągnie funkcjonariusz. (...)

Kobiety stanowiły ostatni szczebel w manifestacji luksusu i ostentacji.

Koniec końców *capos* nadal byli w pewnym sensie przedsiębiorcami bez wykształcenia, którzy pławili się w kasie. To pozostawiało w tym wszystkim największy niesmak. Oficjalnie *narcos* z rejonu estuarium pracowali w branży owoców morza, mieli złomownię, bar lub hodowali bydło. Wszyscy prowadzili jakiś dodatkowy legalny interes stanowiący zasłonę dymną konieczną do prania brudnych pieniędzy z narkofortuny. (...) Państwo bez większych oporów

pogodziło się z sytuacją, w której część obywateli wybierała narko-handel jako swoją drogę zawodową i spokojnie działała pośród reszty ludności prowadzącej zwykłe życie. W Rías Baixas nikogo nie dziwiło, że chłopak pracujący do niedawna w zieleniaku chwilę później jeździł już sportowym wozem z silnikiem o sile 200 koni mechanicznych.

Nigdy nie brakowało krucyfiksów i figurek Najświętszej Panienki z Góry Karmel, patronki marynarzy. Większość z *capos* co jakiś

czas ryzykowała życiem na morzu. Znalaziono obrazki z wizerunkiem patronki na ślizgaczach i w przesu-kiwanych domach. W dniu procesji ku czci Najświętszej Panienki z Góry Karmel, kiedy łodzie i statki z położonych na wybrzeżu Galicji miejscowości wypływały przystrojone kwiatami, jednostki otwierające orszak w Rías Baixas nie należały do alka-dów. Stanowiły własność handlarzy narkotyków.

Klany miały swoje kody i mafijne obyczaje, dużo bardziej prymitywne, niż to się zwykle pokazuje w kinie. Ofiarą padali dziennikarze, którzy zajmowali się tą tematyką w pierwszych latach narkotykowego biznesu. „Odwożem syna do szkoły – opowiada jeden z nich – a kiedy przyjechałem do domu, zobaczyłem kota powieszzonego do góry nogami na drzewiach. Bardzo typowe dla nich ostrzeżenie”. Inny dziennikarz znalazł na swoim progu wieniec pogrzebowy. „Zamówili go i złożyli mi na progu wraz z pogrózkami wypisanymi na szarfie”. Były

to trudne lata dla reporterów piszących o klanach. Jeden z najbardziej doświadczonych został pobity tak, że długo leczył pokiereszowaną i posiniaczoną twarz. (...)

Linia odgraniczająca świat przestępczy od reszty społeczeństwa była rozmyta, niejasna, zacierała się jeszcze bardziej w wyniku filantropijnych gestów mafiozów. Podobnie jak robili to przemysłowcy papierosów w latach 50., *narcos* sponsorowali wszelkiego rodzaju inicjatywy i akcje ▶

► dobroczynne. Parafie dostawały imponujące darowizny, a święta i procesje finansowano z kieszeni klanów. Nawet drużyny piłkarskie i obiekty sportowe miały u handlarzy narkotyków dług wdzięczności. Wszystko było pod kontrolą. (...)

Enrique trąca tu podstawową strunę tej socjologicznej symfonii: ludzie nic nie robili, ponieważ bierne pozostawały państwo, władze, wszelkie instytucje, które powinny sprawą się zająć. Nikt nic nie robił. Wobec pasywności, wręcz nieobecności państwa,

leni pieniędzmi, władzą lub brakiem środków. „Rząd galisyjski – wyjaśnia Fernando Alonso – przez wiele lat zaprzeczał istnieniu zorganizowanego handlu narkotykami. Nie chodzi o to, że go nie zwalczali, oni utrzymywali, że takiego zjawiska w ogóle nie ma”. I znów widzimy analogię, nie negując oczywistych różnic, z Sycylią, gdzie mafia panoszyła się do woli, bo oficjalnie według rządu w Rzymie nie istniała. „Każdy rok z czterech czy pięciu, kiedy zaprzeczano istnieniu mafii, oznaczał pięć lat forów dla klanów w kwestiach organizacji i siły – mówi Alonso. – To ta pasywność i negowanie faktów pozwoliły im mocno stanąć na nogi. To ten marazm pozwolił im wzrosnąć w siłę”. (...)

Rząd galisyjski przez wiele lat zaprzeczał istnieniu zorganizowanego handlu narkotykami.

Galisyjska *omertà*, obyczaj, mania lub balast kulturowy, który przetrwał w tej prowincji niczym kodeks zabraniający mieszać się w to, co dzieje się u sąsiada. A *narcos* umieli dbać o swoje sprawy.

„A co niby mieli zrobić? – zabiera głos pochodzący z Vilagarcii Enrique León, dawny szef UDYCO w Galicji, który występuje w obronie galisyjskiego społeczeństwa. – Mieli złapać narkohandlarzy i ich zadenuncjować? Donieść na nich? Nikt nie chciał problemów. Wszyscy się bali. To rozumiałe”.

jak można pociągać do odpowiedzialności jego obywateli? Ówczesna Guardia Civil wzbudzała równą lub nawet większą nieufność niż handlarze narkotyków, policja niemal nie miała narzędzi, sędziowie wzruszali ramionami, Rada Galicji odwracała wzrok, a na Madryt nikt nie liczył. Tak naprawdę nie było nikogo, kto mógłby zatrzymać chevrolety „Sita Miñanca”. (...)

To nie przypadek, że koks wniknął przez Galicję, a nie przez Asturię lub Kantabrię. Były ku temu powody i istniały konkretne czynniki. I byli także konkretni winowajcy znieczu-

Fragmenty książki
Nacho Carretera
*Gram koki. Kolumbijski
narkobiznes wchodzi
do Europy*, przekład
Magdalena Olejnik,
Post Factum,
Katowice 2018



Szkolenia Microsoft Excel

Dedykowane szkolenia dla firm:

- MS Excel - bez tajemnic (biznes i firma)
- MS Excel - finanse, księgowość, kadry
- MS Excel - poziom zaawansowany
- MS Excel - analiza danych
- MS Excel Business Intelligence + Power BI

www.szkoleniami.pl/szkolenia/



 **SzkoleniaMi.pl**
Profesjonalne szkolenia informatyczne

Był punkt, nie ma śladu

Edward Mikołajczyk

Mam swoje lata, ale ciągle rejestruję duży ruch na liście osobistych oczekiwań od życia. Właśnie wykreśliłem z niej zachciankę, aby rozpoczęło się polskie śledztwo w sprawie austriackiej koperty dla księdza z Gdańska za pozwolenie na budowę srebrnych wież bez dzwonnicy w Warszawie. Tymczasem usłyszałem od Gospodarza Kraju (nowa posada Kaczyńskiego), że takie śledztwo nie ma sensu. Co było robić? Skarciłem się za krajową naiwność i teraz czekam już tylko na sprawiedliwość austriacką.

Na miejscu opuszczonym przez księdza z kopertą i bez sutanny natychmiast pojawiło się nowe oczekiwanie związane z nadzieją na spoważnienie Polski. W roli dostawcy nadziei wystąpiła TVP, ukrywająca przed opinią publiczną najszlachetniejszą chyba w historii inicjatywę skierowaną do własnej załogi.

Otóż jakoś pod koniec stycznia powstał w TVP punkt bezpłatnych konsultacji psychologicznych dla pracowników i współpracowników firmy. Wiadomość tę podał „Dziennik Gazeta Prawna”, a za nim portal Wirtualnemedia.pl. Punkt miał przyjmować pacjentów do końca lutego, więc chyba już go nie ma.

Do tej pory żadna stacja na świecie nie uczyła swoich dziennikarzy obrony przed telewizzami.

Ale działał, więc naturalną kolejną rzeczą należałoby oczekiwać jakiegoś raportu na zakończenie niezwykle humanitarnego eksperymentu telewizji publicznej. Placówka tej natury powinna mieć wpisany w DNA obowiązek dzielenia się uwagami ze wszystkimi abonamentami w Polsce, a nawet udostępniania wniosków nadawcom zagranicznym, np. członkom Europejskiej Unii Nadawców (EBU).

Wiadomo, że TVP ma dziś w głębokiej pogardzie zasady etyki dziennikarskiej, które sama stworzyła przed okupacją pisowską. Po co jej etyka i rzetelność dziennikarska, skoro od trzech lat spółka nie uprawia dziennikarstwa, tylko zajmuje się utrwalaniem zasad ustroju nowogrodzkiego w Polsce?

To wszystko wiadomo, ale niekoniecznie wszyscy muszą wiedzieć, czy sam prezes Kurski stanął w kolejce po numerki i skorzystał z bezpłatnej usługi. Co kogo może też obchodzić, czy do punktu przyszła Magdalena Ogórek i jakie przyniosła ze sobą rany.

Choć nie wiadomo, kto się udał na konsultacje, nikt się nie domaga, by TVP ujawniła jakieś nazwiska i wykryte objawy chorobowe. Jest tajemnica lekarska, jest tajemnica spowiedzi i obie należy szanować. Dodatkowo TVPiS

chętnie się powołuje na tajemnice handlowe spółki, kiedy w ogóle nie chce mówić. Nawet taką postawę przyjmujemy do wiadomości, chociaż kontestujemy.

Ale, drogi zarządzie TVP, nie możesz milczeć w sprawie punktu.

Zostaw w ukryciu albo najlepiej połknij wszystkie korporacyjne tajemnice oraz wrażliwe i prawem chronione dane, ale wyduś z siebie choć jedno zdanie, czy coś wynika, czy nie z tego wsparcia psychologicznego, jakiego firma postanowiła udzielić pracownikom. Czy potwierdziły się wszystkie zarządowe intuicje w odniesieniu do misji nadawcy publicznego? Czy może wyobrażenia



pracowników rozjechały się z oczekiwaniami zarządu? Czy ludzie przychodzili, bo chcieli, czy im zasugerowano?

Czy w czasie konsultacji padła jakaś zastanawiająca opinia na temat mediów w dzisiejszym świecie? Czy ktokolwiek mówił o odpowiedzialności dziennikarzy za poziom debaty publicznej? Czy pojawił się temat odwagi zawodowej, czy przeciwnie – dostrzeżono objawy traumy, jaką rejestrowano u żołnierzy przebywających tygodniami w okopach dziwnych wojen?

Ciekawe, czy wydawca sierżant osobiście kaleczy reportera, czy tylko dzieli się z nim strachem przed telefonem z góry. Ciekawe, czy widać w psychice długie cienie śmierci: prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, zamordowanego na oczach wielotysięcznego zgromadzenia, czy Dżamala Chaszukdziego, publicysty o światowej renomie, poćwiartowanego w saudyjskim konsulacie w Stambule i najprawdopodobniej spalonego.

Stawiam tutaj pytania o dziennikarstwo, a przecież, według zarządu, tę „konsultację psychologiczną” uruchomiono ze względu na „wysoki poziom agresji i hejtu wobec dziennikarzy TVP”. Gdyby to była prawda, bardziej niż z psychologią mielibyśmy wówczas do czynienia z ćwiczeniem samoobrony, a dokładniej – obrony przed telewizzami. Do tej pory żadna stacja na świecie jeszcze nie uczyła dziennikarzy podobnego rzemiosła.

Ludzie w obiektywie Sony

 Sony
World
Photography
Awards



Pan Jianhua, Chiny, 1. miejsce
w kategorii narodowej
i w kategorii kultura. Tradycja
teatryku cieni w Chinach
przekracza 2 tys. lat. Nz. artyści
występują przed mieszkańcami
wioski na dziedzińcu domu.



Min Min Zaw, Mjanma,
2. miejsce w kategorii
narodowej. Tradycyjny
pływający rynek na jeziorze
Inle, jednym z najstojniejszych
i najpiękniejszych w Mjanmie.

Pranishan Rajbhandari, Nepal,
2. miejsce w kategorii narodowej.
Rolnicy pchają ciągnik z jednego pola
na drugie podczas Narodowego Dnia
Pola Ryżowego. Dla sadzących ryż to
jeden z najpracowitszych dni w roku.



Albert Tan Chee Hiang
Tan, Singapur, 1. miejsce
w kategorii narodowej. Uliczny
sprzedawca i jego wyjątkowy
sposób prezentacji towaru.

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERT!

LIVE NATION

STODOLA

KLUB
STUDIO
KRAKÓW

A portrait of John Mayall, an elderly man with white hair and glasses, wearing a dark jacket over a patterned shirt. He is looking slightly to the right with a slight smile. The background is a blurred wooden structure.

JOHN MAYALL

— 85th ANNIVERSARY TOUR —

WWW.JOHNMAVALL.COM

18.03.2019

**KLUB STUDIO
KRAKÓW**

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL ORAZ W KASIE KLUBU STODOŁA
(ul. Batorego 10, Warszawa)

Nie znasz dnia ani godziny

Tydzień temu pisaliśmy o pladze, która dotknęła MSZ czasów PiS, czyli o odstrzeliwaniu kandydatów na ambasadorów na ostatniej prostej, a także o odwoływaniu ambasadorów po parunastu miesiącach. I dzieje się to w sytuacji, w której PiS ma wszystko, kontroluje każdy etap wyłaniania i nominacji ambasadora. Sami swoi. A tak sobie podstawiają nogę!

Podawaliśmy też przykłady kandydatów, którzy zostali utraceni w Sejmie przez pisowską większość w Komisji Spraw Zagranicznych. Ostatnio ofiarą takiego zagrania został Tomasz Szatkowski, typowany do przedstawicielstwa przy NATO. Wcześniej – Karolina Ostrzyniewska (Sztokholm) i Barbara Stanisławczyk-Żyła (Izrael).

Zresztą placówka przy NATO w Brukseli staje się powoli pisowskim gorącym kartoflem. Kiedy MSZ obejmował Witold Waszczykowski, kierował nią Jacek Najder, doświadczony dyplomata, z gatunku tych, co błędów nie popełniają. Ale Najder stał ością w gardle PiS, źle oceniano jego zachowanie po katastrofie smoleńskiej, poza tym w Brukseli urzędował od roku 2011, więc było wiadomo, że będzie zjeżdżał do Polski.

Owszem, było wiadomo. A skończyło się tak, że Najder misję zakończył 31 grudnia 2016 r., partia rządząca zaś do maja 2017 r. nie potrafiła wyłonić jego następcy. Jak mówiono, trwał bój między Antonim Macierewiczem a prezydentem Dudą, kto zostanie ambasadorem przy NATO: czy człowiek z MON, czy z MSZ. Personalnie sprowadziło się to do rywalizacji między Tomaszem Szatkowskim (MON) i Markiem Ziółkowskim (MSZ), byłym ambasadorem w Kijowie i w Kenii.

Ostatecznie górą byli prezydent i MSZ. W maju 2017 r. Ziółkowski został zatwierdzony jako stały przedstawiciel

RP przy NATO. Pół roku bez ambasadora na tak ważnej placówce? Choć był rok, by następcę Najdera przygotować? Ten wstyd ekipy PiS nie dopadł. Ba! Nie minęło półtora roku, jak poproszono Ziółkowskiego o powrót do kraju i ogłoszono, że na jego miejsce pojedzie... Szatkowski.

Gdzie tu logika? Nie ma jej. A dopełnieniem bałaganu była sejmowa komisja, która zatrzymała Szatkowskiego w drodze do Brukseli.

Choć my przypuszczamy, że więcej do powiedzenia miał tu Andrzej Duda, który czuje wyjątkową miętę do blokowania już wcześniej ustalonych kandydatur.

Tak było chociażby z kandydatem na ambasadora w Norwegii. Otóż sejmowa komisja przegłosowała 22 marca 2017 r. kandydaturę Jarosława Łasińskiego na ambasadora w Oslo. Ale prezydent nie podpisał mu listów uwierzytelniających, tym samym zatrzymując go w Warszawie. Skutecznie. Bo dziewięć miesięcy później, w grudniu, MSZ zaprezentowało nową ambasadora w Norwegii, Iwonę Woicką-Żuławską.

A że placówka w Oslo przez rok nie miała ambasadora? To dla ekipy rządzącej nie był problem. Ona takimi sprawami się nie przejmuje.

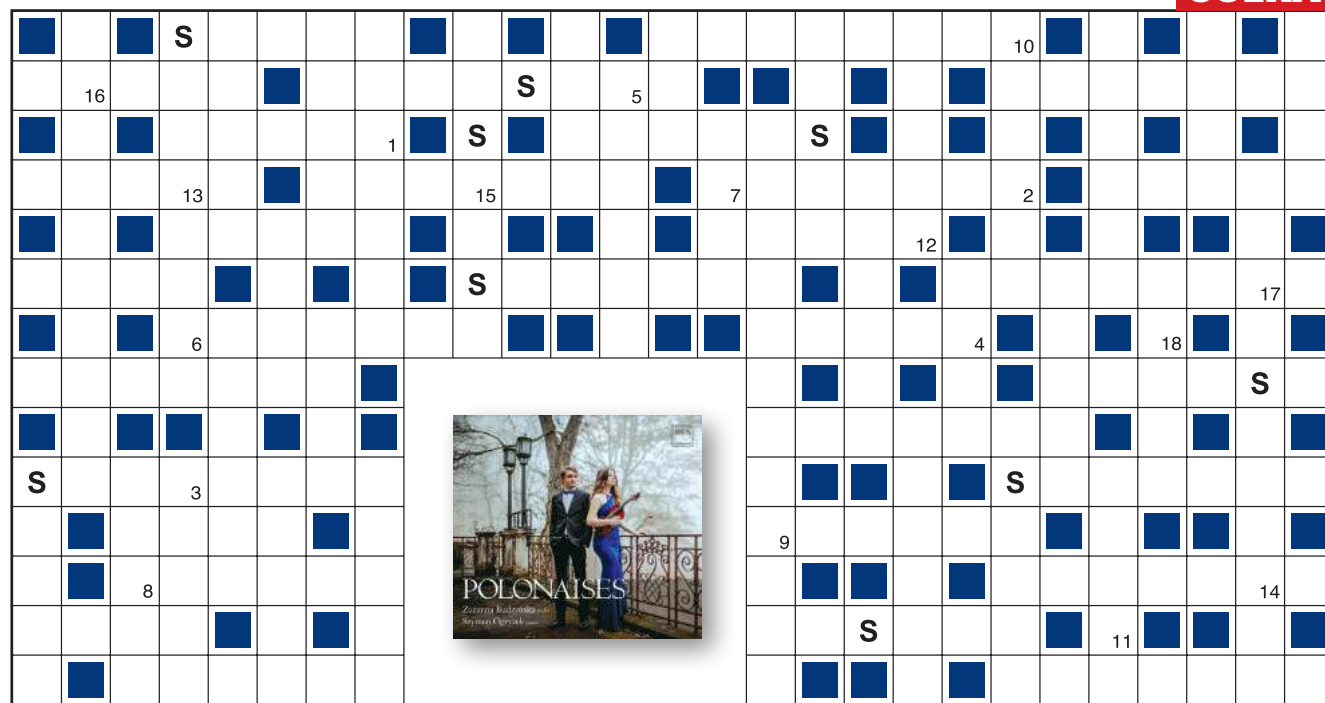
Podobnie było z ambasadą w Pekinie. Tu poszukiwania kandydata na szefa placówki trwały miesiącami. W końcu zdecydowano się na Wojciecha Zajączkowskiego, wcześniej ambasadora w Rumunii i w Rosji. Ale było to zwycięstwo niepełne, bo prezydent przez kilka miesięcy zastanawiał się, czy go puścić do Pekinu, czy nie. W końcu, w grudniu 2017 r., już po świętach, powiedział – tak.

Takie to są kaprysy władzy.

Attaché



Przesiedleni Jemeńczycy w prowizorycznym obozie w północnej dzielnicy miasta Abs.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpadających wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 18 utworzą końcowe hasło.

- grające bambino
- wypowiedzi do kogoś lub kopert
- wielka flota wojenna
- zabawa w ganiącego
- napinany przez kultury
- wyspy z Alice Town i hotelem, gdzie tworzył Hemingway
- rywalizowali o nią Don José i Escamillo

- i zaleta, i dziewictwo
- owczarek sierż. Walczaka
- wyszli z niego Izraelici
- autorski – od wydawcy dla twórcy
- Dubaj lub Abu Zabi
- na komórkę lub na kole
- ozdobna litera w dawnych rękopisach
- na klawiaturze albo włożony do gazety

- meritum to ...sprawy
- cel wędrowki Odyszeusza
- jego ofiarowanie na obrazie Caravaggia
- skarbowca lub Lordów
- okupuje Zachodni Brzeg Jordanu
- kamień z wypukłą rzeźbą jaśniejszą od tła
- inka go nie zadowoli
- poślubił Balladynę
- oddziela klienta od ekspedientki
- osoba bezwolna, marionetka
- opiekun zbiorów muzealnych
- obóz jeniecki lub piwo
- gorąca, płynna masa z głębi Ziemi
- obejmuje treny, ody, ballady

- jezioro, z którego wypływa Węgorapa
- kosmetyka paznokci u rąk z francuska
- wolnomularz
- szanowana zamężna Rzymianka
- bywa obsesyjna
- polecenie, rozporządzenie
- paroksyzm choroby
- sieć do połowu ryb dennych
- figa, guzik, zero
- węgiel, fosfor albo selen
- od sędziów lub biograficzna
- ...czasownika to koniugacja
- resztki świecy
- medyczne OB
- kostium na plażę
- samczyk i samiczka
- zdeformowana, wypaczona postać czegoś

- i Marshalla, i Balcerowicza
- ekspiacja
- okolicznościowa oficjalna wypowiedź
- Lete w Hadesie lub Skamander
- można się nim wykreślić
- ...i młot
- rosnące nad wodą lub stroszone na głowie
- zaszczepił, honor, wspaniałość
- długi skok jak ryba
- chroni koronę zęba
- matoli, tępak
- wióry do wypchania się
- napisał „Do prostego człowieka”
- zniewaga, skaza na honorze
- wyspa ze Swinoujściem
- po pieprzu w programie telewizyjnym
- obchodzone 2 listopada
- biologiczny bez wskazówek

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-900”. Do rozlosowania płyty „Polonaises” ufundowanej przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 17 marca 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-897” z 24 lutego: Prawda to więcej niż realizm. Nagrody otrzymują: Cecylia Anuszkiewicz z Sejn, Teresa Rusikiewicz z Łomży, Stefan Soja z Krakowa.

PENETRACJE

TYGODNIK
POWSZECHNY

NICOLE SCOTT,
ASTRONAUTKA

Przeżycie rodzaju ludzkiego opiera się na jego obecności nie tylko w tym jednym miejscu we wszechświecie. Musimy się rozprzestrzenić, żeby przetrwać. Wrócimy więc na Księżyc. Skorzystamy z Księżyca, żeby polecieć na Marsa. Wymyślimy, jak ruszyć w podróż międzygwiezdną. Ale robiąc to wszystko, musimy zadbać o system podtrzymywania naszego życia na Ziemi, dopóki za miliardy lat nie wchłonie jej Słońce. Nie chodzi o opuszczenie Ziemi, którą zmarnowaliśmy. Chodzi o to, że dysponujemy już wszelkimi technologiami, by sprostać wyzwaniom na tej planecie, a następnie zabrać ze sobą tę wiedzę i zamieszkać w innych światach.

WO

PROF. TADEUSZ ORŁOWSKI,
INSTYTUT GRUŹLICY I CHOROÓB PŁUC

Jestem zwolennikiem tego, żeby ubezpieczenia dla palaczy były wyższe. W niektórych krajach ten czynnik jest brany pod uwagę. Niekoniecznie tylko w aspekcie ryzyka zachorowania na raka, ale też zawału serca, miażdżycy naczyń, udaru mózgu. Czasami siada przede mną pacjent z dokumentacją i czuję, że on przed chwilą palił. Obserwuję u swoich pacjentów, że rzucają papierosy pod wpływem stresu związanego z diagnozą, z leczeniem, a potem większość z nich wraca do nałogu. Nikotynizm to taka sama choroba jak alkoholizm. Nie ma cudownych wyzdrowień. Są wyzdrowienia po odpowiednim leczeniu we właściwym czasie.

PANI

WOJCIECH WAGLEWSKI,
GITARZYSTA, KOMPOZYTOR

Polityka, a zwłaszcza politycy są dla mnie zbyt mało interesujący, żeby o nich pisać. Uważam, że brzydota obecnej walki politycznej wynika przede wszystkim z bardzo złej roli mediów. Już o Kościele nie wspomnę. Dorobiliśmy się polityka wyrzuconego z intratnej posadki w Parlamencie Europejskim nie za poglądy, nie za postawę i wierność ideałom, ale za zwyczajne chamstwo, i nadal jest pupilkim mediów. To nie jest w porządku. Buractwo stało się medialne, dobrze się sprzedaje, jest też oczywiście kompletnie wynaturzoną formą walki politycznej. To smutne.

DOGMATU

ARTUR TROOST,
STUDENT UW

Mimo zapewnionego przez internet najłatwiejszego i najszybszego w historii ludzkości dostępu do wszelkich dóbr kultury i nauki wciąż świetnie się mają ruchy antynaukowe. Dobrym przykładem są tutaj antyszczepionkowcy. Są to często ludzie dobrze wykształceni, co dotyczy też wielu zwolenników teorii spiskowych. Ostatnie badania wykazały, że 60% Brytyjczyków i aż 76% Francuzów wierzy w przynajmniej jedną teorię spiskową, a mowa przecież o krajach pierwszego świata z wysoce rozwiniętymi systemami edukacji. Internet często zamiast służyć „oświecaniu”, jedynie upowszechnia antynaukowe postawy oraz utwierdza ludzi w ich przekonaniach.

Aby język giętki...

JERZY URBAN O OBIETNICACH PiS

To największa masarnia w Europie. Ta partia zawali się pod ciężarem swojej kielbasy wyborczej.

KAMIL STOCH O SKOKACH

Idealny skok właściwie nie istnieje. Trener ma uwagi do każdego skoku. Nawet wtedy, gdy wygrałem konkurs.

SŁAWOMIR BRONIARZ
O KRZYSZTOFIE SZCZERSKIM

Zajmowanie istotnych stanowisk w państwie nie musi być związane z ilorazem inteligencji.

PROF. ŁUKASZ TURSKI O LITERATURZE

Gdyby ludzie czytali Bułhakowa i go rozumieli, to świat byłby wspólny, a gdyby jeszcze czytali Tomasz Manna, to byłby i mądry.

PAWEŁ PAWLIKOWSKI O PLANACH

Muszę się uspokoić. Pół roku sprzedawania siebie nie jest fajne. Mam w głowie sporo zamętu i niechęci do gadania o filmie.

ANNA DYMNA O ROZCZAROWANIU

To uczucie, które zabija radość. Ja go do siebie nie dopuszczam. Bo kiedy będę rozczarowana, nie będę miała siły, by prowadzić fundację.

JERZY TRELA O SILE SZTUKI

Im bardziej odsuwana, marginalizowana, tym staje się mocniejsza. Im więcej będzie miała wrogów, tym będzie silniejsza.

JAN TOMASZEWSKI O ADAMIE NAWAŁCE

Nieszczęściem polskiej drużyny w Rosji był Adam i cały sztab szkoleniowy. W Rosji wszystko zostało roztrwonione.

KINGA DĘBSKA O PIJĄCYCH KOBIETACH

Alkohol leje się na potęgę. Widzę, ile kobiet pije i zaprzecza temu, że ma problem.

AGNIESZKA RADWAŃSKA O PICIU

Nigdy się nie upiłam. I, co ważniejsze, nigdy nie żałowałam, że takie rzeczy mnie omijają.

JOLANTA FRASZYŃSKA O ŚWINTUSZENIU

Lubię świntuszyć. Delikatna rubasznosc, zmysłowość i kokieteria odmładzają.



Praca Olava Westphalena z serii The Big White 2007, własność Atelier 34zero Muzeum. Projekt „Banery” ma przybliżyć sztukę współczesną jak najszerszemu gronu odbiorców. Ważny jest wybór dzieł, które często dowcipnie nawiązują do ważnych zjawisk społecznych. Galeria Sztuki Współczesnej BWA, al. Wojciecha Korfantego 6, Katowice, wystawę można oglądać do 14 kwietnia.

FOT. ATELIER 34ZERO MUZEUM

Ostrożnie z TVP Info

Daisy Fancourt i Andrew Steptoe z University College London poddali wieloletnim badaniom 3662 dorosłych w wieku powyżej 50 lat. Dzięki temu z całą pewnością ustalili, że dojrzałe osoby oglądające telewizję dłużej niż 3,5 godz. dziennie doświadczają pogorszenia pamięci, a zwłaszcza umiejętności przypominania sobie słów. Wśród możliwych wytłumaczeń tego zjawiska naukowcy podają m.in. rozleniwiający intelektualnie charakter większości programów.

Loty po odlot

Kolejny region Indii mierzy się z plagą ptasiej narkomanii. Rolnicy uprawiający mak w dystrykcie Neemuch skarżą się na codzienne naloty na ich pola papug uzależnionych od opium. Skrzydlatych ćpunów, wywołujących w lokalnej gospodarce coraz większe straty, nie powstrzymują nawet głośnie dźwięki ani materiały pirotechniczne.

Czarna przyszłość białych rasistów

Nowym przewodniczącym amerykańskiego Ruchu Narodowo-Socjalistycznego (NSM), głoszącego wyższość białej rasy, został afroamerykański działacz na rzecz praw obywatelskich. James Hart Stern w sobie znany sposób przejął władzę nad ekstremistyczną organizacją, a następnie zapowiedział, że zniszczy ją od środka. Jeden z aktywistów inicjatywy przytomnie skomentował w mediach, że nominacja Sterna prawdopodobnie oznacza koniec partii w obecnej formie.

**Fejkowy Łazarz**

W internecie pojawił się film, na którym południowoafrykański pastor Alph Lukau wskrzesza zmarłego. Video z człowiekiem wstającym z trumny rozwścieczyło miejscowych przedsiębiorców pogrzebowych, którzy twierdzą, że zostali zmanipulowani do wzięcia udziału w wydarzeniu godzącym w ich reputację. Firmy poinformowały, że rozważają złożenie pozwu zbiorowego, a uznane grupy religijne potępiły pastora jako hochsztaplera. I to mimo że same opierają marketing na wierze w cuda...

Wspomnienia do edycji

Firma Edit My Ex oferuje pomoc w odzyskaniu ulubionych zdjęć w wersji „bez żadnych niepożądanych dodatków”. Mówiąc precyzyjniej, chodzi o usługę usuwania z nich ekspartnerów. Ekspertcy „wygumkują” byłego lub byłą z dowolnej fotografii w ciągu 48 godzin za cenę 6,99 funta. To dość wygórowana stawka, jednak przewidziano zniżki dla osób, które zapragną wymazać dawną miłość z większej liczby fotek.

MEMY BEZ ŚCIĘMY

Australijki kontra Argentynki oraz
Brazylijczycy kontra Chilijczycy.



Wyrolowana przyroda

Ponad 4 tys. km kw. lasów iglastych na terenie Kanady trafia co roku do wycinkii wskutek zapotrzebowania mieszkańców USA na luksusowy, niewyprodukowany z makulatury papier toaletowy, chusteczki i papierowe ręczniki – alarmują ekolodzy. Dodają, że przeciętny Amerykanin zużywa nawet trzy rolki papieru toaletowego tygodniowo, z czym łączy się nie tylko wycinanie drzew, ale także inne koszty środowiskowe.

Mops zamiast MOPS

Urzednicy z niemieckiego Ahlen zamiast wesprzeć rodzinę, która miała zaległości podatkowe, zabrali jej psa. Co prawda, początkowo chcieli przejąć wózek inwalidzki niepełnosprawnego członka rodziny jako najcenniejszy przedmiot w gospodarstwie domowym, jednak okazało się, że jest wypożyczony. Mops został wystawiony na sprzedaż w internecie, poszedł za 750 euro. Cena wydawała się okazjna, jednak rzekomo zdrowy zwierzak w krótkim czasie potrzebował czterech operacji, dlatego jego nowa właścicielka domaga się teraz od urzędników 1,8 tys. euro. Pytanie, czy mają jeszcze co sprzedać.



FOT. MEMNEWS.PL, FB/SEKJAGIMNASTYCZNA, FB/PISNAKSIEZYC, AFP/EAST NEWS (2)



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Piłkuła, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodryt: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od
dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega
sobie prawo do ustalonych przez wydawcę jest nielegalna i grozi
odpowiedzialnością karną.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnia-
nie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE
bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki
po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie
niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi
odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Rysunki z Belgii

Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego
Warszawa, ul. Kozia 11
15 marca-26 maja

PATRONAT PRZEGLĄDU

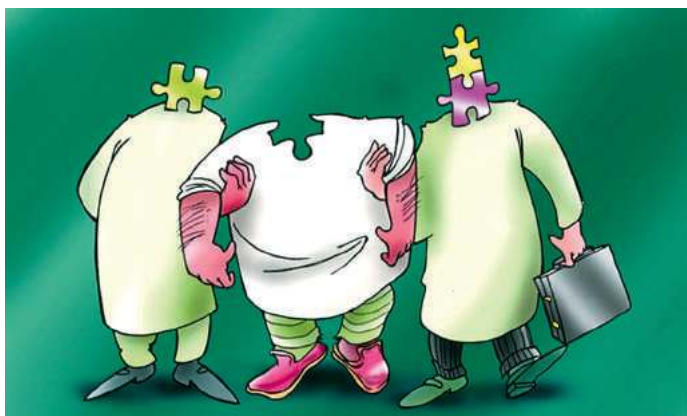
Dziewięciu współczesnych rysowników belgijskich, laureatów wielu międzynarodowych konkursów na rysunek satyryczny, zdecydowało się pokazać swoje ulubione prace na przygotowanej przez European Cartoon Center Kruishoutem wystawie „Rysunki z Belgii”. Wystawa podróżuje po świecie, pozwalając szerokiej publiczności i miłośnikom karykatury zapoznać się z dokonaniem belgijskiej satyry rysunkowej. Ekspozycja jest próbą ukazania różnorodności stylów we współczesnej karykaturze belgijskiej – od typowo flamandzkiej, czysto humorystycznej grafiki po prace reprezentujące bardziej poetyckie podejście do tematyki poruszanej przez ten gatunek sztuki.



Luc Vernimmen, Negocjacje



Luc Descheemaeker (O-SEKÖER), Granica według Trumpa



Luc Vermeersch, Psychiatryczna łamigłówka

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

ART. 256 KODEKSU KARNEGO PROPAGOWANIE FASZYZMU LUB INNEGO USTROJU TOTALITARNEGO LUB NAWOŁYWANIE DO NIENAWIŚCI

- § 1. Kto publicznie propaguje faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2.
- § 2. Tej samej karze podlega, kto w celu rozpowszechniania produkuje, utrwala lub sprowadza, nabywa, przechowuje, posiada, prezentuje, przewozi lub przesyła druk, nagranie lub inny przedmiot, zawierające treść określoną w § 1 albo będące nośnikiem symboliki faszystowskiej, komunistycznej lub innej totalitarnej.
- § 3. Nie popełnia przestępstwa sprawca czynu zabronionego określonego w § 2, jeżeli dopuścił się tego czynu w ramach działalności artystycznej, edukacyjnej, kolekcjonerskiej lub naukowej.
- § 4. W razie skazania za przestępstwo określone w § 2 sąd orzeka przepadek przedmiotów, o których mowa w § 2, chociażby nie stanowiły własności sprawcy.

Mein Kampf

słowa: Adolf Hitler

Góo Bâ, Bielawka, Bożek, Brykalski, Kryst,
Łągiewczyk, Mosiewicz, Nepelski, Niziołek,
Skrzywanek, Skwarczyńska, Srpkowá, Stoczyński
premiera 23.03.2019
kolejne spektakle 24, 26, 27.03 i 12, 13, 14.04

Reżyserski
montaż

wyborcza

wyborcza.pl
WARSZAWA

cojestgrane24

AKTIVIST

pa



Instytucja Samorządu
Województwa
Warmińsko-Mazurskiego

Patronat Honorowy:



Marszałek Województwa
Warmińsko-Mazurskiego
Gustaw Marek Brzezin



Witold Wróblewski
Prezydent Elbląga

XXIII OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL Sztuki Słowa „...czy to jest kochanie?”

23.03.2019

Scena na Piętrze, godz. 10.00, wstęp wolny

**Prezentacje konkursowe
w kategorii recytacja**

23.03.2019

Duża Sala Kina Światowid, godz. 17.00, wstęp wolny

**Prezentacje konkursowe
w kategorii piosenka poetycka**

24.03.2019

Duża Sala Kina Światowid, godz. 18.00,
cena biletu: 90 zł

Koncert Galowy

**Koncert Laureatów XXIII edycji
OFSS „...czy to jest kochanie?”**

oraz

"MALINOWA..."

**Stanisława Celińska
z zespołem**

pod kierownictwem Macieja Muraszko



Centrum Spotkań Europejskich „Światowid” w Elblągu, Plac K. Jagiellończyka 1, 82-300 Elbląg
tel. 55 611 20 50, fax 55 611 20 60 email: info@swiatowid.elblag.pl www.swiatowid.elblag.pl

Sponsorzy:

Partnerzy:

Patronat medialny:



BRANIEWSKO-PASLECKI
BANK SPÓŁDZIELCZY
Z SIEDZIBĄ W PASLEKU



HOTEL ANDERS
ELBLĄG



GAZETA
OLSZTYŃSKA

RADIO
OLSZTYN

portEl.pl
Elbląskie Centrum Informacji



DZIENNIK
ELBLĄSKI

Światowid.pl
Forum Kultury Warmii i Mazur



Zrealizowano
przy współudziale finansowym
Samorządu Miasta Elbląga



Operka medialna

